

HISTORIA INSPIROWANA PRAWDZIWYMI WYDARZENIAM I,
KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY CAŁĄ POLSKĄ

SWĄD

Jedna rodzina,
tragiczny pożar,
tak wiele tajemnic...



Robert OSTASZEWSKI
Bartosz WOJSA

Strona tytułowa

SWĄD

Bartosz WOJSA
Robert OSTASZEWSKI


HARDE
WYDAWNICTWO

Copyright © by Robert Ostaszewski, Bartosz Wojsa 2023

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska

Korekta: Urszula Gac, Joanna Misztal

Zdjęcie na okładce: TrishZ/canstockphoto

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN 978-83-8343-001-0

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa



Więcej o naszych autorach i książkach:

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog Skok w ciemność

Rozdział I Pułapka bez wyjścia

Rozdział II Anioł, nie człowiek

Rozdział III Rysy i pęknięcia

Rozdział IV Rodzinny sekret

Rozdział V Pielgrzymka z niespodzianką

Rozdział VI Na skrzyżowaniu

Rozdział VII Wątpliwości i podejrzania

Rozdział VIII Tylko kochanka

Rozdział IX Na własną rękę

Rozdział X Coraz większe długi

Rozdział XI Coś jakby przemiana

Rozdział XII Kubel deszczówki

Rozdział XIII Kto używa skalpela?

Rozdział XIV Zbyt długi proces

Rozdział XV Wyrok

Rozdział XVI Wątpliwości

Prolog

Skok w ciemność

7 sierpnia 2019 roku

Najgorsze są koszmary, które okazują się rzeczywistością.

Obudziła się z dręczącego snu, gwałtownie usiadła na łóżku, łapiąc powietrze jak po zbyt długim nurkowaniu. Rozkaszała się. *Co jest?*, myślała w panice. Otworzyła oczy, ale zaraz zamknęła, bo mocno ją zapiekły. Czuła potworny, nieomal gryzący smród. Oddychała płytko. Co tu się działo? Powoli otworzyła oczy. Było ciemno, ale dostrzegła dym wydobywający się ze szpary pod zamkniętymi drzwiami pokoju. W pierwszej chwili w panice pomyślała, że to ona zaproszyła ogień. Przecież zawsze była winna wszystkiemu. Przed zaśnięciem wypaliła papierosa, a peta schowała w pustej paczce po fajkach, którą ukryła w szufladzie biurka. *To niemożliwe*, starała się myśleć logicznie, *gdyby tak się stało, pewnie już by się paliło łóżko stojące tuż obok.*

- Wiktorek - wyszeptala i zerwała się na równe nogi.

Podbiegła do drzwi, przez chwilę szarpała się z zamkiem i wreszcie otworzyła je na oścież. Buchnęły na nią kłęby dymu. Poczowała falę żaru na twarzy. Wstrzymała oddech i spróbowała wyjść na korytarz. Nie dała rady, zrobiła ledwie krok. *Zginiesz, zaraz zginiesz!*, wrzeszczał instynkt samozachowawczy. Wskoczyła z powrotem do pokoju, zatrzaśnęła drzwi. Zaczęła się dusić od ataku kaszlu, który zgiął ją w pół. Czuła narastające mdłości. Kaszląc i prychnając, wycofała się w stronę okna. Było uchylone i pewnie to ją uratowało przed zaccadzeniem.

Wychyliła się aż poza parapet i łapczywie łapała powietrze. Świeże i ożywcze jak nigdy dotąd w sierpniową noc. Dochodziła do siebie. Odwróciła się i zobaczyła, że w środku jest coraz więcej dymu. Ich dom się palił. Musiała działać. Ściągnęła z oparcia krzesła koszulkę, zasłoniła nią usta i nos. Pomogło, ale tylko trochę. Przynajmniej nie szarpały nią fale kaszlu, chociaż wciąż miała uczucie, że za moment zwymiotuje. Znalazła komórkę i wybrała numer matki. Nie odbierała. *Co się z nimi dzieje?*, myślała z rozpaczą. Musiała zadzwonić po straż. Przez sekundy nie mogła sobie przypomnieć numeru alarmowego. *112, kretynko!* Niezbyt docierało do niej, o co pyta dyżurny, wrzeszczała w kółko, że potrzebują pomocy, pali się ich dom, w Bziu, pali się, u Zawalskich... Rozłączyła się i zadzwoniła do ojca. Wiedziała, że jest w pracy, ale musi tu przyjechać, ratować ich wszystkich. Ojciec nie odbierał. Kurwa, nigdy go nie ma, jak jest potrzebny. Zalała ją nagła fala złości.

Dym wypełnił już cały pokój. Usiadła na parapecie i trzymając się ramy, wychyliła na zewnątrz najdalej, jak mogła. Chciała żyć, tak bardzo chciała żyć. Po prostu. Chociaż przez ostatnie lata często myślała o tym, by nie być, zniknąć. A teraz zobaczyła śmierć na własne oczy. Miała postać szarej chmury, która nieubłaganie ciągnęła w stronę okna. Pragnęła ją od siebie odepchnąć, ale przecież było to niemożliwe.

Znowu się rozkaszała. W głowie miała gonitwę myśli, których sensu i znaczenia nie potrafiła uchwycić.

Kaszała i krztusiła się przez cały czas. Przed jej oczami migały czarne mroczki.

To nie może tak się skończyć, myślała z rozpaczą.

Działaj!

Spojrzała za okno. Była na pierwszym piętrze domu. Niby nie tak znowu wysoko... Jednak mogła skrócić sobie kark. Do gałęzi drzewa rosnącego nieopodal raczej nie sięgnie. Pod nią był szpaler rozłoży-

stych rododendronów, które matka pielęgnowała z pasją. Jeśli uda jej się na nie trafić, może nic sobie nie połamie.

W środku domu coś huknęło.

Powoli przełożyła nogi na drugą stronę parapetu. Wokół niej buchał dym, pod sobą miała cienie krzewów.

Skoczyła.

Rozdział I

Pułapka bez wyjścia

23 sierpnia 2019 roku

Artur

Kogut zapiał tak głośno, że obudziłby umarłego. Artur Rogalski otworzył oczy, po raz kolejny zastanawiając się, dlaczego ustawił sobie w komórce taki kretyński dzwonek budzika. Dźwięki powiadomień i połączeń przychodzących miał już normalne, w sumie wybrał pierwsze lepsze z listy. Tyle że między ludźmi musiał być poważny i pozapinany na ostatni guzik. A w domu już niekoniecznie, skoro mieszkał sam.

Spojrzał na ekran komórki – piąta trzydzieści. Od zawsze był skowronkiem, spokojnie wstałby na czas bez budzika. Nie należał jednak do osób, które od razu po przebudzeniu wyskakują z łóżka prosto w nowy dzień zwarte i gotowe. Musiał trochę poleżakować i się poprzeciągać. *Długi rozruch, tak to się chyba nazywa*, pomyślał.

– Media już węszą, żadne zaskoczenie – zamruczał pod nosem, gdy w końcu postanowił na dobre wyłączyć budzik i przejrzeć poranne wiadomości.

Wskazującym palcem przesuwiał na ekranie smartfona kolejne newsy o pożarze, do którego doszło nieco ponad dwa tygodnie temu. Temat wciąż żarł. Nie mogło być inaczej, bo podobne dramaty nie zdarzały się często. Dobrze wiedział, że dziś czeka go ponowna konfron-

tacja z tantym wydarzeniem, ponurą tragedią, która była trudna emocjonalnie także dla niego. Był młodym prokuratorem, miał ledwie trzydzieści jeden lat. Nigdy wcześniej nie prowadził tak poważnej sprawy. W Jastrzębiu-Zdroju, nie tak znowu dużym śląskim mieście, rzadko dochodziło do wydarzeń tak grubego kalibru. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może nawalić, jeśli nie chce, aby jego kariera utknęła na mieliźnie, zanim na dobre się zaczęła.

Wreszcie wstał i poszedł pod prysznic. Szarpnęły nim wyrzuty sumienia. Stał się wielki dramat, a on myśli o karierze. Nie rozstrzygnął, czy to już znieczulica, czy w ten sposób jedynie odreagowuje stres. Jednego był pewien: robota w prokuraturze sponiewierała już wielu.

Na godzinę dziewiątą zaplanowano kolejną wizję lokalną na miejscu zdarzenia. Był pewien, że pod dom Zawalskich już ściągają dziennikarze nie tylko z mediów lokalnych. Pomyślał gorzko, że nagła śmierć zawsze jest materiałem na newsa, który zapewnia sprzedaż gazety albo dobrą klikalność. Musiał się przygotować na trudny, długi dzień i zjeść porządne śniadanie.

- Kawa bez mleka, bez cukru... bez sensu - uśmiechał się pod nosem, dodając do kubka wszelkie niezdrowe składniki, tak krytykowane przez ekspertów żywieniowych.

W sumie miał to gdzieś. *Wrzątkiem też nie powinienem zalewać, bo niszczyć wartości odżywcze*, dodał w myślach, dochodząc do wniosku, że śmianie się z własnych żartów jest osobliwym nawykiem.

Nie był fanem obfitych śniadań. Codziennie rano sięgał więc jedynie po owsiankę, ale tego poranka przygotował jej więcej niż zwykle. I nie, nie zalał płatków wodą, tylko mlekiem - bez laktozy, bo jej nie tolerował. Nie mógł sobie pozwolić tego dnia na sensacje żołądkowe.

Ubrał się i ostatni raz spojrzął w lustro. Dociągnął staranny węzeł krawatu, poprawił kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli, strzepnął nieistniejące pyłki z rękawów czarnej marynarki, ostatni raz szczotką przetarł buty. Jego ulubiony garnitur, kupiony w luksusowym salonie

mody męskiej, właściwie na każdym robił wrażenie. I o to chodziło. Był poważnym urzędnikiem państwowym, więc musiał poważnie wyglądać. Czarny garnitur był niczym mundur.

- Jestem gotowy - stwierdził na głos.

Karolina

Karolina Szewczyk przeczekała skulona w łóżku pierwsze zawodzenie budzika i wszystkie drzemki. Westchnęła. Czy tego chciała, czy nie, musiała zmierzyć się z kolejnym dniem. Była pewna, że nie przyniesie on niczego miłego ani dobrego. Normalne w jej życiu, więc przywykła.

Zwlokła się z łóżka i uwolniła od gumki zniszczone włosy. Poszła do łazienki i obmyła twarz wodą. Na moment skupiła wzrok na odbiciu w lustrze. Wyraziste zielone oczy wyglądały dość abstrakcyjnie w siateczce zmarszczek, których ostatnio przybywało coraz szybciej. Brakowało jej energii, aby z nimi walczyć. Fakty były, jakie były - miała pięćdziesiąt cztery lata i nikogo, kto by sprawiał, że chciałoby jej się o siebie dbać.

Nałożyła, wyłącznie z przyzwyczajenia, delikatny makijaż i poszła do kuchni, myśląc o tym, co ją czeka tego dnia. Otóż właśnie - nic dobrego. Po raz kolejny miała się zajmować sprawą pożaru domu. Na samą myśl robiło jej się niedobrze.

- Popierdolone - powiedziała pod nosem.

Sama do końca nie wiedziała, czy chodzi o kejs Zawalskich, czy o stan kuchni. Zlew pełen brudnych naczyń, butelki po wodzie na niewielkim stole, opakowanie po żarciu na wynos z resztkami zeschniętych frytek, kilka butelek po piwie na podłodze. Postanowiła, że sprzątnie. Kiedyś. Teraz miała czas jedynie na łyk kawy i kanapkę z pomidorem. Zresztą i tak chciała jak najszybciej wyjść z mieszkania. W domu od dawna czuła się nieswojo, więc wołała jak najszybciej rzucić się w wir pracy, by nie myśleć o tym, co ją spotkało. Kiepsko radziła sobie

w życiu, za to całkiem dobrze w pracy. I dlatego kurczowo trzymała się roboty, chociaż już dawno mogła być na emeryturze, bo pracę w mundurówce zaczęła jako młoda dziewczyna. Od dawna nie chodziło jej o jakąkolwiek misję czy karierę. Dochrapała się stopnia młodszej aspirant i to jej wystarczyło. Służba dawała jej pieniądze niezbędne do przeżycia oraz powód do wstawania z łóżka. A także sens dalszego trwania – choćby to był tylko nikły cień sensu.

Ściągnęła z wieszaka starą, poprzecieraną kurtkę dżinsową, która strzępiła się na kołnierzyku i mankietach. Miała gdzieś, że kumple z fabryki podśmiewają się z niej, że nosi się jak dziadówka. Stara kurtka, stare, dobre czasy, o których nie chciała, nie mogła zapomnieć. Założyła ją i wyszła z mieszkania, głośno zatrzaskując drzwi.

– To są jakieś jaja – stwierdziła, przewracając oczami.

W drodze do Bzia, właściwie wioski, która jednak dziesięciolecia temu została włączona w granice Jastrzębia-Zdroju, zauważyła na światłach prokuratora Rogalskiego w sportowej beemce. W skupieniu patrzył przed siebie. Karolina wozila się rozklekotanym autem służbowym, które już dawno nadawało się do wymiany, i mogła tylko pomarzyć o lepszym samochodzie. Ale nie to wyprowadziło ją z równowagi. Przynajmniej nie tylko to. Coraz gorzej znosiła kontakty z młodym, aż nazbyt pewnym siebie prokuratorem. Do tego bezczelnym – przynajmniej takie odnosiła wrażenie. Jechał w tym samym kierunku co ona, więc na pewno się spotkają na miejscu zdarzenia. Niby mogła się spodziewać, że pojawi się podczas wizji lokalnej, ale zdarzało się, że prokuratorzy odpuszczali sobie niektóre czynności, zwalając pracę na policjantów. Może byli zawałeni robotą, może zwyczajnie im się nie chciało. Kto tam za nimi nadaży?

Kiedy dojechała pod dom Zawalskich, Rogalski już tam był, otoczony wianuszkami dziennikarzy. Tyle dobrego, że nie musiała się opętać od pismaków.

Wysiadła z samochodu, oparła się o maskę i zapaliła. Czasami chodziło jej po głowie, że wreszcie powinna rzucić fajki. Tylko właściwie po co? W jej przypadku jedynym sensownym argumentem był ten ekonomiczny. Papierosy ciągle drożały. Na razie jednak było ją stać.

Pałała, przyglądając się, jak prokurator Rogalski radzi sobie z dziennikarzami. Musiała przyznać, że szło mu całkiem nieźle. Nie peszyły go wycelowane w niego obiektywy aparatów ani dyktafony i mikrofony podtykane pod nos. Był opanowany, robił swoje, wypowiadając okrągłe zdania, w których było niewiele treści.

- Drodzy państwo, jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek konkrety. Sprawa wciąż jest w toku i dla dobra postępowania nie mogę niczego zdradzić. Kiedy tylko będzie taka możliwość, rzecznik prasowy prokuratury z pewnością odpowie na wszystkie pytania podczas konferencji prasowej – stwierdził ze stoickim spokojem.

Karolina rzuciła niedopałek na ziemię i przydeptała. Taki odruch. Ruszyła w stronę posesji Zawalskich, wejście na którą odgrodzono policyjną taśmą. Stała i w zadumie patrzyła na budynek, który wcale nie wyglądał tak, jakby niedawno szalał w nim morderczy w skutkach pożar. Nieco klockowata piętrowka, wybudowana pewnie w latach dziewięćdziesiątych. Tylko jedno okno na piętrze było wyraźnie osmalone – to, z którego wyskoczyła jedyna ocalała. *Dziwny pożar, dziwna sprawa*, przeleciało jej przez głowę.

Poszła dalej. Zza węgła domu wyszedł sierżant Adam Kowalczyk, jej partner z wydziału kryminalnego.

- Hej – powitała go. – Przecież miałeś być później...

- Ale jestem wcześniej. Chyba się cieszysz, nie? – puścił do niej oko.

Nie dało się nie lubić misiwatego trzydziestosześcioletka, który pomimo różnych okropności oglądanych w robocie nie tracił pogody ducha. Zazwyczaj. Przybili piątkę. Mimochodem zauważyła, że jego brzuch coraz wyraźniej zaznacza się pod i tak szeroką koszulą. W prowincjonalnych jednostkach dowódcy przymykali oko na takie rzeczy,

o ile podwładni zaliczali testy sprawnościowe. Jak to robili, nikt specjalnie nie wnikał. W pierwszej chwili pomyślała, że powinna przestać wyciągać go na śmieciowe żarcie, w drugiej – że przecież nie jest jego matką.

Chciała zapytać Adama, co się stało, że pojawił się w robocie wcześniej, ale zaraz obok nich stanął Rogalski.

– Dzień dobry. Wchodzimy? – rzucił i nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi.

Karolina skrzywiła się i pomyślała, że ten szczer, który mógłby być jej synem, za bardzo się rządzi. A na dodatek nie szanuje starszych od niego policjantów. Co jednak miała robić? Rogalski był szefem dochodzenia, poszła więc za nim.

– Powinniśmy... – zaczęła, ale on natychmiast uniósł dłoń, by jej przerwać.

– Poczekaj, muszę się skupić – powiedział, stając tuż za drzwiami.

Bardzo chciała skomentować jego durne pozy, ale ugryzła się w język, gdy zobaczyła, że Adam, który do nich dotarł, też przewrócił oczami.

Rogalski zaczynał swój show, który widziała już wcześniej. Nie robiło to na niej wrażenia. Nie wiedziała, czy pewna teatralność zachowań i mocno manifestowana pewność siebie prokuratora są swego rodzaju grą, czy też Rogalski po prostu tak ma. W sumie miała to gdzieś, o ile za mocno nie mieszał jej w robocie.

Artur

Wchodząc do domu Zawalskich, Rogalski poczuł przyspieszone bicie serca, rodzaj pozytywnej ekscytacji. Spojrzał za siebie, na dwoje policjantów, którzy wciąż stali przed wejściem. I dalej, na tłumek dziennikarzy, którzy próbowali dojrzeć cokolwiek zza ogrodzenia. Potrzebował spokoju, potrzebował być sam. Musiał odciąć się od świata, by się skupić.

- Wszyscy wyjdźcie - polecił technikom policyjnym, którzy czekali na podjęcie czynności.

Popatrzyli po sobie, ale zrobili, co kazał. Zdawał sobie sprawę, że później będą go obgadywali i śmiali się z młodego proroka, który odprawia głupie czary-mary. Nie przejmował się tym.

Podszedł do drzwi wejściowych, by je zamknąć, ale na progu stała Szewczyk.

- Mam prawo tutaj być tak samo jak ty. To wizja lokalna, im więcej par oczu i otwartych umysłów, tym lepiej - powiedziała zadziornie, patrząc mu prosto w oczy.

Artur nie zamierzał się z nią kłócić. Zresztą z formalnego punktu widzenia miała rację. Wiedział, że powinien dobrze układać sobie współpracę z policjantami, ale przy tym niektóre sprawy zamierzał prowadzić po swojemu. Nie zawsze szło to w parze. Normalne. Prokuratura miała swoje priorytety, policja - swoje. Do tego jeszcze ta Szewczyk... Przesunął wzrokiem po jej zaniedbanych włosach i podniszczonej kurtce. I nie, nie czuł politowania, tylko współczucie. Doskonale wiedział - pewnie jak pół Jastrzębia-Zdroju - co młodsza aspirant przeszła i z jakimi demonami wciąż się mierzyła. Tak naprawdę nie miał najmniejszego problemu z jej obecnością tutaj, po prostu w pewnych momentach wolał pracować sam, w pełnym skupieniu.

- Dobrze, zostań. Ale, proszę, choć przez chwilę nic nie mów - powiedział miększym głosem.

Najpierw przeszedł się po salonie. Wczuwał się w miejsce. Cofnął się do przedpokoju, w którym wciąż tkwiła Szewczyk. Spojrzał na nadpalony drewniany stojak na kurtki i pozostałości po worku z plastikowymi butelkami. Kto normalny magazynuje je w przedpokoju? A może miały zostać wyniesione, tylko któryś z domowników tego nie zrobił? Dziwne. Do tego wedle ustaleń strażaków w całym domu pojawiło się osiem zarzewi. Jedno, nawet dwa - to się jeszcze da jakoś wytłumaczyć, ale aż tyle... Cały ten pożar był bardziej niż nietypowy.

Stanął przed drzwiami wejściowymi.

– Dlaczego nie próbowali się wydostać? – mruzczał pod nosem.

Jak pamiętał z zapisów w aktach sprawy, w czasie pożaru drzwi były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku. Wystarczyło do nich dotrzeć i otworzyć...

Wrócił do salonu. Policjantka tym razem ruszyła za nim. Metr po metrze uważnie oglądał całe pomieszczenie.

Niespodziewanie odezwała się Szewczyk, mimo że prosił ją, żeby milczała. Skrzywił się lekko.

– Dziewiętnastoletnia Klaudia Zawalska zmarła na miejscu, trzydziestodziewięcioletnia matka, czyli Magdalena Zawalska, oraz pięcioletni Wiktor Zawalski ostatecznie stracili funkcje życiowe w drodze do szpitala. Jedenastoletni Jakub Zawalski i jego trzynastoletni brat Jacek Zawalski zmarli po dwóch dniach od hospitalizacji w wyniku obrażeń po poparzeniach. Reszta doznała ostrych zatruc tlenkiem węgla. Podusili się – mówiła z pozoru beznamiętnym głosem, jakby czytała akta sprawy. – Przeżył ojciec, czterdziestojednoletni Waldemar Zawalski, był wtedy w pracy. To lekarz w lokalnym szpitalu, miał akurat nocny dyżur. No i Martyna Zawalska ...

– Wiem, jedyna uratowana z pożaru. Zdążyłem się zapoznać z aktami sprawy – powiedział z przekąsem.

Po kiego ona przypomina oczywiste fakty?, zachodził w głowę. Nie ufa mu? A może traktuje jak gnojka, którego trzeba prowadzić za rączkę, żeby podczas dochodzenia nie popełnił błędów? Czasami odnosił wrażenie, że starsi policjanci patrzą na niego z pobłażaniem. A może był zwyczajnie przewrażliwiony. *Nie czas na to, skup się, patrz, analizuj*, napomniął sam siebie.

Resztki nadpalonych plastikowych butelek wyglądały jak abstrakcyjna rzeźba współczesna. Trzydrzwiowa szafa, będąca największym punktem pożaru, znajdowała się przy schodach prowadzących na piętro. Do tego stojąca niedaleko deska z nadpalonym żelazkiem, sporej wielkości dywan i drewniany stojak na kurtki, a raczej to, co z tego wszystkiego zostało. Rogalski przymknął oczy i westchnął. Spróbował

zwizualizować sobie wydarzenia feralnej nocy. Schody ogarnięte płomieniami, kłęby gryzącego dymu. Próba pokonania schodów po prostu nie mogła się udać. Droga do drzwi wyjściowych była odcięta.

Poszedł na piętro, ostrożnie stąpając po zniszczonych schodach. Szewczyk od razu ruszyła za nim. Na szczęście milczała. Najpierw wszedł do pokoju Martyny. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to otwarte okno. Jedyne otwarte okno w całym domu.

- Dzięki temu przeżyła - odezwała się policjantka.

Nie wytrzymała. Tylko pokiwał głową. Dlaczego nikt inny nie próbował wydostać się przez okno? *Fakt, piętro, jednak potamane nogi są lepsze od śmierci*, pomyślał gorzko. Przeszedł do kolejnego pokoju, w którym spało dwóch synów Zawalskich, Jakub i Jacek. Przeżyli w szpitalu najdłużej, choć obrażenia i zatrucie tlenkiem węgla ostatecznie okazały się zbyt poważne. Ich siostra Martyna znajdowała się tuż za ścianą. Ledwie dwa metry dzieliły drzwi ich pokoiów. *Czemu im nie pomogła?*, zastanawiał się Artur. Niewykluczone, że próbowała, ale wystraszyła się dymu i płomieni. Zwyczajnie nie dała rady. Czy on dałby radę wejść w płomienie, aby ratować bliskich? Nie był tego taki pewien, więc wolał nikogo nie oceniać.

- Koszmar - wyrwało mu się jedno ciche słowo.

- Co mówiłeś? - zapytała Szewczyk.

- Nic - uciął.

Musiał wziąć się w garść i patrzeć chłodnym okiem na spalone wnętrza domu. Po prostu musiał.

Pobieżnie rzucił okiem na sypialnię Klaudii, która zmarła na miejscu na skutek zaccadzenia. Może nawet nie zdążyła do końca się wybudzić, zrozumieć, co się dzieje, poczuć grozy i lęku.

A potem stanął, ramię w ramię z Szewczyk, przed drzwiami ostatniego pokoju na piętrze.

- Nie wchodzę tam. Zdjęcia mi wystarczą - oznajmiła.

Nie dziwił się jej. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka. Spali tu matka z pięcioletnim synkiem. *Jak po kradzieży z włamaniem*, przeleciało mu przez myśl. W pomieszczeniu panował straszny bałagan. Poprzesuwane meble. Wyciągnięte szuflady komody, otwarte na oścież szafki. Skłębione rzeczy niedaleko drzwi. Magdalena Zawalska najprawdopodobniej też, tak jak jej córka, nie mogła wyjść na korytarz. Płomienie i dym sprawiły, że zamknęła drzwi pokoju, a potem skupiła się na jednym, co jeszcze mogła zrobić – ratowaniu synka. Próbowała uszczelnić drzwi, chociaż było to z góry skazane na niepowodzenie. A okno? Podszedł do niego i dostrzegł na aluminiowych roletach antywłamaniowych ślady wgnieceń, prawdopodobnie powstałe na skutek uderzeń pięściami. Zaczął szukać mechanizmów odblokowujących okno, ale ich nie znalazł, za to dostrzegł na ziemi strzępki sznurków.

– Urwały się pod wpływem wysokiej temperatury – skomentował na głos.

– Matka zdążyła przemeblować połowę pokoju, ale nie zdążyła otworzyć okna, zanim temperatura stopiła mechanizm? Jakoś mi się to nie klei – rzuciła Szewczyk od drzwi.

– Takie wypadki się zdarzają, mechanizmu elektronicznego by to może nie spotkało – rzucił na odczepnego, chociaż w sumie sam nie był pewien, co o tym myśleć.

Najgorsze zostawił sobie na koniec. Już sam suchy opis w raportach strażaków i policyjnych techników mocno szarpnął jego emocjami. Strażacy znaleźli nieprzytomnego pięcioletniego chłopca wciśniętego pod łóżko. W pierwszej chwili go nie dostrzegli, bo był szczelnie opatulony kocami, narzutą, kołdrą... Wszystkim, co matce wpadło pod rękę. Przecież musiała zdawać sobie sprawę, że nie uratuje w ten sposób dziecka ani przed zabójczym dymem, ani – tym bardziej – przed płomieniami. Ostateczny akt desperacji.

Rogalski wołał nie myśleć, które z nich pierwsze straciło przytomność – matka czy syn. Które pośród płomieni i dymu samotnie wołało

o pomoc.

Zamarł i na chwilę przymknął oczy.

Artur

Ogień wybucha u podstawy schodów, szybko odcinając drogę ucieczki z piętra. Płomienie zaczynają obejmować coraz większą przestrzeń, ale tak naprawdę to dym, który wydobywa się z palących się plastików, ubrań, dywanu i mebli, staje się największym zagrożeniem dla domowników.

Zawalska budzi się z lekkiego snu i zaczyna wyczuwać wyraźny swąd spalenizny. Rzuca okiem na synka, który leży obok niej w łóżku. Pewnie zawsze pakuje się do łóżka rodziców, kiedy ojciec jest w pracy. Podnosi się z łóżka, czym budzi małego Wiktora. Stawia pierwsze kroki w kierunku drzwi i wtedy jest już pewna, że w domu wybuchł pożar. Pierwsze, co robi, to próbuje pokonać korytarz i zbiec ze schodów, by otworzyć drzwi wyjściowe. Szuka najoczywistszej drogi ucieczki dla dzieci i siebie. Szybko rozprzestrzeniający się ogień i rozżarzone deski podłogi z miejsca jej to jednak uniemożliwiają. Kobieta podejmuje szybką decyzję, by zebrać dzieci razem, a następnie spróbować uciec przez okno. Zaczyna krzyczeć, ale nikt jej nie odpowiada. Ogarnia ją panika. Dym jest coraz gęstszy i coraz bardziej duszący. Żar narasta. Nie wie, co robić. Słyszając coraz głośniejszy płacz Wiktora, cofa się do sypialni i zamyka drzwi, by nie pozwolić płomieniom dostać się do środka. Odruchowo sięga po mechanizm otwierający okno, ale sznurków już tam nie ma.

Zaczyna walić pięściami w rolety antywłamaniowe, przerażona tym, że ostatnia droga ucieczki została odcięta. W końcu dochodzi do wniosku, że nie ma szans, by otworzyć okno. Musi zachować zimną krew, wezwać pomoc i liczyć na to, że dzieci i ona jakoś dotrwią do przybycia strażaków. Chce zrobić wszystko, by uratować synka. Wyciąga z szafek ubrania, stara się przesuwac meble. Wszystko po to, by uszczelnić drzwi i odciąć pokój od dymu. Ale jest już za późno. Magdalena czuje, jak powoli traci przytomność. Resztkami sił przykrywa Wiktora kocem, narzutą i prosi, by

ten położył się nisko pod łóżkiem i spokojnie oddychał. W końcu zarówno ona, jak i chłopiec tracą przytomność.

Krzyki Magdaleny budzą resztę dzieci. Martyna słyszy, że jej młodsze rodzeństwo woła o pomoc. Najpierw bierze głęboki oddech, wychylając się za otwarte okno, a później próbuje wyjść z pokoju. Dym jest na tyle gęsty i ostry, że od razu się cofa. Wie, że nie ma szans, by na własną rękę pomóc rodzeństwu. Woła, by wszyscy podeszli do okien, ale nie słyszy już odpowiedzi. Dym zaczyna ją coraz bardziej dusić, samo otwarte okno wydaje się niewystarczające. Podejmuje więc decyzję, by wyskoczyć, wcześniej upewniwszy się, że trafi na krzewy, które przynajmniej częściowo zamortyzują upadek.

Kubuś i Jacek jako kolejni tracą przytomność. Nie udaje im się wydostać z pułapki, jaką stał się ich własny pokój. Z kolei Klaudia najprawdopodobniej nawet się nie obudziła, nim straciła przytomność. A później funkcje oddechowe.

Martyna niemal od razu sięga po telefon komórkowy, który przed skokiem zdążyła zabrać z szafki przy łóżku, i wystukuje numer 112. Na miejsce błyskawicznie wysłano karetki pogotowia i strażaków, a także policjantów. Do samego przyjazdu służb dziewczyna pozostaje pod oknem, bo wie, że każdy ruch może pogłębić ewentualne obrażenia po upadku...

Tak, najpewniej tak właśnie było, pomyślał prokurator Rogalski.

Karolina

A ten co? Odleciał czy zawiesił się na tym, że już najwyższy czas na woskowanie karoserii beemki?, pomyślała Szewczyk nieco złośliwie, szturchnęła prokuratora w ramię i spytała z lekką irytacją w głosie:

– Wszystko OK?

Rogalski drgnął, spojrział na nią nieobecny wzrokiem, jakby nagle wybudził się z popołudniowej drzemki.

– Tak, tak. Możemy wyjść.

Jak dla niej byli bardzo daleko od jakiegokolwiek OK. Miała dość tej wizji lokalnej, tego domu naznaczonego obecnością czworga nieszczęsnych dzieci, które powinny żyć, przeżywać drobne radości i smutki, a zginęły w tak bezsensowny sposób. O ich matce nawet nie wspominając. Chciała jak najszybciej wyjść z tego domu, a prokurator odstawił swoje cyrki. Nie miała pojęcia po co. Na jej oko i doświadczenie wszystko wskazywało na to, że doszło do tragicznego w skutkach wypadku. Może jednak nie do końca... Coś w tyle głowy szeptało jej, że pewne drobiazgi wydają się wątpliwe. Wy tłumaczalne, ale jednak nie w stu procentach. Gdzie właściwie wybuchł ogień? Osiem zarzewi... Co najmniej o sześć za dużo. Można by przypuszczać, że pozostawiono włączone żelazko, skoro deska do prasowania była jednym z punktów zapalnych, ale w aktach nie wspomniano, by urządzenie było podłączone do prądu. Cóż, mogło to być jedynie przeoczenie policjanta sporządzającego notatkę.

Jak się zapaliły pozostałe miejsca w domu? Jak to się stało, że zarzewia ognia, według wstępnych ustaleń strażaków, powstały niemal w identycznym czasie? Dlaczego dom był zaryglowany tak, jakby rodzina chciała z niego uczynić fortecę nie do zdobycia? Bali się kogoś? Ktoś im groził? Największą niewiadomą były jednak zabezpieczenia antywłamaniowe. Na zdrowy rozum Zawalska powinna zdążyć otworzyć okno, zanim stopią się plastikowe sznurki podnoszące rolety. Fakt, mogła zwyczajnie spanikować, miała prawo. A co, jeśli ktoś celowo uszkodził mechanizm? Tylko kto niby miał to zrobić? Uszkodzone zostały także rolety w pokoju Kuby i Jacka. Ale już u uratowanej Marty nie. Nic tu się nie składało w logiczną całość.

Policjantka miała w głowie kolejne pytania, schodząc powoli po zniszczonych schodach i kierując się do wyjścia.

- Piwnica - wypalił nagle Rogalski, który szedł za nią, zanim otworzyła drzwi wejściowe.

Spojrzała na niego z ciekawością, kiedy skręcił w stronę drzwi prowadzących do garażu. Nie odstępowała go na krok, gdy po krętych

schodach kierował się do zagraconej piwnicy. Wiedział dokładnie, czego szuka. A przynajmniej tak jej się zdawało. Przyczyną wybuchu ognia mogło być bowiem zaproszenie, jak wstępnie ustalili strażacy, albo... zwarcie w instalacji elektrycznej, co też brano pod uwagę. Tym bardziej że już było wiadomo ze wstępnego rozpytania Martyny, że wcześniej mieli w domu problem z prądem. Prokurator wreszcie znalazł natynkową skrzynkę elektryczną i powoli ją otworzył.

- Tak jak myślałem - stwierdził z wyraźnym tryumfem w głosie, pokazując na popalone przyciski.

Karolina uważnie przyjrzała się wnętrzu skrzynki. Jeden z kabli był... przecięty? Nie. Wyglądał raczej na pogryziony. W kącie dostrzegła truchło szczura.

Prokurator sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Zaczął mówić jak nakręcony:

- Miałem intuicję, że musi tu chodzić o coś w nieoczywisty sposób oczywistego.

Cokolwiek to znaczy, skomentowała Karolina w myślach.

- Przegryzając kabel, szczur spowodował zwarcie. Instalacja w domu była w kiepskim stanie, więc mogła wywołać jakieś iskrzenia w innych miejscach.

Prokurator Rogalski, druga specjalizacja - elektryk. Policjantka hamowała się, jak mogła, żeby się nie zaśmiać.

- I dlatego pojawiły się tak liczne zarzewia ognia. Że też strażacy nie wspomnieli o tym szczurze...

- Bo jeszcze nie złożyli oficjalnej ekspertyzy wskazującej przyczynę pożaru. Pewnie tam wszystko opiszą w szczegółach. Łącznie ze szczurem. Na razie mamy tylko wstępny raport - wyjaśniła.

- To czemu ich nie ciśniesz? - zdziwił się.

- A to przypadkiem nie twoja działka, żeby pilnować kwitów?

Zignorował pytanie.

Karolinie coś nie dawało spokoju. Jeszcze raz przyjrzała się skrzynce.

– Ale... – zaczęła niepewnie. – Ten szczur wygląda tak, jakby ktoś prawie urwał mu łeb. Po porażeniu prądem byłby tylko popalony, no nie? – głośno myślała.

Rogalski przewrócił oczami i z miejsca ją zgasił:

– Nie szukaj sensacji tam, gdzie jej nie ma. Nie pracujesz w FBI, a to nie są *Kryminalne zagadki Miami*.

Zawiesiła na nim ciężki wzrok. Oto prorok znalazł swoją wersję prawdy i będzie się jej trzymał. A prokurator w takich przypadkach zawsze ma rację – znała takie historie aż za dobrze. Nie zamierzała się z nim spierać, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie miało to sensu. Szkoda sił i energii. Nie zamierzała też tracić czasu, więc odwróciła się na pięcie i poszła ku wyjściu. Miała gdzieś, co ten szczył sądzi o jej zachowaniu.

Zignorowała pytania kolegów i zaczepki dziennikarzy. Wsiadła do samochodu i przez moment tkwiła w bezruchu z rękami na kierownicy. Miała plan na resztę dnia. Pojedzie do fabryki, żeby zająć się papierologią, której nigdy nie brakuje. A potem wróci do domu z czteropakami piwa pod pachą. Albo nawet dwoma.

– Zwyczajnie mi się należy – powiedziała na głos.

* * *

Pół roku przed pożarem

– Ile można na ciebie czekać? – spytał z wyrzutem w głosie Waldemar, patrząc, jak jego córka w środku nocy cicho próbuje zamknąć drzwi wejściowe, a potem czmychnąć na górę do swojego pokoju.

Martyna niedawno skończyła osiemnaście lat i niemal od samego dnia urodzin przestała przestrzegać domowych zasad, które lata temu ustanowił jej ojciec, nie pytając nikogo o zdanie. Pan i władca domu.

- Jestem już dorosła, nie muszę ci się tłumaczyć - odpowiedziała hardo, zerkając na Zawalskiego, który siedział na fotelu ustawionym w rogu salonu.

Mimo ciemności, która spowiła pokój, przełamywanej jedynie światłem maleńkiej lampki stojącej na komodzie, widziała, jak twarz jej ojca zalewa się purpurą. Był wściekły. Często mu się to zdarzało, bo łatwo tracił panowanie nad sobą.

- Dopóki mieszkasz pod moich dachem... - zaczął.

Stara śpiewka, pomyślała i ruszyła w stronę schodów. Mężczyzna poderwał się z fotela i chwycił ją za ramię. Zrobił to jednak tak niefortunnie i mocno, że dziewczyna straciła równowagę i upadła tuż przy schodach, na które przed chwilą zdążyła wejść.

Zamarli na chwilę. Martyna spozjrzała na ojca, ten umknął wzrokiem w bok. Wreszcie pokonał stupor, próbował ją podnieść, ale odepchnęła jego dłoń.

- Pojebało cię?! Znowu chłaeś?! - sama była zaskoczona tym, jak mocno podniosła głos, kiedy gramoliła się z podłogi.

- Przepraszam, ja... - nieporadnie próbował się wytłumaczyć, gdy tylko do niego dotarło, co zrobił.

- Nienawidzę cię - zimne słowa córki były niczym policzek.

Siarczysty.

Zawalski wytrzeźwiał w jednej sekundzie. A przynajmniej tak mu się zdawało. Szukał słów, którymi mógłby zagłuszyć dźwięczące mu w głowie: „Nienawidzę cię”. Nie znalazł.

Martyna odwróciła się i wbiegła po schodach na górę. Usłyszał głośne trzaśnięcie drzwiami. *Pobudzi małych*, pomyślał.

- Co się z nami stało? - mruknął pod nosem, podchodząc do lodówki i wyciągając z niej czwarte dziś piwo.

To nie była pierwsza kłótnia z córką, choć do tej pory żadna z nich nie zakończyła się tak gwałtownie. Był pewien, że teraz jego relacja z Martyną jeszcze się pogorszy.

Rozdział II

Anioł, nie człowiek

23 sierpnia 2019 roku

Krzysztof

Dyktafon uderzył o klucze, kiedy młody reporter wciskał go na siłę do kieszeni spodni. W sumie mógłby posługiwać się dyktafonem w smartfonie. Tyle że oddzielny sprzęt wyglądał, jego zdaniem, profesjonalniej, a poza tym lepiej sprawdzał się podczas dłuższych nagrań. Na szyi zawiesił legitymację prasową: Krzysztof Sielski, „Dziennik Zachodni”. Największa gazeta w regionie, w której dwudziestotrzylatek pracował od niespełna roku. Był trochę zaskoczony, kiedy się dowiedział, że to właśnie on ma napisać artykuł na temat tragicznego pożaru w Jastrzębiu-Zdroju. Wydawca podjął taką decyzję najpewniej dlatego, że Krzysiek był miejscowy. Mieszkał w Jastrzębiu-Zdroju od urodzenia. *Chociaż niekoniecznie chciałbym w tej miejscinie umrzeć*, pomyślał gorzko.

„Może damy to nawet na czoło, jak się postarasz”, wydawca motywował go wcześniej przez telefon. Jasne. Tylko niby jakie „to”, skoro Krzysiek nie miał nic konkretnego? Prowadzący sprawę prokurator Rogalski rzucił dziennikarzom kilka okrągłych zdań bez znaczenia i zniknął za drzwiami domu w Bziu. Sielski wiedział, że może liczyć najwyżej na jakiś bok, podwał albo króciaka. Pachniało malizną, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

– Nie będę tu stał jak debil – rzucił do koleżanki ze śląskiej telewizji TVS i postanowił powęszyć między domami w poszukiwaniu sąsiadów rodziny Zawalskich.

Albo kogokolwiek, kto chciałby coś powiedzieć na ich temat.

Schował okulary przeciwsłoneczne do torby przewieszanej przez ramię, której pasek wygniatał jego luźną, granatowo-czarną koszulę w kratę. Sierpień był wyjątkowo gorący, ale Krzysiek musiał znaleźć sposób, by wyglądać jako tako poważnie mimo młodego wieku, więc wybrał koszulę. A do tego jeszcze ta jego buźka nastolatka... *Tutaj przynajmniej nikt nie będzie próbował zagonić mnie do sali lekcyjnej*, niemal parsknął, wspominając, jak jedna z nauczycielek Zespołu Szkół Nr 2 przy ulicy Poznańskiej próbowała wepchnąć go na egzamin maturalny, choć już dawno skończył szkołę i pojawił się w niej zawodowo, by porobić zdjęcia absolwentów do piątkowego tygodnika. Takie uroki młodzieńczego wyglądu.

Miał wrażenie, że ludzie na widok jego legitymacji od razu się spinają, gotowi do rozmowy. Ich zapach zazwyczaj znikał, kiedy okazywało się, że muszą się przedstawić z imienia i nazwiska, a do tego zapoznać do zdjęcia. Przy okazji tak poważnych tematów jak ten z Bzia anonimowe głosy sąsiadów być może zostałyby zaakceptowane przez wydawcę, ale i tak lepiej było mieć targeta, który zgodzi się pokazać twarz.

– Przepraszam, mogę pani zająć chwilę? – zwrócił się do starszej kobiety, która stała oparta o furtkę posesji oddalonej o kilkadziesiąt metrów od domu Zawalskich.

– Straszna tragedia, straszna... – zaczęła i nagle urwała.

W sumie co innego miałaby powiedzieć?, przeleciało mu przez myśl. Zdążył już doskonale poznać zestaw ludzkich reakcji na podobne wydarzenia. Mocno ograniczony. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak liczyć na to, że z potoku komunałów i zwyczajowych żalów uda mu się wyłowić jedno czy dwa zdania, które będzie mógł zacyto-

wać w artykule. Sięgnął po dyktafon. Na widok urządzenia kobieta nieco się skrzywiła, ale mówiła dalej:

– Waldek to wzorowy człowiek, taki pomocny. Zoperował mnie kiedyś. Gdyby nie on, pewnie już bym nie chodziła po świecie. No anioł, nie człowiek, proszę ja pana.

– Może słyszała albo widziała pani coś podejrzanego w noc pożaru? – próbował wyciągnąć ze staruszki konkrety.

– Nie, kochanieńki, nic nie słyszałam. Sen mam, chwalić Boga, dobry i mocny. A tam nawet płomieni nie było widać. Obudziły mnie dopiero syreny strażackie – powiedziała, natychmiast gasząc jego zapal.

– Jo zech słyszoł – nagle zza pleców reportera dobiegł lekko schrypnięty głos.

Dziennikarz odwrócił się i zobaczył leciwego mężczyznę ubranego w ciemnoszary garnitur. Nadszedł od strony kościoła, więc pewnie wracał z porannej mszy. Sądząc po używanej przez niego godce, był rodowitym Ślązakiem.

– A co konkretnie? – spytał Sielski.

– Takie larmo, że zmarłego by obudził. „Pomogej, pomogej!”. To chyba ta dziolcha ryczała – odparł mężczyzna.

Krzysiek domyślił się, że chodziło o osiemnastoletnią Martynę, która przeżyła pożar. Jako jedyna poza ojcem, którego akurat tej nocy nie było w domu. Farciarz. Albo i nie. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby stracił bliskich – siostrę czy rodziców. Szybko odegnał te myśli. *Obiektywizm i dystans*, napomniał się. *Po prostu wykonuj dziennikarską robotę, zamiast się wczuwać.*

Chrząknął. W duchu podziękował babci, która czasami rozmawiała z nim po śląsku. Bez tych pogaduszek niewiele by zrozumiał ze słów staruszka.

– A kto wezwał strażaków? – zapytał.

– Jak usłyszałem krzyki, to zadzwoniłem na 112, ale już wiedzieli o sprawie. Pewnie ta córka dzwoniła – odpowiedział mężczyzna, stara-

jąc się unikać gwary, by dziennikarz mógł go lepiej zrozumieć. – Byda w cajtongu? – wypalił nagle.

– Jak zgodzi się pan na zdjęcie... – zaczął Krzysiek, choć nie do końca wiedział, czy to słowo rzeczywiście oznacza gazetę.

Często zdarzało się, że na taką propozycję rozmówcy reagowali gwałtowną odmową, ale nie tym razem. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna nie tylko zgodzili się na podanie personaliów, lecz także ustawili się do zdjęcia na tle policyjnych radiowozów. Dalekim tle, należyć dodać, bo nie chcieli podchodzić zbyt blisko.

– A powiedzą mi jeszcze państwo, jaka to była rodzina? Może mieli jakichś wrogów? – zapytał, ale szybko tego pożałował, gdy zobaczył skrzywione miny starszych ludzi.

No tak, zaraz usłyszysz, że „Panie, to tacy porządni ludzie byli, a dzieci zawsze »dzień dobry« mówiły”, przemknęło mu przez myśl.

– Wrogów? Że ktoś im z chałpy specjalnie zrobił fojera? – staruszek wydawał się aż przesadnie zaciekawiony.

– Nie gadaj głupot, Zenek, przecież od początku wszyscy mówią, że to wypadek. Zawalscy byli tutaj bardzo lubiani i szanowani. Waldek jest lekarzem, zawsze służy do mszy i pomaga na parafii. A żona była córką dyrektora kopalni. Religijni, uczynni, Boga mieli w sercach. Dzieci też dobrze wychowane, grzeczne. Jedynie z tą Martyną mieli chyba jakieś problemy. Dziewczyna lubiła się szlajać po nocach z jakimś chuliganami – wyliczała kobieta, której sąsiad zgodnie przytakiwał.

Córka czarną owcą, zawsze jakiś punkt zaczepienia, pomyślał Krzysiek, ale nie skomentował niczego na głos. Podziękował za rozmowę i odszedł na bok.

Krążył przez chwilę po okolicy, wypytywał ludzi o Zawalskich i pożar, aż stracił rachubę czasu. Wtedy usłyszał pisk opon i zauważył, jak sprzed domu odjeżdża samochód prokuratora. Dziennikarze też zaczęli się zbierać.

- Kurwa, zagadałem się – zaklął pod nosem i zaczął się zastanawiać, co powie wydawcy, gdy do niego zadzwoni.

Nie miał za wiele konkretów, z których dałoby się wyrzeźbić drukowalny tekst.

Zabrzączał dzwonek telefonu, Krzysiek spojrzął na wyświetlacz. *Mam jakiś podstuch?*, pomyślał z lekkim rozbawieniem

- I co, dowiedziałeś się czegoś? – spytał wydawca.

Ani „cześć”, ani „w dupę mnie pocałuj”... Krzysiek przywykł już do stylu bycia przełożonego. Opowiedział, co ustalił, i wytłumaczył, że prokurator właściwie nie chciał rozmawiać z mediami. A na pewno nie o konkretach.

- Przykładowa rodzina, mówią sąsiedzi... Faktycznie dokopałeś się do rewelacji – wydawca nie miał dobrego humoru. – Wiesz co, ta historia może poczekać, aż trafisz na konkretny news, a nie jakieś rzewne kawałki z dupy wzięte. Do netu możesz za to zrobić galerię z dzisiejszego spotkania autorskiego z tym waszym lokalnym pisarzem. Niedawno wydał kolejny kryminał – polecił.

W Krzysku aż się zagotowało.

- Miałem mieć wolny wieczór – rzucił krótko.

- Dziennikarz nigdy nie ma wolnego – bolesna riposta, oznaczająca w skrócie: „Zbieraj dupę w troki i bez gadania”.

- Dobra, ogarnę – rzucił i od razu się rozłączył.

Poirytowany ruszył w stronę auta. Miał jeszcze dwie, może trzy godziny, by trochę odpocząć i jako tako przygotować się do spotkania z pisarzem.

Krzysztof

Szybki prysznic i zmiana łachów. Tym razem zamiast koszuli zwykły czarny T-shirt, bo nie zakładał, że będzie się musiał przed kimś spinać i udawać poważniejszego, niż jest. Szybko odhaczy obowiązki i tyle –

tak ambitny miał plan. Stał przed oknem swojej kawalerki. Znajdowała się na dziewiątym piętrze długiego wieżowca przy ulicy Wielkopolskiej. Mieszkanie na ostatnim piętrze miało swoje plusy. Mógł cieszyć wzrok widokiem parków i zalesionych jarów. O ile akurat nie patrzył na szeregi popeerelowskich bloczysk, których w Jastrzębiu-Zdroju wszędzie było pełno. Czasami myślał, że gdyby jakiś tajemniczy kataklizm zmiotł nagle wszystkie bloki w mieście, ukazałoby się jego prawdziwe oblicze – przerośniętej wioski w cieniu kopalnianych szybów. Ale mieszkanie na ostatniej kondygnacji miało również minusy, bo jego lokum było wiecznie przegrzane. Nawet w zimie rzadko odkręcał kaloryfery.

Zanim wyszedł z mieszkania, sprawdził jeszcze raz, czy zabrał wszystkie potrzebne rzeczy. Taka obsesyjka. Podobnie jak wracanie do drzwi, czasami kilkakrotne, żeby sprawdzić, czy na pewno przekręcił klucz w zamku. Na klatce schodowej minął sąsiada z ciemnymi otoczkami wokół oczu, który wracał z szychty w kopalni, być może zrobiwszy szybkie piwo w przykopalnianym barze. Wymienili się ponurymi spojrzeniami. Górnik wiedział, że jutro czeka go kolejna szychta, Krzysiek swoją miał do zaliczenia jeszcze tego wieczoru.

Miejska biblioteka znajdowała się niedaleko od jego bloku, czekał go ledwie dziesięciminutowy spacer, więc nie odpalał auta. Piętrowy budynek księżnicy nie był efektowny. Stał przed czymś w rodzaju przeszklonego ganku i patrzył na czytelników przybywających na spotkanie autorskie. Naliczył ich całkiem sporo. Trudno się dziwić, bo Jakub Jowisz był sławny. Nic to, że tylko lokalnie, w Jastrzębiu-Zdroju i okolicach. Wydał właśnie kolejny kryminał zatytułowany *Ślusarz śmierci*. Krzyśkowi trąciło to lekką grafomanią, ale w sumie co on wiedział o prozie kryminalnej? Tyle co nic. Prawdę mówiąc, nie za bardzo pojmował, dlaczego powieści kryminalne cieszą się w Polsce tak dużą popularnością. I to od lat. A może działa tu ta sama zasada co w przypadku mediów? Najlepiej sprzedaje się krew – i dobrze jeszcze, żeby była pomieszana ze spermą. *Chrzanić to*, uznał. Chciał jedynie cyknąć

kilka fotek, wynotować jedno czy dwa zdania ze słowotoku pisarza, zazwyczaj gadatliwego ponad miarę, a potem wrócić do domu w poczuciu dobrze spełnionego, choć nikomu niepotrzebnego obowiązku. Najlepiej by było, gdyby któryś z uczestników spotkania wytknął Jowiszowi jakiś błąd logiczny czy rzeczowy. Zawsze byłaby to drobna sensacja, która ubarwiłaby tekst. Nie był jednak pewien, czy się jej doczeka.

Przy wejściu do biblioteki okazał legitymację prasową, choć właściwie nie musiał tego robić, ponieważ spotkanie było otwarte. Chciał jednak dać znać, że media są obecne, żeby organizatorów nie dziwiło, że co chwilę wstaje z miejsca, chodzi po sali i robi zdjęcia. Galeria zwiększała klikalność tekstu, więc było to konieczne. W sumie kilka zdań relacji ze spotkania, które musiał napisać, stanowiło jedynie dodatek do fot. Takie czasy, takie dziennikarstwo.

Jowisz, mocno łysiejący mężczyzna w średnim wieku, przyszedł ubrany w niemal obowiązkowy strój twórców kryminałów. Dżinsy i krótka skórzana kurtka. Krzysiek pomyślał, że musi mu być cholernie gorąco. Na przywitanie jedna z kierowniczek biblioteki wygłosiła pean na cześć pisarza: że ważny i poczytny, a do tego nasz, w Jastrzębiu-Zdroju rodzony. Potem autor dostał brawa, bo tak przecież wypadło, poopowiadał o nowej powieści, puścił oko do reporterów. Właściwie jedynie do Krzyska, ponieważ żaden inny przedstawiciel mediów się nie zjawił.

Sielski miał już dosyć. Postanowił wyjść przed końcem spotkania, ale kiedy już się zbierał, usłyszał, jak Jowisz proponuje, że odpowie na pytania publiczności. Niby standard, ale wtedy stało się coś, czego Krzysiek zupełnie się nie spodziewał.

– Nazywam się Waldemar Zawalski – zaczął mężczyzna, któremu właśnie przekazano mikrofon.

Ja pierdołę, to ten Zawalski, no nie wierzę, myślał gorączkowo.

Mężczyzna wstał. Obecni na spotkaniu zamarli. Trudno, żeby go nie skojarzyli, skoro o pożarze w jego domu media trąbiły od kilkun-

stu dni. Zawalski wyglądał jak wrak człowieka, miał poszarzałą, jakby wymiętą twarz, sprawiał wrażenie wychudzonego. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę zapiętą pod szyją. Bez krawata. Nie wiedzieć czemu Krzyśkowi zdawało się, że przez tę pozapinaną koszulę mężczyzna wygląda jak sto nieszczęść. Dziennikarz na chwilę zamarł, ale szybko się otrząsnął i chwycił aparat, wcześniej wyłączając lampę błyskową. Miał nadzieję, że będzie się działo. Cokolwiek.

Po chwili ciszy Zawalski odchrząknął i zaczął mówić zbolalym, rwącym się głosem:

– Moja żona była pana wielką fanką. I pewnie... na pewno by tutaj przyszła, gdyby... – z trudem powstrzymywał łzy. – Nie może jednak tego zrobić, więc jestem ja. Chciałem osobiście podziękować panu za to, jak wiele radości sprawiał jej pan swoimi książkami. Uwielbiała je... Czytała w każdej wolnej chwili – Zawalski nie spuszczał wzroku z Jowisza, jakby w całym pomieszczeniu byli tylko oni dwaj, pisarz i człowiek, który stracił najbliższych. – Dziękuję.

Cisza, która wypełniła bibliotekę po tej wypowiedzi, stawała się nieznośna. I jeszcze ten niepewny uśmiech Jowisza. Krzyśkowi wydawało się, że pisarz ewidentnie nie wie, jak się zachować. Czy powinien szczerzyć się do faceta, który właśnie stracił niemal całą rodzinę, jak miał w zwyczaju szczerzyć się do wszystkich czytelników okazujących mu zainteresowanie? Czy może zadumać się nad jego wypowiedzią? Za to sam dziennikarz doskonale wiedział, co robić. Jeszcze przed występm Zawalskiego włączył dyktafon i jednocześnie zaczął go obfotografowywać z każdej ze stron. Wszystko miał pięknie udokumentowane.

– To ja panu dziękuję, jest pan niesamowicie silnym człowiekiem. Prawdziwie niezłomnym. Mogę pana uściskać? Zapraszam na scenę – Jowisz przerwał ciszę, siląc się na teatralny ton.

Krzysiek nie mógł wyjść ze zdziwienia, że Waldemar przystał na tę propozycję. Właściwie na cholerę mu taka bliskość obcego faceta?

Zawalski powoli wy dostał się z rzędu krzesel, by dotrzeć na środek. Tam pisarz niemal rzucił mu się w ramiona.

Jedna część uczestników spotkania gapiła się na tę scenkę bez słowa, druga klaskała. Właściwie nie wiadomo z jakiego powodu. Ktoś zaszlochał. Krzyskowi cała sytuacja wydawała się trochę dziwna, trochę nie na miejscu, ale nie wyszedł z roli i zrobił zdjęcie. Okładkowe jak nic.

Po wymianie uścisków Zawalski wrócił na swoje miejsce, a Jowisz do samego końca spotkania mówił już tylko o tym, jak się cieszy, że jego twórczość może pozytywnie wpływać na czyjś nastrój, dawać ukojenie, leczyć duszę.... Bla, bla, bla. Sielskiemu wydawało się, że nie tylko on przestał zwracać uwagę na to, co mówi pisarz, bo większość osób na sali wpatrywała się w Zawalskiego. Ten z kolei, niewzruszony, z twarzą podobną do maski, uważnie wsłuchiwał się w słowa Jowisza.

Krzysztof

Po spotkaniu Krzysiek wyszedł przed bibliotekę, licząc na to, że zdoła porozmawiać z Zawalskim na osobności. *Teraz albo nigdy*, pomyślał i ruszył za Waldemarem, który powoli, ze zwieszonymi ramionami oddalał się od biblioteki. Włączył dyktafon, zrównał się z Zawalskim i zagadał, licząc na zaskoczenie:

– Przepraszam, jestem dziennikarzem „Dziennika Zachodniego”, Krzysztof Sielski. Zajmę panu tylko chwilę.

Mężczyzna nie zareagował, dalej szedł wolnym krokiem przed siebie.

– Wielka tragedia. To, co się stało. Jak pan sobie daje radę? – wypalił Krzysztof.

Waldemar wreszcie się zatrzymał, przeszył Sielskiego spojrzeniem, nerwowo pocierając prawy rękaw czarnej marynarki. Krzysiek był niemal pewien, że usłyszy jakąś wiązanekę i zostanie odprawiony

z kwitkiem, ale ku jego zaskoczeniu Zawalski spokojnie odpowiedział na pytanie:

– Odnajduję ukojenie w Bogu – wznosił oczy ku niebu. – Wierzę, że moja ukochana rodzina jest teraz w lepszym miejscu.

Jak to rodzina? Cała? Przecież została mu jeszcze córka, zastanawiał się gorączkowo dziennikarz.

– Znalazł pan w sobie siłę, by się tutaj dziś pojawić. To dla żony, prawda? – poszedł za ciosem.

Wyciągnął z niego informacje o tym, co i jak mocno czuje. Taki miał plan. Emocje zawsze dobrze się sprzedawały w mediach, im gwałtowniejsze, tym lepiej.

– Tak, moja żona bardzo lubiła tego pisarza i pomyślałem, że będzie jej miło, bo na pewno dogląda mnie z nieba.

Sielski poczuł szturchnięcie w ramię, kiedy tuż obok niego przeszła starsza kobieta. Położyła delikatnie dłonie na ręce Zawalskiego i wyszeptła: „Wyrazy współczucia”, a następnie odeszła. Waldemar pokiwał głową w podzięce.

– Ma pan podejrzenia, co mogło doprowadzić do pożaru? – Krzysiek wystrzelił z pytaniem bez zastanowienia i od razu przeklął siebie w myślach.

Teraz na pewno odejdzie, pomyślał.

Ale Waldemar odpowiedział, i to nad wyraz trzeźwo i rzeczowo:

– Bywały już zwarcia instalacji w naszym domu, ale wzywaliśmy elektryków i sprawa miała być załatwiona. Strażacy mówili, że to mogło być też zaproszenie ognia. Wypadek, który nie powinien był się zdarzyć.

– Rozumiem, bardzo mi przykro... Nie chcę teraz nadużywać pańskiego czasu, więc może zechciałby pan porozmawiać ze mną w spokojniejszych okolicznościach?

Cisza, jaka zapadła po tym pytaniu, zdawała się trwać w nieskończoność. Krzysiek przetrzymał jednak milczenie Zawalskiego, który

nieustannie się w niego wpatrywał.

– Dobrze, możemy się umówić na wywiad.

– Świetnie, to moja wizytówka, skontaktuję się z panem.

Zawalski wziął wizytówkę i podyktował swój numer, który Krzysiek szybko zapisał w telefonie. Waldemar obrócił się na pięcie i odszedł, a reporter ocknął się, dopiero gdy sylwetka mężczyzny zniknęła pośród drzew rosnących wzdłuż ścieżki prowadzącej w kierunku Jaru Południowego.

Martyna

Czuła się tak, jakby utknęła w półśnie. Niby wstawiała z łóżka co rano, coś jadła, coś robiła, jednak nie mogła wejść w świat, normalnie żyć. I tak od ponad dwóch tygodni. Od tamtej nocy, kiedy jej świat się zawalił, a właściwie spłonął. Tylko czasami udawało jej się na nowo złapać kontakt z rzeczywistością. Jako taki. Właśnie jak tego wieczoru, kiedy dotarło do niej, że stoi na ścieżce gdzieś pośrodku Jaru Południowego. Jak długo tkwiła w jednym miejscu? I właściwie co tam robiła?

Aha, stary... Szła za starym. Od dawna nie nazywała go ojcem. Nawet w myślach.

Czasami, kiedy tkwiła sama w dojmująco bezosobowym pokoju w tanim hotelu, obracała w myślach obrazy i sceny z ostatnich dni, które pozostały w pamięci. Nieliczne.

Kłęby dymu w palącym się domu. Pamiętała strach, który nie pozwolił jej wejść w gryzący, odbierający oddech mrok. Może uratowały kogoś z bliskich, a może nie. Może chociaż uratowałyby Wiktorka... Bywały chwile, kiedy myślała, że lepiej by było, gdyby zginęła jak jej mama i rodzeństwo. Lepiej dla niej.

Strzępy wspomnień pozostałe po rozmowach ze strażakami, z policjantami. Mnóstwo obcych ludzi zadawało jej pytania. Odpowiadała, jak potrafiła. Czasami zacinała się i nie mogła wydusić z siebie choćby

jednego zdania. Jak podczas rozmowy z psycholog, którą do niej wysłali. Kobieta w kółko dopytywała o jej emocje. „Co czujesz, Martyno?”. A co w sumie mogła czuć? Ból, żal, pustkę, wściekłość... Właściwie wszystko naraz. Prawdę mówiąc, nie umiała się połapać we własnych emocjach.

Kłótnia ze starym. Ostatnia. Po... po tym wszystkim, co się stało, a czego Martyna nie chciała nawet nazywać wprost, władze miasta zaoferowały im pomoc. Mogli się przenieść do niewielkiego mieszkania socjalnego i zostać w nim do czasu, aż zdołają wrócić do domu. O ile kiedykolwiek to nastąpi. Na razie nie wyobrażała sobie, by mogła przekroczyć jego próg. Stary uparł się, że nie, nie ma mowy. Pójdą do hotelu, w końcu go stać. Czy chodziło o pieniądze, o dumę, czy o coś zupełnie innego? Nie miała pojęcia. Nie chciała iść do hotelu. Stary zarządził inaczej i jak zwykle nie liczył się z jej zdaniem. „Moje pieniądze, więc ja decyduję. Bez dyskusji”. Stara śpiewka. Wynajął dwa pokoje, umieścił ją w jednym z nich. I tyle. Poszła do hotelu, bo niby gdzie indziej mogła się zatrzymać? Dziadkowie ze strony ojca mieszkali w Koszalinie, z dziadkami ze strony matki nigdy się nie dogadywała. Stary nie interesował się nią, prawie nie rozmawiali. Odnosiła wrażenie, że ten hotel jest po to, żeby zeszła mu z oczu, co w jednym mieszkaniu byłoby dużo trudniejsze. Czasami natykali się na siebie podczas śniadania w restauracji. Wołała jeść sama.

Pamiętała długie godziny spędzane w łóżku. Leżała na wznak i gapiła się na poznaczone rysami sufit. Myśli przepływały przez głowę falami, ale nie umiała ich uchwycić. Myślała o wszystkim i o niczym jednocześnie.

Pogrzeb... To wspomnienie powracało do niej dzień w dzień. Pięć trumien obok siebie, w tym jedna wyraźnie mniejsza. Wiktorka... Resztę ceremonii spowiła gęsta mgła. Ryczała, to na pewno. Nie potrafiła powstrzymać targającego nią szloch.

Znajomkowie z jej ekipy dzwoniли, pisali wiadomości na komunikatorach. Telefonów nie odbierała, na wiadomości nie odpisywała,

choć je czytała. Przynajmniej niektóre. Na przykład od Seby... Byli parą, ale tak jakby z doskoku. Był od niej o dwa lata starszy, studiował zaocznie coś ekonomicznego i pracował jako barman w takiej sobie knajpie. Najbardziej jednak kręciło go robienie graffiti. I przez to był cały przypał jakiś czas temu. Mówiła, żeby sobie odpuścił rysowanie na kościelnym murze. Nie posłuchał – jak zwykle. Narysował jakąś abstrakcję, ale ksiądz ze świętojebliwymi parafianami na dokładkę zobaczyli w niej swastykę. I się zaczęło. Stary chciał ją zamknąć w domu, zabrać telefon, odciąć od ludzi. Niedoczekanie. Jednak nie mogła potem spotykać się swobodnie z Sebą. Wszystko było z przyczajki, bo w takiej większej wiosce jak Jastrzębie nie można pierdnąć, żeby ktoś nie usłyszał.

Momentami dopadało ją poczucie bezsensu. Wcześniej miała plany, nawet jako tako konkretne – zdać maturę, załapać się na studia, jakiegokolwiek i byle gdzie. Żeby tylko wyrwać się z domu, z Jastrzębia. Teraz wszystkie jej plany ograniczały się do jednego – obudzić się rano. Chociaż i na tym niespecjalnie jej już zależało.

Próbowała nie myśleć o starym, wyrzucić go ze świadomości. Nie zawsze jej się to udawało. W niejasny sposób dręczył ją jego spokój. Sprawiał wrażenie, jakby nie odczuwał żadnych emocji. A przecież wcześniej bywało, że wkurwiał się na maksa. Sama tego doświadczała. Teraz twarz miał niczym nieruchomą maskę. I ciągle powtarzał głosem, który kojarzył jej się ze środkiem srogiej zimy: „Bóg dał, Bóg wziął”. Jak, jebany, mógł w ogóle tak myśleć?

Kiedy nie mogła wysiedzieć w pokoju hotelowym, wychodziła i błąkała się po mieście bez celu. Po podobnych do siebie blokowiskach pełnych ludzi krzątających się wokół zwykłych życiowych spraw. Oni mieli życie. Ona niekoniecznie. Tego dnia też wyszła. Stała przy rogu budynku i bezradnie rozglądała się dookoła. Nie wiedziała, co zrobić – z tym dniem, ze sobą, z życiem. Zobaczyła starego i poszła za nim. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Doszli do biblioteki. Zdziwiła się, bo jeśli kiedykolwiek widywała starego

z książką, były to jedynie publikacje specjalistyczne, medyczne. Po kiego on tam polazł? Stała w drzwiach sali, w której odbywało się spotkanie z jakimś pisarzem. I nagle stary wstał i zaczął głądzić tym swoim wypranym z emocji głosem. Mówił o mamie. Jak on śmiał o niej mówić? W Martynie aż się zagotowało. Wybiegła z biblioteki.

Musiała poczekać, aż stary wyjdzie po spotkaniu. Nie było innej opcji, skoro stała teraz na środku ścieżki w Jarze Południowym. Nie rozumiała, co właściwie robi i po co. Po głowie kołatała jej się jedna, wątła myśl, że musi się ogarnąć, wyrwać z bagna żałoby, bo inaczej skończy się to dla niej źle. Stary pewnie skwitowałby to swoim beznamiętnym: „Bóg dał, Bóg wziął”. Nie, na pewno nie da mu tej satysfakcji. Niedoczekanie.

Zacisnęła pięści, wcisnęła je w kieszenie spodni i poszła do hotelu. Okrężną drogą.

Krzysztof

Targały nim sprzeczne emocje. Z jednej strony cieszył się, bo miał poczucie, że zdobył mocny, ekskluzywny materiał, który na pewno ucieszy wydawcę. A musiał przecież regularnie u niego punktować, żeby nie wylecieć na zbity pysk. Zwolnienia w kolejnych redakcjach były na porządku dziennym, a branża dziennikarska zrobiła się niestabilna jak mało kiedy. Ale z drugiej strony czy ta rozmowa nie była zbyt... otwarta? Dziwna, to na pewno. Przez całą drogę powrotną rozmyślał o tym, z jaką łatwością Zawalski zgodził się na rozmowę z nim, a nawet umówił na dłuższy wywiad. Czy tak zachowuje się facet, który niedawno stracił najbliższych? Może to jakiś zespół stresu pourazowego? Albo Zawalski tak właśnie przechodzi żałobę? W końcu ludzie rozmaicie oswiają śmierć bliskich. Jedni zamykają się w sobie, drudzy wręcz przeciwnie.

Młody reporter nie wytrzymał i mimo późnej pory wybrał numer wydawcy. Jacek Jeżyna odebrał po kilku sygnałach. Chyba został

wyrwany ze snu, bo głos miał mocno zachrypnięty.

– Jacek, nie uwierzysz – zaczął Krzysiek, nie mogąc ukryć ekscytacji. – Na tym spotkaniu autorskim spotkałem Waldemara Zawalskiego.

– Tego od spalonej rodziny? – wydawca w sekundę wszedł w tryb pracy.

– Tak. Mam zdjęcia, jak ściska się z Jowiszem, no bo się ściskali, wyobrażasz sobie? Zawalski zgodził się nawet chwilę ze mną pogadać, opowiedział o swoich przypuszczeniach związanych z pożarem i obiecał, że umówimy się na wywiad.

– Krzysiek, czy ty zachlałeś? Gadaj po kolei i spokojnie.

Sielski odchrząknął. Starał się opanować emocje.

– No, Zawalski przyszedł na spotkanie z Jowiszem. Kiedy był czas na pytania publiczności, wstał i powiedział, że jego żona była fanką Jowisza. Takie tam. A pisarz udzielił mu tak jakby wsparcia i go objął.

– Aha.

– A później złapałem Zawalskiego przed biblioteką. Serio, będzie wywiad. Mamy ekskluzywa.

W sumie nie do końca jeszcze mógł uwierzyć we własne szczęście. Zawalski od czasu tragedii konsekwentnie unikał mediów. Co takiego się zmieniło, że zgodził się na wywiad? A może była to jedynie chwila słabości udręczonego mężczyzny i później po prostu spuścił go po kiju? Uznał, że nie ma co się martwić na zapas.

Jeżyna milczał przez dłuższą chwilę, ale w końcu zarządził:

– Dzisiaj już i tak jest za późno, by puścić to do gazety, bo wydanie poszło do druku. Koniecznie wpadnij jutro do redakcji, obgadamy temat na spokojnie. Nie opowiadaj o tym nikomu, musimy być pierwsi – chciał zobaczyć dowody na własne oczy. – Dobra robota, młody – dodał szybko i się rozłączył.

Sielski do mieszkania wracał jak na skrzydłach. Wyglądało na to, że Jeżyna miał rację, gdy powiedział, że dziennikarz nigdy nie ma wol-

nego. Oczywiście mu tego nie przyzna, bo i po co. Wydawca i tak żył w błogim przekonaniu, że pozjadał wszystkie dziennikarskie rozумы.

Może najbliższe wydanie gazety będzie przełomowe dla mojej kariery, myślał Krzysiek, nalewając sobie whisky, ostrożnie, na jeden palec. Trzymał tę butelkę na specjalne okazje.

* * *

20 kwietnia 2019 roku

W ten piątek tak zwany tygodnik jastrzębski, czyli wkładka do „Dziennika Zachodniego”, wylądował na stole obok filiżanki kawy. Zawalski ani nie kupował, ani nie czytał regularnie tej gazety, ale tym razem była okazja. Nie byle jaka. Strona siódma, fotorelacja z krótkim tekstem, a na zdjęciu nie kto inny niż on. Uśmiechał się do obiektywu niemal wtulony w jowialnego księdza – proboszcza parafii w Bziu. „Parafianin zafundował remont kościelnych schodów” – brzmiał nagłówek, który teraz z dumą odczytał. Zobaczyć własne nazwisko w dzienniku – poważna sprawa. O zdjęciu nawet nie wspominając.

Dziennikarkę trochę poniosło, ale kto by tam wnikał w szczegóły. Waldemar co prawda dołożył do remontu sporą sumę, opiewającą na kilkanaście tysięcy złotych, jednak nie był to całkowity koszt naprawy. Nie zmieniało to rzecz jasna faktu, że tak hojni parafianie nie zdarzali się często.

„Jesteśmy dumni, że mamy w naszej parafii kogoś takiego jak Waldek. To człowiek-anioł. Nie przesadzam. Nigdy nie odwraca się plecami do potrzebujących i jest wszędzie, gdzie ktoś potrzebuje pomocy” – zachwycał się cytowany w artykule ksiądz Mikołaj Jakubczak.

– Jesteś sławny, cieszysz się? – spytała Martyna z przekąsem, gdy usiadła do stołu. Wzięła grzanekę i cienko posmarowała dżemem. –

Szkoda, że gdy ja potrzebuję kasy, to nigdy jej nie masz – dodała.

Policzył w myślach do dziesięciu. Nie, nie da się tego dnia wyprowadzić z równowagi krnąbrnej córce. Nikt ani nic nie przeszkodzi mu w świętowaniu sukcesu. A Martyna? Z roku na rok stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Przynajmniej dla ojca. Wcześniej tłumaczył jej zachowanie nastoletnim buntem, ale skończyła osiemnaście lat, a było z nią jedynie gorzej. Sam już nie wiedział, o co jej chodzi. I do czego może doprowadzić ich konflikt. Wspomnienie tego, jak córka upadła, gdy ją pchnął, położyło się cieniem na jego myślach. Nie jest taki. Na pewno nie jest przemocowcem. Czasami myślał z rezygnacją, że w każdej, nawet najlepszej rodzinie musi się trafić czarna owca. Padło na Martynę, trudno.

– Wielu ludzi miało problem z dotarciem do kościoła przez te rozpadające się schody, a dobrze wiesz, że ksiądz zawsze życzliwie traktował naszą rodzinę. Akurat mieliśmy trochę oszczędności i postanowiłem się odwdziaczyć – odpowiedział spokojnie i wypił resztę kawy.

Żona zaraz dołała mu z porcelanowego dzbanka z drogiej zastawy. Zawalscy nie narzekali na brak pieniędzy. Ich dom może nie wyglądał imponująco z zewnątrz, jednak wewnątrz robiło wrażenie. Nie na darmo Waldemar zainwestował grubą kasę w architekta wewnątrz.

Martyna parsknęła i cisnęła na talerz ledwie nadgryzioną grzanekę. Odeszła od stołu równie szybko, jak do niego usiadła.

Magda położyła dłoń na ramieniu męża.

– Nie przejmuj się, przejdzie jej – zaczęła, uśmiechając się niepewnie. – Jestem z ciebie taka dumna. Zawsze bezinteresownie pomagałaś potrzebującym.

Pogłaskał żonę po dłoni.

– Nasz proboszcz powtarza, że ubodzy są najbliżsi Jezusowi. Też chcę być blisko naszego Zbawiciela.

– Amen.

Magda usiadła obok męża. Upiła łyk kawy. Wcześniej rano zazwyczaj nie miała ochoty na jedzenie. Zresztą musiała trzymać dietę, bo

po ostatniej ciąży wciąż jeszcze nie zrzuciła nadmiarowych kilogramów.

- Chciałem zrobić dobry uczynek, więc dałem mu te pieniądze - zaczął, jakby chciał się wytłumaczyć. - A poza tym dobrodziej obiecał, że zwróci nam część, gdy tylko parafia odbije się od dna.

Magda wcale nie oczekiwała tłumaczeń. Przecież to Waldek zarabiał na rodzinę, do tego nie mało, właściwie to były jego pieniądze. Chociaż nigdy nie dał jej tego odczuć. Nie narzekała na wspólne zarządzanie domowym budżetem i choć nie miała bezpośredniego dostępu do konta bankowego, Waldemar zawsze liczył się z jej zdaniem i rzadko zdarzało im się wyklócać o pieniądze. Wiadomo, drobne tarcia się pojawiały, jak to w rodzinie.

Bardzo dobrej rodzinie, pomyślała, patrząc z czułością na męża.

Rozdział III

Rysy i pęknięcia

26 sierpnia 2019 roku

Artur

Prokurator Rogalski nie potrzebował porannej kawy, bo ciśnienie skoczyło mu, gdy tylko spojrzął na okładkę najnowszego wydania „Dziennika Zachodniego”. Wystarczyły trzy dni od ostatniej wizyty na miejscu zbrodni, by jakiś reporter dorwał się do Zawalskiego. Artur ze zdumieniem czytał artykuł zatytułowany: *Waldemar Zawalski znajduje pociechę u znanego pisarza. Ludzie oplakują śmierć matki i czworga dzieci*. Tanie sensacje, łzawe story, że też ludzie wciąż kupują takie historie, kręcił głową z niedowierzaniem. Do tego jeszcze zdjęcie Zawalskiego wtulonego w Jowisza, autora kiepskich kryminałów... Że pisarz szukał rozgłosu, kiedy i gdzie się tylko dało, nawet rozumiał. Ale po co to było Zawalskiemu? Po kiego wziął udział w tej łzawej szopce i jeszcze gadał z dziennikarzem? Niby facet jest w żałobie, ale... Zdaniem Artura Zawalski – jak na męża, który stracił żonę, oraz ojca, który stracił dzieci – zachowywał się dziwnie albo wręcz niestosownie. Rogalski wiedział z doświadczenia, że zbytne zainteresowanie mediów nie pomaga sprawie. Żadnej. Węszą, szukają sensacji niekoniecznie tam, gdzie one mogą być, przeinaczają fakty. Wolałby wyjaśnić sprawę tragicznego, a zarazem nietypowego pożaru w ciszy i spokoju. Cóż, nie zawsze miał taką możliwość.

Chwycił za telefon i wybrał numer Szewczyk.

- Przeglądałaś poranną prasę? - zapytał bez powitania.

- Nie, a powinnam? - w głosie Karoliny pobrzmiwało zdziwienie.

- Zawalski nie tylko poszedł na spotkanie autorskie z gównianym pisarzem, lecz także urządził sobie pogaduszki z reporterem „Dziennika Zachodniego” i gazeta zrobiła z tego okładkę.

- Ja pierdołę - skomentowała dosadnie.

- Wygląda na to, że trzeba przyspieszyć jego ponowne rozpytanie. W ogóle ruszyć z kopyta z tą sprawą i zamknąć ją najszybciej, jak się da. Cholera wie, co jeszcze nagada pismakom. A potem trzeba będzie się tłumaczyć przed mediami i odkręcać te pierdolety. I przy okazji musimy ustawić Zawalskiego, żeby nie miał ozorem bez potrzeby. Ogarniesz temat? Najlepiej jeszcze dzisiaj.

- Tak, spoko luz. Do tej pory był grzeczny i stawiał się na każde wezwanie - taką policjantkę Artur ceniał najbardziej, konkretną i sprawną. Była zaangażowana w robotę, dlatego czasami przymykał oko na jej fochy. - Ale mnie nie będzie. Muszę jeszcze gdzieś poszperać. To chyba nie problem?

Zastanawiał się przez chwilę. W sumie nie należał do prokuratorów, którzy prowadzili policyjnych śledczych za rączkę i nadzorowali każdy ich ruch. Karolina chciała działać, niech działa.

- Jasne, przecież i tak już go słuchałaś.

- No, notatkę masz w aktach. Może ty wyciśniesz z niego coś nowego.

- Tylko wyślij mi esa z godziną, o której Zawalski stawi się u mnie.

- OK.

Prokurator stracił apetyt, więc odsunął od siebie talerz z nieruszo-nymi, zresztą zimnymi już tostami i poszedł pod prysznic. Stojąc pod strumieniem gorącej wody, planował dzień. Wiedział, że czeka go dziś wyjątkowo trudna rozmowa. Zawalski... Znał na wylot akta sprawy pożaru, poznał opinie Szewczyk i jej partnera, Kowalczyka, na temat

Waldemara. Niby ojciec rodziny nie miał nic wspólnego z pożarem, trochę nietypowym, niby nie był podejrzany, niby był zwyczajnym mężczyzną w żałobie. Tyle tylko, że w jego wizerunku coś nie grało. Coś nie pasowało do obrazka, ale jedynie trochę – jakby w granicach dopuszczalnej odchyłki. Na pogrzebie ponoć nawet nie uronił łzy, za to dużo głądził o Bogu. Tak, wola Pana. Prokuratora niespecjalnie to przekonywało, jednak dopuszczał do siebie myśl, że w tragicznych momentach życia wiara może nieść pociechę i oparcie. Potem Zawalski polazł na to nieszczęsne spotkanie autorskie i wywnętrzał się przed dziennikarzem. Może zwyczajnie tego potrzebował, może obecność ludzi pomagała mu radzić sobie z traumą?

A cholera go tam wie. Zirytowany Artur zaczął się energicznie wycierać rękami. Miał nadzieję, że spotkanie twarzą w twarz z Waldemarem rozwieje jego wątpliwości. Chociaż niektóre.

Wbił się w ulubiony garnitur i wyszedł z mieszkania. Kiedy tylko położył ręce na kierownicy, poczuł spokój. Zawsze tak miał. Jazda pozwalała mu się wyluzować. Dobre i to – nie musiał, jak wielu kolegów z prokuratury, szukać ukojenia w alkoholu. Jechał do pracy niezbyt szybko, ale płynnie. Zresztą w Jastrzębiu-Zdroju korki zdarzały się rzadko. Stojąc na światłach przy ulicy Rybnickiej, patrzył na górników przechodzących w oddali przez bramę kopalni Zofiówka. Przemknęło mu przez myśl, że taki górnik w sumie nie ma źle. Ciężka, ale prosta praca. Normy, które trzeba wyrobić, i tyle. A że niebezpieczna? Ryzyko zawodowe. A u niego? Też są normy, przekłete statystyki, na które zwracają uwagę przełożeni. Hałdy teczek ze sprawami, które – bywało – ciągnęły się w nieskończoność. Nie tak znowu często trafiały do niego proste i oczywiste śledztwa. A jak będzie z Zawalskimi? Nie zdołał rozstrzygnąć, bo donośny dźwięk klaksonu samochodu za nim dał mu do zrozumienia, że się zagapił i nie ruszył na czas.

– I mój buddyjski spokój poszedł się walić – skomentował, wciskając sprzęgło.

– Cześć, coś dla mnie? – zapytał, ale sekretarka jedynie pokręciła głową i dalej głośno stuknęła w klawiaturę komputera.

Pani Żaneta, bo tak się zwracał do młodej sekretarki, nieodmienne trzymając dystans, przychodziła do pracy przed nim. A myślał, że to on jest rannym ptaszkiem.

Rzucił wypchaną teczkę na biurko. Przez chwilę wsłuchiwał się w siebie. Ma ochotę na kawę przed robotą? Uznał, że nie. Zresztą nie czas dzisiaj na pielęgnowanie prokrastynacji. Kolejny raz wertował dokumenty sprawy pożaru. Nie mógł dopuścić, by podczas rozpytania Zawalskiego umknęły mu jakiegokolwiek szczegóły. Tak, rodzina Zawalskich była lubiana, sąsiedzi wypowiadali się o nich w samych superlatywach. Na pozór nie było w tych opiniach niczego zaskakującego. W przypadku tak wielkich tragedii ludziom czy świadkom – jak zwał, tak zwał – często włącza się myślenie, że o zmarłych albo dobrze, albo wcale. Dopiero po jakimś czasie się odblokowują. Albo i nie, różnie bywa. Ale że nikt jak dotąd nie wskazał nawet najdrobniejszej rysy na portrecie rodziny z Bzia? On – lekarz, chirurg, który pracował w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym nr 2 przy alei Jana Pawła II. Ponoć bardzo dobry. Słynął z działalności społecznej. *Czy raczej parafialnej*, doprecyzował Artur. Rozpisywały się na ten temat lokalne media. Nic więc dziwnego, że sąsiedzi powtarzali niczym mantrę, wróc – jak klepany w kółko różaniec – że Zawalski jest „taki kochany”, „taki ludzki pan doktor” i „że Boga w sercu ma, to jak ma być zły”. Ona – córka wicedyrektora KWK Jastrzębie-Bzie, niepracująca, jak to mawiają: „przy mężu i dzieciach”. Wręcz idealna pani domu, niezwykle oddana córkom i synom. Jak jej się układało z mężem? Sąsiedzi nie słyszeli o żadnych awanturach, nawet sprzeczkach czy problemach. Poza tym Bóg ich dziećmi szczerze pobłogosławił, a oni co niedziela pod rękę chodzili na sumę, więc jak miało być między nimi źle? Po prostu nie ma takiej możliwości.

Artur zastanawiał się, czy taki sposób myślenia, w którym stawiano znak równości między wiarą, Kościołem a dobrem, wynika

z głębokiego przekonania, czy siły nawyku. Sam nie uważał się za wierzącego, choć nie był zdeklarowanym ateistą. Być może słowo „agnostyk” najlepiej oddawało jego stosunek do wiary i wszelkich religii. Do kościoła nie chodził, bo był zdania, że „modlić się można wszędzie”. Tak czy owak nie przypominał sobie, kiedy ostatnio to robił. Rozumiał i szanował osoby, które potrzebowały oparcia w Bogu. Nie zamierzał natomiast dawać im taryfy ulgowej.

Sięgnął po raport z rozpytania Zawalskiego krótko po pożarze. Już wtedy mężczyzna zdawał się zachowywać nietypowo. Dziwnie? To słowo raz po raz przychodziło Arturowi na myśl. Płakał tylko wtedy, kiedy zjawił się przed palącym się domem i kiedy się dowiedział, co się stało, jak wynikało z relacji strażaków. Później sprawiał wrażenie bardzo opanowanego. I kilka razy powtórzył, że jego rodzina znajduje się teraz „w lepszym miejscu”. O córce Martynie mówił rzadko, niemal wcale, co było jeszcze dziwniejsze, skoro jako jedyna przeżyła.

Ona z kolei podczas rozpytania nie powiedziała niemal nic. Przyznała, że zadzwoniła po straż pożarną i powiadomiła ojca. Twierdziła, że próbowała ratować rodzeństwo, ale płomienie i dym były zbyt duże. Bała się, dlatego postanowiła się poddać i ratować przede wszystkim siebie. *Trudno się dziewczynie dziwić*, pomyślał Rogalski.

Podniósł wzrok znad papierów i wtedy zauważył na tablicy korkowej przypiętą kartkę: „Przesłuchanie Martyny Zawalskiej” z datą wskazującą na... dziś. Złapał się za głowę i westchnął, ale nie stracił zimnej krwi.

– Powiniennem się wyrobić – powiedział sam do siebie, zerkając na zegarek i ciesząc się ze swojego nawyku porannego wstawania. – Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu – dodał.

Aż zrobiło mu się głupio, gdy zdał sobie sprawę, jak okropnie zabrzmiało to zdanie w kontekście wydarzeń w Bziu.

Artur

Aż do przyjścia Marty Zawalskiej Rogalski tonął w papierach, których nigdy w jego robocie nie brakowało. Wnioski, raporty, uzasadnienia, rozmaite urzędowe kwity, bez których prawnicza machina nie mogła się obyć. Dzień w dzień produkował ich dziesiątki. A do tego dochodziły jeszcze rozprawy w sądzie. Naprawdę miał co robić, a pracy raczej przybywało niż ubywało.

– Nie do przerobienia, przynajmniej w jednym życiu – zwykła komentować jego koleżanka z pokoju obok.

Wreszcie pani Żaneta dała znać, że zjawiła się młoda Zawalska. Artur wyszedł po nią i zaprosił do siebie. Na jego „dzień dobry” tylko skinęła głową. Usiadła na wskazanym krześle ustawionym przed biurkiem prokuratora.

Przez chwilę uważnie przyglądał się dziewczynie. Miała proste włosy do ramion, ufarbowane na kruczoczarno. Cała też była ubrana na czarno. Nie był pewien, czy na znak żałoby, czy po prostu nosiła się tak na co dzień. Miała na sobie tyle srebrnej biżuterii, że spokojnie mogłaby otworzyć kramik. Albo i mały sklep. Skórzana bransoletka nabijana ćwiekami na jednym nadgarstku, kilkanaście srebrnych kółek na drugim, łańcuszki i wisiorki na szyi, pierścionki prawie na każdym palcu. Ćwiek z małym kamykiem w nosie. Artur nie znosił złomu – jak to nazywał – którym ludzie przyozdabiali sobie twarze. Cóż, może był w tej kwestii odrobinę staroświecki. Stylowę Marty dopełniał mocny, ciemny makijaż. Czarne krechy wokoło jej oczu przywiodły mu na myśl powieki górników wracających z szychty. Gdyby szukał uosobienia słowa „buntownicza”, od razu wskazałby na nią. Jak dla niego zupełnie nie pasowała do wizerunku poukładanej, religijnej rodziny Zawalskich, więc powoli zaczynał rozumieć, skąd się bierze aż nazbyt widoczny brak zainteresowania córką ze strony ojca.

– Chcesz się czegoś napić? – spytał.

Zwracał się do dziewczyny na „ty”, chcąc od razu skrócić dystans między nimi.

– Nie trzeba, dziękuję – wycodziła przez zęby.

Sprawiała wrażenie rozdrażnionej, może nawet wściekłej. Artur nie był pewien, czy to wynik stresu. Ludzie zwykle spinali się podczas rozmów z policjantami i prokuratorami. Najczęściej niepotrzebnie. W normalnej sytuacji zażartowałaby, żeby się rozluźniła, bo nie jest o nic podejrzana, ale uznał, że w tym przypadku byłoby to niestosowne.

Zanim zaczął rozpytywanie, Martyna wypaliła:

- Po co tu właściwie jestem? Wszystko już powiedziałam policjantom. I to chyba ze trzy razy.

Standard. Ludzie z trudem przyjmowali do wiadomości, że w przypadku poważnych spraw zwykle na jednym rozpytaniu się nie kończy. Zupełnie to do nich nie trafiało.

- Po prostu muszę starannie zbadać wszystkie wątki - wyjaśnił spokojnie.

- Jakie, kurwa, wątki? - wybuchła. Chyba dostrzegła jego karcący wzrok, bo wyburczała niezbyt wyraźnie: - Przepraszam. Cała moja rodzina zginęła w cholernym pożarze - dodała, jakby się tłumaczyła.

- Bardzo ci współczuję. Razem z ojcem przechodzicie teraz trudne chwile... - urwał.

Martyna milczała. Doskonale wyłapał określenie „cała”, którego użyła, tak jakby nie brała pod uwagę, że przecież ma jeszcze ojca. Nie umiał ocenić, czy dziewczyna użyła tego sformułowania nieświadomie, czy zrobiła to celowo. W tej sprawie wciąż było sporo dziwnych albo nieoczywistych wątków, ludzi, którzy zachowywali się nietypowo. Przynajmniej jego zdaniem. Mimo że bardzo chciał zamknąć śledztwo, im głębiej w nie wchodził, tym więcej miał wątpliwości.

Martyna wbiła wzrok w podłogę wyłożoną tanią, sztuczną wykładziną. Jak to w budżetówce. Kiedy wreszcie się odezwała, Artur odniósł wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do niego:

- Trudne chwile... Tak, mój ojciec przechodzi je na pewno, gdy zwierza się pismakom - najwyraźniej czytała najnowszy artykuł w „Dzienniku Zachodnim”.

- Ludzie różnie radzą sobie z żałobą – prokurator starał się wciągnąć ją w rozmowę.

- Nieokazywanie emocji to jeden z tych sposobów? A może wynajęcie dwóch osobnych pokoi hotelowych, żebyśmy przypadkiem nie przebywali w tym samym pomieszczeniu? Albo chłanie na umór. A nie, sorry, to akurat robił już wcześniej – młoda Zawalska nie brała jeńców.

Rogalski od razu przypomniał sobie, jak Zawalski zachowywał się podczas pogrzebu. Prokurator poszedł na cmentarz razem z Szewczyk, zresztą była tam kupa ludzi. Waldemar bez ruchu stał nad trumnami, właściwie się nie odzywał, nie uronił ani jednej łzy – w przeciwieństwie do Martyny, która płakała histerycznie, w ogóle nie mogąc się uspokoić. Waldemar otwierał usta tylko po to, by dziękować za kondolencje, które składali sąsiedzi, dalsza rodzina i całkiem obcy ludzie. Wszystko to wyglądało jak wyreżyserowany spektakl, tyle że ponury scenariusz napisało życie.

- Chyba nie miałaś dobrych relacji z ojcem – zaczął Rogalski. – Nadużywał alkoholu? Stosował przemoc w domu?

- Ojciec lubił się napić, choć raczej nie zalewał się w trupa. Tłumaczył, że musi się zrelaksować po dyżurze – mówiła już trochę spokojniej.

Rogalski nie wiedział, czy po prostu wyrzuciła z siebie złość na ojca, czy uspokajało ją skubanie skórek przy paznokciach. Taki odruch ludzi zestresowanych albo ogarniętych manią.

- Często się kłóciliśmy, bo nie lubił sprzeciwu. A chciał, żeby w domu wszyscy robili to, co sobie wymyślił. Chodzili jak w zegarku. Jego zegarku. I że niby zawsze miał rację – kontynuowała. – Kiedyś zrzucił mnie ze schodów po pijaku. Twierdził, że przypadkowo, i od razu przeprosił, ale nie chciałam go słuchać. Nie wiem, czy bił rodzeństwo. Na pewno nie podniósł ręki na Wiktorka. Być może kogoś szturchnął. Mamy nie bił na pewno.

Przeczesała palcami włosy ciemne jak noc, a Artur złapał się na tym, że ma ten sam nawyk.

– Nie rozmawiałaś z braćmi i siostrą na ten temat? – drażył.

– Powiedzmy... – urwała na chwilę. – No, średni miałam z nimi kontakt. A już na pewno się sobie nie zwierzałyśmy.

Artur pomyślał, że ciężko być autsajderką we własnej rodzinie. Być może Martyna dokonała świadomego wyboru albo tak, a nie inaczej wpasowała się w rodzinny układ. Na idealnym obrazku rodziny Zawalskich pojawiła się wyraźna rysa.

– Czyli słabo układało ci się z ojcem? – wołał się upewnić.

– Właściwie kłóciłam się z nim, odkąd pamiętam. Mama zawsze starała się nas godzić. Mama... no taka właśnie była. Z upływem lat było tylko gorzej, bo ojciec czepiał się mnie o wszystko. I ciągle traktował jak dzieciaka, któremu może rozkazywać. Wolałabym, żeby to on zginął w tym pożarze, a nie mama – wypaliła niespodziewanie.

Ostatnie słowa wypowiedziała tak ponurym tonem, że Rogalski poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Co innego wykrzyzczeć w złości, w afekcie, że się kogoś nienawidzi tak mocno, że pragnie się jego śmierci. A zupełnie co innego powiedzieć to w obecności obcej osoby. W dodatku prokuratora.

Czy to możliwe, że Martyna chciała się pozbyć ojca, a przypadkiem zabiła resztę rodziny?, przeszło mu przez głowę, lecz szybko odrzucił tę myśl. Raczej nie podjęłaby takiego ryzyka, spróbowałaby innego sposobu, jeśli w ogóle, uznał.

Dziewczyna przez dłuższy czas milczała, jakby czekała na kolejne pytanie. Ewidentnie spieszyła się po ostatnim zdaniu. Najpewniej nie planowała tego wyznania.

– Mielście w domu problem ze szczurami? – Rogalski postanowił odpuścić temat relacji Martynty z ojcem.

Nie chciał, aby zamknęła się w sobie.

– Nieszczęśliwie. Czasem się jakiś zdarzył, jak to w domu pod miastem. A czemu pan właściwie pyta? – rzuciła szczerze zdziwiona.

- Dotarli do nas informacje o problemach ze szczurami w waszej okolicy - ściemnił.

Na razie nie chciał zdradzać zbyt wiele z ustaleń, jakie poczyniono w śledztwie.

- Ojciec miał hajs, więc nawet gdyby taki problem się pojawił, pewnie szybko zostałby rozwiązany. Ja tam nie wiem, nie interesowałam się takimi tematami - machnęła ręką, a potem na moment się zawiesiła, skupiając wzrok na swoich pierścionkach. - Za to często coś nie stykało z prądem. Tu jakieś zwarcie, tam coś... No nie wiem dokładnie, nie znam się. Kontakty też potrafiły czasem pokopać. Myśli pan, że to nie był wypadek? Że ktoś mógł celowo doprowadzić do tego pożaru? - oczy jej się zaszklily.

- Na razie nie możemy wykluczyć żadnej możliwości - odpowiedział wymijająco.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut, ale prokurator nie natrafił na żaden nowy wątek. Postanowił więc na razie odpuścić Martynie. Dziewczyna ewidentnie miała nadzieję, że już więcej nie pojawi się w prokuraturze. Dostrzegł, że w jej spojrzeniu, sposobie bycia coś się zmieniło. Niepewność ustąpiła złości. Nie potrafił do końca rozgryźć jej zachowania.

Odprowadził Martynę, spojrzął na zegarek i odczytał wiadomość od Karoliny. Zawalski ma się tutaj wkrótce pojawić. To nawet dobrze, że minie się z Martyną. Skoro relacja córki z ojcem jest napięta, lepiej, żeby nie natknęli się na siebie w prokuraturze.

Przez okno patrzył na dziewczynę, która zaraz po wyjściu wyciągnęła telefon i zaczęła z kimś rozmawiać, jednocześnie nerwowo oglądając się za siebie. ZaciekaWiło go to. Gdy spotkał się z nią wzrokiem, ta natychmiast odwróciła głowę, jakby przyłapał ją na czymś... Właśnie... Wstydlwym, nieodpowiednim albo wręcz zakazanym. *Masz coś na sumieniu, dziewczyno?*, zadał sobie w myślach pytanie.

Po kilku minutach na niewielkim parkingu przed klockowatym budynkiem prokuratury rejonowej przy ulicy Krakowskiej z piskiem

opon zatrzymał się stary golf. Martyna pośpiesznie do niego wsiadła. Auto było za daleko, nie dało się odczytać tablic rejestracyjnych ani zobaczyć kierowcy. *Ciekawe*, pomyślał Rogalski. Otworzył notatnik w telefonie i zapisał: *Martyna. Chłopak?*

Artur

Córka mogłaby uczyć ojca punktualności, bo Waldemar Zawalski spóźnił się o prawie dwadzieścia minut. Chociaż może zwyczajnie obawiała się rozmowy z prokuratorem, dlatego wołała być na czas. Zanim Rogalski zaczął rozpytywanie, mężczyzna wyskoczył z pytaniem:

– Czy nie powinienem mieć adwokata?

Nie ma co, konkretny gość, myślał Artur. *Albo naoglądał się za dużo seriali kryminalnych.*

– A ma pan coś do ukrycia? – zapytał z uśmiechem.

– Nie, pytam dla jasności, bo nie mam obycia w takich... sprawach – odpowiedział Zawalski. – Powie mi pan, skąd ten pośpiech?

Wyglądało na to, że Waldemar nie ma pojęcia, czemu został ściągnięty na przesłuchanie szybciej, niż planowano. Albo jedynie udawał nieświadomego.

– Szybko zaczął pan chodzić po mediach – Rogalski lekko rozłożył ręce. – Podobno rozmawia pan z dziennikarzami częściej niż z córką – fakt, przesadził, ale tylko trochę. – Nie wydaje się panu, że to ona najbardziej teraz pana potrzebuje?

Ugryzł się w język zdecydowanie za późno. Pytanie było zbędne i nie na miejscu. A do tego raczej niewiele mogło wnieść do sprawy. Zdarzały mu się zbytnia bezpośredniość i szczerłość. Czasami wypadał z roli chłodnego profesjonalisty. Przełożona raz i drugi już mu to wytknęła. Łatwo się zapalał, emocjonował. Nie przepadał za tą swoją cechą. Tym bardziej że szczerłość w kontaktach z innymi nie zawsze była w cenie, a niektórzy uważali go wręcz za upierdliwego złośliwca.

- To moja prywatna sprawa, jak układam relacje z córką. A do mediów nie chodzę, to dziennikarze nie dają mi spokoju - Zawalski, ku zdziwieniu Artura, nie stracił opanowania.

- Na spotkanie z pisarzem też zaciągnięto pana siłą? Wypowiedzi w gazecie nagrano bez pańskiej zgody? - Rogalski postanowił zagrać złego prokuratora i mocniej przycisnąć rozpytywanego.

- To już nie mogę wychodzić do ludzi, nie mogę z nikim rozmawiać? Co w tym złego? - Zawalski wydawał się szczerze zdziwiony, ale nadal był spokojny.

- Oczywiście, że pan może - zgodził się Rogalski.

Uznał, że naciskając Waldemara, niczego sensownego nie osiągnie, więc zmienił temat:

- Co pan robił w dniu pożaru? Interesują mnie zwłaszcza godziny nocne.

- Tylko po to mnie pan tutaj ściągnął? - rozpytywany po raz pierwszy okazał irytację. - Wielokrotnie powtarzałem policjantom, że byłem wtedy w pracy, miałem dyżur na oddziale. Chyba pan prokurator wie takie rzeczy - w głosie mężczyzny zabrzmiała złośliwa nuta.

Artur powoli przerzucił akta sprawy. Znalazł to, czego szukał.

- Z notatek policjantów wynika, że rozmawiali z panem tylko dwa razy, zaraz po pożarze i następnego dnia. Więc wcale nie wielokrotnie.

- Tak mi się tylko powiedziało - Zawalski wzruszył ramionami.

- Jasne - Rogalski odpuścił mu tę nieścisłość. - Czyli był pan w szpitalu. I nigdzie pan nie wychodził?

- Nie. Po co miałbym się gdzieś szlajać po nocy.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Ochroniarz ze szpitala i pielęgniarki, które były ze mną na nocce. Może pan prokurator to sprawdzić, potwierdzić, bo podałem wszelkie znane mi namiary i telefony - Zawalski był nad wyraz pewny siebie.

Oczywiście, że zamierzał sprawdzić, mimo że policjanci potwierdzili już te zeznania. Liczył, że trafi na jakiś szczegół, który przeoczyli. Miał niejasne przeczucie, że w tej wciąż dla niego nie do końca klarownej sprawie istotne mogą się okazać drobiazgi. A te czasami umykają na wstępnym etapie, kiedy śledczy mają jeszcze zbyt mało informacji.

Milczenie prokuratora w końcu chyba lekko zniecierpliviło Zawalskiego, bo wyąpił:

– Po co te pytania? Mielimy w kółko to samo. Myślałem, że próbujecie ustalić, jak doszło do zaproszenia ognia i dlaczego zginęli moi bliscy. Czy tylko mnie zależy na tym, żeby dowiedzieć się, co się wydarzyło w moim domu?

– Właśnie to robię – odpowiedział Rogalski z pełną powagą. I zaraz, zgodnie z taktyką przesłuchań, wrócił do interesującego go wątku: – Jak ocenilby pan relacje, które łączą pana z córką?

– Są poprawne – tym razem Zawalski nie wzbraniał się przed odpowiedzią, krótką i zwięzłą.

– Pańska córka twierdzi, że często się kłóciliście. Po alkoholu ponoć bywał pan agresywny – Rogalski dociskał swojego rozmówcę.

– Bzdura – zaprzeczył tamten ze spokojem w głosie. – Zwykle nieporozumienia, jak to w rodzinie. Pan prokurator ma dzieci? – Artur pokręcił głową. – Właśnie... Z dziećmiakami różnie bywa. Zdarzyło mi się raz ją szturchnąć, lekko, zaraz przeprosiłem. Poniosło mnie, ale tylko raz. Gówniara nigdy się nie słuchała, nie przestrzegała domowych reguł. A odkąd skończyła osiemnaście lat, całkiem się zbiesiła.

„Zbiesiła”? Artur pomyślał, że chyba rzadko kto już używa tego słowa, chociaż może należało do słownika katolików. Kto ich tam wie? Nie dopytywał jednak, uznał, że pozwoli Zawalskiemu się wygadać.

– Niby Martyna jest formalnie dorosła, ale jednak mieszka pod moim dachem. Powinna więc przestrzegać moich zasad, nie? No i jeszcze te dziwaczne ciuchy, na które przymykałem oko, i biżuteria, którą kupowała za moje pieniądze. Jestem tolerancyjny, ale są pewne

granice. Martyna ciągle je przekraczała, jakby robiła mi na złość. To dla mnie brak szacunku. Wobec mnie i żony. Wobec rodziców, którzy dla córki powinni być świętością.

Nagle zamilkł, jakby zmęczył się dłuższą przemową. Opisywał swoją relację z córką rzeczowo, trochę się tłumaczył i wybielał, ale dla Rogalskiego nie ulegało wątpliwości, że Martyna nie jest jego ulubienicą. Tylko czy to ustalenie wnosi cokolwiek ważnego do sprawy pożaru?

Odchrząknął i zadał kolejne pytanie:

– Mieli państwo jakichś wrogów? Ktoś wam kiedyś groził?

– Co pan insynuuje? – Zawalski z miejsca się spiął.

– To standardowe pytania.

– Nie, mówię jasno i wyraźnie, że nie mieliśmy wrogów i nikt nam nigdy nie groził. A teraz, jeśli pan pozwoli, wrócę do hotelu – cierpliwość Waldemara chyba właśnie się skończyła.

Rogalskiemu dało do myślenia to, że akurat przy tym pytaniu.

– Jeszcze nie skończyliśmy – udał, że chce go zatrzymać.

– Chyba nie jestem aresztowany? Następnym razem przyjdę z adwokatem – Zawalski wstał i ruszył w stronę wyjścia. – Sam trafię do drzwi – wycedził i wyszedł.

Ciekawostka... Zawalski, wcześniej wręcz nieludzko spokojny i opanowany, okazał emocje. Fakt, Artur próbował go wyprowadzić z równowagi, ale w sumie aż tak bardzo nie cisnął. Co sprawiło, że Waldemar stracił panowanie nad sobą? Pytania o córkę czy o ewentualnych wrogów rodziny? Rogalski nie miał jasnych odpowiedzi. Na razie.

* * *

2 lipca 2018 roku

– Mam już tego naprawdę dość – Waldemar aż zazgrzytał zębami ze złości.

Magda chyba jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego.

– To normalne, że się czasem pokłócicie, ona wciąż jest nastolatką i ma pstro w głowie. Daj jej czas, musisz być cierpliwy.

Uspokajające słowa żony odniosły przeciwny skutek. Zawalski nakręcał się coraz bardziej, nie panując nad emocjami.

– Słyszałaś, co mówią sąsiedzi za naszymi plecami? Ksiądz Jakubczak też patrzy na mnie ostatnio spode łba, bo jej kumple namazali swastykę na kościelnym murze. Swastykę, wyobrażasz sobie? Taka profanacja, szarganie uczuć religijnych... Właściwie to powinna się nimi zająć policja. Znam ich rodziców i nie chcę im brudzić. Inaczej już dawno złożyłbym doniesienie, gdzie trzeba! – podniósł głos.

– Walduś, to tylko głupie, gówniarskie wybryki. Nic więcej – Magda starała się zbagatelizować problem.

Tylko się skrzywił. Sięgnął po stojącą na ławie szklaneczkę z whisky i opróżnił jej zawartość długim łykiem. Wypuścił powoli powietrze, odstawił szkło i powiedział spokojniejszym tonem:

– Madzia, po prostu tracę cierpliwość. Zwyczajnie nie mam siły do tej dziewczyny.

A może to wszystko przez stres?, zastanawiał się. W pracy z roku na rok było coraz gorzej, a wszelkie zmiany i reformy jedynie pogarszały sytuację w szpitalu. Nie tylko w tym, w którym pracował. Brakowało specjalistów, kolejki na zabiegi i operacje się wydłużały. Robota na okrągło i jeszcze nieustanne pretensje pacjentów. Jakby to on osobiście był wszystkim winien! Pewnie przez nawarstwiający się stres szybciej tracił panowanie nad sobą. Odreagowywał na rodzinie? Nie, nie określiłby tego w ten sposób. Naprawdę nie chciał wyżywać się na bliskich, a już na pewno nie na Madzi. Czasami jednak nie umiał nad sobą zapanować. Teraz też mu się udało:

– Reszta nie jest lepsza. Kuba i Jacek rozrabiają w szkole. Klaudia coraz rzadziej bywa w domu i przesiaduje u tego niby narzeczonego.

Co ludzie powiedzą? Do tego opuściła już dwie niedzielne msze z rzędu. A Wiktor... Wiktor w ogóle się mnie nie słucha.

Nagle zamilkł. Czuł się tak, jakby zeszło z niego całe powietrze. Pewnie przesadzał. Niewykluczone. Żona czasem dawała mu do zrozumienia, że wyolbrzymia zwykłe problemy. Może miała rację.

Teraz nie skomentowała jego gorzkich żalów, tylko zaproponowała, starając się mówić jak najspokojniej:

– Powinieneś wziąć urlop, odpocząć. Parę wolnych dni i dojdiesz do siebie.

– Żeby jeszcze więcej czasu przebywać z dziećmi, które doprowadzają mnie do takiego stanu? Albo patrzeć, jak robisz wszystko wokół nich i zapominasz, że masz męża? – w jego słowach nie było już złości, a jedynie gorycz.

Magdę boleśnie dotknęło to, co usłyszała. To prawda, że ostatnio oddaliła się od Waldka, ale przecież nie przestała go kochać. Obowiązki domowe i pięcioro dzieci na głowie – dzień w dzień w tym samym kieracie. Każdą wolną chwilę poświęcała więc na odpoczynek. A i tak wciąż była nieludzko zmęczona i niedospana. Nawet już nie pamiętała, kiedy przespała ciągiem osiem godzin. Do tego była z tym wszystkim sama, cały dom na jej głowie. Waldemar pracował, fakt, dużo, ale w domu nie udzielał się wcale. Niby tak się umawiali, ale naprawdę mógłby czasami odciążyć ją w codziennych obowiązkach.

– Jesteś niesprawiedliwy – tyle tylko zdołała wydukać.

Bez słowa wstał z kanapy, ubrał się i wyszedł z domu. *No tak, on może sobie po prostu wyjść, a ja nie*, pomyślała z goryczą.

Kiedy podniosła się z sofy, na szczycie schodów dostrzegła trzech synów: Kubę, Jacka i małego Wiktorka. Niemal fizycznie poczuła ich niepokój.

Naprawdę nic się nie stało, będzie dobrze, zaklinała w myślach rzeczywistość.

Rozdział IV

Rodzinny sekret

2 września 2019 roku

Karolina i Artur

Szewczyk w pośpiechu zbierała się do wyjścia. Zasnęła, czasami jej się to zdarzało. Nie miała tego poranka zbyt wiele siły i energii, ale musiała się przemóc, zmobilizować do pracy. Rogalski zlecił jej i Adamowi rozpytania w Zespole Szkół nr 6 na ulicy Harcerskiej, gdzie do technikum chodziła Klaudia Zawalska, a do liceum – Martyna. Czego, do cholery, się spodziewał? Karolina była pewna, że usłyszy od nauczycieli i znajomych dziewczyn tę samą, nudną aż do wyrzygu śpiewkę: „Takie porządne dziewczyny, taka tragedia... I nie, na pewno z nikim nie były w konflikcie”. *Dlaczego sam tam nie podjedzie, skoro nagle tak bardzo mu zależy na drażnieniu sprawy?*, pomyślała ze złością. *Bo zwykle nie jeździ na tego rodzaju czynności, spychając je na policjantów*, sama sobie odpowiedziała.

Szła już do przedpokoju, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

– Ki czort? – zamruczała pod nosem.

Nie patrząc przez judasz, otworzyła. Powiedzieć, że była zdziwiona, to nic nie powiedzieć.

– Cześć, przełożyłem papierologię, żebyśmy mogli pojechać razem. Widzę, że się cieszysz – Rogalski szczerzył się jak głupi, zerkając ponad jej ramieniem do wnętrza mieszkania.

Jak cholera, skomentowała w myślach. Szybko chwyciła klucze, leżące na szafce na buty, i niemal wypchnęła prokuratora na klatkę schodową. Bałagan panujący w mieszkaniu zaczął przeszkadzać nawet jej. Ostatnie, czego chciała, to żeby wymuskany Rogalski oglądał ten bajzel.

- Masz popsuty dzwonek - poinformował ją.

- Wiem - rzuciła.

Chociaż nie wiedziała. W ogóle nie pamiętała, kiedy ktokolwiek dzwonił albo pukał do jej drzwi. Pewnie listonosz, chociaż on zwykle dawał znać przez domofon, że nadchodzi.

- Idź, zapomniałam czegoś z domu. Zaraz zejść.

Popatrzył na nią w milczeniu, ale ruszył do windy.

Cofnęła się do przedpokoju, zamknęła drzwi i się o nie oparła. Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić i odetchnąć. Niespodziewane zjawienie się Rogalskiego wyprowadziło ją z równowagi. *Aż tak zdzi-
czałam?*, zastanawiała się. Musiała wziąć się w garść. Byle pierdoła nie może jej wpędzać w taki stan.

- Szewczyk, ogarnij się wreszcie - powiedziała półgłosem.

- Kawa? Nie, dzięki, już piłem - Rogalski mówił do siebie zrzędliwie, gdy jechał windą.

Fakt, zjawił się u Szewczyk bez zapowiedzi, jednak spodziewał się nieco miłszego przyjęcia. A ona nie pozwoliła mu nawet przekroczyć progu. Z drugiej strony już w przedpokoju miała bałagan - ubłocone adidas-y zaraz przy wejściu, bluza na podłodze, a pewnie dalej wcale nie było lepiej. Trochę go to zaniepokoiło. Zdawał sobie sprawę, że Karolina ma problemy, ale miał nadzieję, że lepiej sobie radzi z codziennym życiem. Czy to nie odbije się na pracy? W sumie na razie nie nawalała. Uznał, że nie powinien się wtrącać w jej prywatne sprawy. I tak odnosił wrażenie, że za nim nie przepada, a na pewno

traktuje go z dystansem. Cóż, tak czy siak pracowali razem, więc musieli się jakoś znosić. Nie było innej możliwości.

Wyszedł na zewnątrz i oparł się o barierki przy schodach wejściowych. Zapowiadał się przyjemny, ciepły, ale nie gorący dzień. Wziął głęboki oddech. Mógł, bo latem nie wywoływało to ataku kaszlu spowodowanego smogiem. Jastrzębie-Zdrój, podobnie jak wiele miast na Śląsku, miało problemy z zanieczyszczeniem powietrza. Może nie tak wielkie jak Wodzisław Śląski i Rybnik, ale wciąż odczuwalne i dokuczliwe. Zwłaszcza jesienią i zimą, kiedy ludzie palili w piecach, czym popadło. Władze miejskie robiły sporo – prośbą, zachętą i groźbą mandatów – żeby poradzić sobie z problemem smogu, ale daleko było jeszcze do sukcesu. I czystego powietrza w mieście. *Zresztą, myślał Artur, dopóki będą tu działać kopalnie, ludzie nie przestaną palić węglem. Górnicy nie zrezygnują przecież z deputatów węglowych.*

Rzucił okiem za siebie, a później sprawdził godzinę na komórce. *Co ona się tak guzdrze?*, zniecierpliwił się. Trzasnęły drzwi na klatkę. Znowu się obejrzał. Jakaś staruszka wychodziła na spacer ze spasiowym jamnikiem. Zawiesił wzrok na domofonie. Nie znał dokładnego adresu Szewczyk, jednak wiedział, w której klatce mieszka, bo jej blok znajdował się w pobliżu jego. Czasami ją widywał, kiedy wychodził na zakupy albo pobiegać, więc ze znalezieniem numeru mieszkania nie miał problemu, bo na starym domofonie wciąż były karteczki z nazwiskami lokatorów.

– RODO srodo – parsknął pod nosem.

Niby wprowadzono restrykcyjne przepisy o ochronie danych osobowych, miały jednak sporo luk, a niektórzy w ogóle się nimi nie przejmowali. Efekt był jedynie taki, że przy okazji prowadzonych spraw musiał produkować więcej dokumentów, żeby mieć niezbędne podkłady.

Szewczyk wreszcie się pojawiła.

– Masz jakąś nową hipotezę śledczą? Chce ci się tracić czas w szkole? – zarzuciła go pytaniami.

Prokuratorzy przede wszystkim nadzorowali prowadzone śledztwa, zlecali albo akceptowali działania policjantów, ale oczywiście sami też mogli podejmować czynności, na przykład przesłuchania czy rozpytania. Zwykle jednak tego nie robili, skupiając się na kompletowaniu akt. Taka praktyka. Dlatego nagłe zaangażowanie Rogalskiego trochę ją dziwiło.

Po chwili milczenia prokurator wyjaśnił:

– Ten pożar z dnia na dzień wydaje mi się coraz bardziej podejrzany. A zwłaszcza po rozmowach z Zawalskim i jego córką.

Pokrótkce streścił, czego się podczas nich dowiedział.

– I co o tym myślisz? – spytał policjantkę.

Odruchowo poprawiła spięte w kucyk włosy i odparła:

– Zapytaj mnie, kiedy pierwsza kawa zacznie działać.

Wzięła łyk z termosu, który Rogalski zauważył dopiero teraz. On sam kupował kawę po drodze do pracy: albo na stacji benzynowej, albo w kawiarni w centrum handlowym Galeria Jastrzębie, znajdującym się niedaleko jego osiedla. Nigdy nie szykował sobie termosu. Nawet go nie miał. Nie musiał oszczędzać, był singlem, nie miał nikogo na utrzymaniu, nieźle zarabiał, więc mógł wydać kilkanaście złotych na porządną kawę. Zresztą miał do kwestii kasy specyficzne podejście. Matka czasami klarowała mu: „Pracujesz po to, by pozwalać sobie na małe przyjemności. Jeśli miałbyś sobie odmawiać nawet kawy na mieście, to jaki byłby sens spędzać tyle czasu w robocie?”. Nie zawsze jej słuchał, jednak w tym przypadku myślał podobnie.

Ruszyli w stronę parkingu, ale Karolina nagle się zatrzymała i oznajmiła:

– Zaraz, przecież muszę poczekać na Adama.

– Spokojnie – Artur tylko machnął ręką. – Dałem mu już znać, że może sobie dzisiaj zrobić wolne – wyjaśnił.

Wolne od tej sprawy, dodał w myślach, wiedząc, że Kowalczyk i tak jest zawałony robotą.

- Planujesz przejście z prokuratury do komendy, skoro nas tak wyręczasz? - nie mogła się powstrzymać przed drobną złośliwością.

- Przejrzałaś mnie. Pragnę cię odwiedzać z rana do końca twoich dni.

Bezwiednie się zaśmiała. *Co to w ogóle miało być?*, pomyślała. Czy młody prokurator próbuje się z nią nieporadnie zakumplować? A może ma specyficzne poczucie humoru, którego ona nie ogarnia? Całkiem możliwe. Uznała jednak, że nie ma się nad czym zastanawiać.

Rogalski zaproponował, żeby pojechali jego samochodem.

- Jasne, czemu nie - zgodziła się.

Nigdy nie jechała sportową beemką. Zawsze to jakaś odmiana od wożenia się leciwym autem służbowym - w ciągłym stresie, czy podczas mocniejszego skrętu nie odpadnie koło albo czy silnik nie wyzionie ducha na środku skrzyżowania.

Artur

Po drodze do szkoły milczeli. Artur skupiał się na prowadzeniu samochodu, a Karolina - zdawało się - nie miała ochoty na pogawędkę o niczym. Całkiem mu to pasowało. Po ósmej rano ruch na ulicach Jastrzębia-Zdroju nie był wielki, więc dotarcie na Harcerską zajęło im ledwie kilkanaście minut. Zaparkował przed budynkiem szkoły, typowym klockiem z czasów PRL-u. Kiedy wysiedli, zauważył, że kilku uczniów wgapia się w jego beemkę.

- Zaimponowałaś małodatom - rzuciła kąśliwie Karolina.

Wzruszył ramionami. Miał to gdzieś. Nie był ani znawcą, ani szczególnie fanem motoryzacji w przeciwieństwie do większości facetów. Postawił na ten samochód z prostych przyczyn: zwyczajnie mu się spodobał i miał zaufanie do marki. Niemiecki znaczy solidny, coś w ten deseń. A że komuś sportowy samochód kojarzył się z luksusem, że wzbudzał zainteresowanie? Ani go to ziębiło, ani grzało. Nie przeje-

mował się też podśmiejkami rozszyfrowujących skrót BMW jako: „Będziesz Miał Wydatki”. Jego samochód na razie jeździł – odpukać – bezawaryjnie, ale przecież nie miał nawet roku.

– Dzień dobry. Dziękujemy za pomoc, nie będziemy za długo niepokoić uczniów – zwrócił się po chwili do Anny Staszewicz, dyrektorki Zespołu Szkół nr 6.

Uprzedził ją, że dotarli na miejsce, więc czekała na nich w głównym hallu szkoły.

– W razie jakichkolwiek pytań jestem do dyspozycji. Będę u siebie w gabinecie – dyrektorka siliła się na uśmiech, ale smutny wzrok zdradzał, że śmierć jednej z uczennic mocno ją dotknęła.

– Jasne – rzucił Artur.

Rozejrzał się dokoła. Stali w szerokim korytarzu. Na ścianie przed nimi widniał wielki napis z pełną nazwą szkoły. Zaraz obok stało popiersie Jana III Sobieskiego, patrona, a także zdjęcie Klaudii Zawalskiej umieszczone na drewnianej sztaludze, pod którą znajdowała się masa elektronicznych zniczy, kwiatów i pluszaków. Artur nie rozumiał tego zwyczaju. Gdyby chodziło o śmierć dziecka, jasne, misie czy inne zajaczki byłyby nawet na miejscu, ale przecież Klaudia miała dziewięćnaście lat.

Dyrektorka zauważyła, że prokurator przypatruje się zdjęciu z czarną wstążką, i zaczęła mówić:

– To była wspaniała uczennica, jedna z najlepszych, jakie mieliśmy. Bardzo lubiana. Widzą państwo te kwiaty? To nie my je przynosimy, to uczniowie zmieniają je systematycznie, żeby ciągle pozostawały świeże. I nikt im nie każe tego robić. Tragedia w Bziu wstrząsnęła naszą szkolną społecznością, od początku roku na korytarzach jest jakby ciszej.

Widział, że kobieta z trudem powstrzymuje łzy. Pewnie była szczerze przejęta, jednak nie potrafił wyzbyć się lekkiej irytacji. W koło Macieju te same słowa o zmarłych – a już zwłaszcza o tych, którzy odeszli w tragicznych okolicznościach. „Wspaniała uczennica, wspaniała

osoba”. Mocno podretuszowany pośmiertny obrazek, jednak czy na pewno prawdziwy? Potrząsnął głową. Może zwyczajnie miał w sobie zbyt mało empatii. Z drugiej strony, gdyby miał jej więcej, pewnie długo by nie wytrzymał w prokuraturze. Szybko by się wypalił albo nawet trafił do psychiatrika w Rybniku. Kto wie?

Dyrektorka jeszcze raz zapewniła, że służy pomocą, a potem odwróciła się i poszła do swojego gabinetu.

– Podzielmy się robotą – zarządził Artur. – Ja spróbuję się czegoś dowiedzieć o Martynie, bo już ją trochę poznałem, a ty wypytaj uczniów o Klaudię. Może uda nam się ustalić coś, co przeoczyli twoi koledzy – wypalił, nim ugryzł się w język.

Szewczyk spojrzała na niego z wyrzutem i powiedziała:

– Jasne, wielki panie śledczy.

Patrzył, jak odchodzi stroną sekretariatu. Westchnął i wymamrotał pod nosem:

– Muszę się nauczyć nad tym panować.

Uwaga na temat policjantów, którzy mogli coś przeoczyć podczas wcześniejszych czynności, naprawdę nie była potrzebna. Ta jego bolesna szczerość. Chociaż z drugiej strony... Pierwsze rozpytania uczniów przeprowadzili policjanci, więc jeśli coś zostało pominięte, to właśnie przez nich. Taka była prawda. Nie musiał jednak tego werbalizować. Mogło to sprawiać wrażenie, że się czepia i podważa kompetencje mundurowych. Tak wcale nie było – a przynajmniej nie zawsze. Może dlatego Szewczyk i jej koledzy trzymali go na dystans? Przez to, że nie krył się z własnymi ocenami, a czasami także emocjami. Uznał, że niepotrzebnie dzieli włos na czworo. W końcu Karolina też nie jest mistrzynią w panowaniu nad sobą. Łatwo wyprowadzić ją z równowagi.

Artur

W sekretariacie szkoły dowiedział się, w której sali ma lekcje klasa Martyny. Stał oparty o szeroki parapet okna na korytarzu i czekał na przerwę. Nie chciał robić niepotrzebnej sensacji, do tego musiał być ostrożny. Ciągle miał przed oczami dziewczynę, która po wyjściu z prokuratury rozmawiała przez telefon i wyglądała na dosyć wzburzoną. Okłamała go? Coś ukrywała? Być może. Nie wiedział, jak poprowadzić rozmowy z jej koleżankami i kolegami. Postanowił, że pójdzie na żywioł. Taka metoda czasami się sprawdzała.

Rozbrzmiał dzwonek, jak zawsze aż nazbyt donośny. Z sali wyszli nastolatki. Część dokądś poszła – może do łazienki, szkolnego sklepiku. Albo zajarać za szkołą. A część została pod klasą. Głównie wgapieni się w ekrany smartfonów. Taka młodzież, takie czasy. On sam, chociaż stosunkowo młody, nigdy nie wkręcił się nadmiernie w wirtualną rzeczywistość czy *social media*. Traktował telefon jak zwykłe narzędzie – głównie pracy.

Zwrócił uwagę na dziewczynę, która usiadła po turecku pod ścianą. Oczywiście z telefonem w dłoni i dużymi słuchawkami na uszach. Była ubrana niemal identycznie jak Martyna. *Taka sama panna w czerni, więc powinny się przyjaźnić albo chociaż kumpłować*, pomyślał. Podszedł do niej i rzucił:

– Cześć.

Nie zareagowała. Rytmicznie kiwała głową w rytm dudniącej muzyki. Dopiero kiedy ukucnął, podniosła wzrok. Nie wiedzieć czemu przeleciało mu przez głowę, że muszą zabawnie wyglądać. On w drogim garniturze, ona w uniformie buntowniczkii, cała obwieszona srebrną i skórzaną biżuterią, z świekami w brwiach i nosie. Łączyło ich tylko jedno – zamiłowanie do czarnego koloru.

– Nooo? – zareagowała bez przesadnego entuzjazmu, ściągając słuchawki z uszu.

– Szukam Martyny Zawalskiej, znasz ją może?

– Nie przyszła dzisiaj do szkoły – odpowiedziała odruchowo, ale zaraz się spięła i spytała: – A pan to w ogóle kto?

- Wujkiem Martyny jestem - szyl na poczekaniu. - Miałem ją dzisiaj podwieźć do Bzia, żeby zabrała z domu jakieś ubrania. Nie odbiera telefonu. Trochę się o nią martwię.

- Nooo... - albo dziewczyna chciała go zbyć, albo zwyczajnie miała problemy z komunikacją.

- Wiesz, gdzie może być?

Mroczna panna tylko pokręciła głową.

- A może jej chłopak wie? W której jest klasie? - blefował, bo nie miał pojęcia, czy spod prokuratury faktycznie odebrał Martynę jej chłopak.

- Chłopak? - powtórzyła niczym echo.

- No ten, co jeździ takim poobijanym golfem.

Dłużej zawiesiła na nim wzrok. Chyba tym golfem uwiarygodnił się w jej oczach, bo wreszcie zaczęła mówić:

- Aaa, Seba... On już dawno skończył szkołę, jest starszy od Martyny. Pewnie buja się z kumplami w pubie Żywieckim - chyba nie przepadała za typem, bo gdy o nim mówiła, wyraźnie się krzywiła.

Żywiecki? To ten przy Łódzkiej?, zastanawiał się.

Koleżanka Zawalskiej niespodziewanie się rozkręciła:

- Nie trawię typa, bo to kawał buca, ale Martyna mówi, że jest dla niej dobry - prychnęła jak kotka. - I chyba tylko dla niej. W sumie raz słyszałam, jak się kłóca, już po tym... - zawiesiła się na moment. - No po tym pożarze. Miała pretensje, że on... - urwała nagle, wbijając wzrok w schody za plecami Rogalskiego. - Właśnie o nim mowa...

Artur odwrócił się i napotkał wzrok chłopaka, który mógł mieć jakieś dwadzieścia lat. Bandana w trupie czaszki na głowie, lekka skórzana kurtka, czarne dresowe spodnie. A na nogach ciężkie, ubłocone glany. Spoglądali na siebie tylko przez moment. *Po co on tu przyszedł?*, myślał Artur gorączkowo. Niespodziewanie chłopak rzucił się do ucieczki, a on ruszył za nim. Regularnie biegał, miał więc nadzieję, że dopadnie go bez problemu. Nie docenił chłopaka, który pokonywał po

kilka stopni naraz w dół schodów i przeskoczył nad barierką na półpiętrze.

– Stój! – krzyknął Artur.

Na schodach musiał zwolnić, bo jego eleganckie buty na skórzanej podeszwie kiepsko trzymały się stopni. Wpadł do głównego hallu. Czarna skóra znikwała w tłumie uczniów. Artur roztrzącał ich na boki, ale to go spowalniało. Dzieciaki patrzyły na niego jak na wariata. Zauważył, że ścigany znika za przeszkłonymi drzwiami wyjściowymi. Przyśpieszył, jak tylko mógł, ale kiedy wyskoczył przed budynek szkoły, było już za późno. Rozejrzał się na prawo i lewo. Wyszedł na chodnik przed szkolnym ogrodzeniem. Po chłopaku nie było śladu.

– Kurwa – zaklął, chociaż zwykle tego nie robił.

Oparł dłonie o kolana i oddychał ciężko.

Karolina

Karolina postawiła na inną strategię niż Rogalski. Najpierw namierzyła wychowawczynię klasy Klaudii i wypytała ją, kto był ze starszą z sióstr Zawalskich najbliższej. Nie zamierzała tracić czasu na wysłuchiwanie w kółko tych samych fraz: „Taka tragedia, ale ja nic nie wiem”. A potem wparowała na lekcję matematyki. Powiedziała, kim jest, poprosiła, żeby wyczytane przez nią osoby czekały przed salą, bo ma z nimi do pogadania. A reszta ma niespodziewane wolne. Nie spodobało się to nauczycielce, ale Karolina zgasiła ją krótkim tekstem, żeby nie utrudniała śledztwa. Bywała sukowata.

Po kolei przesłuchiwała siedem osób, które wskazała wychowawczyni. Prawie wszyscy mówili o Klaudii to samo. I w niemal takich samych słowach. *Jakby wcześniej uzgodnili jedną wersję*, pomyślała z lekkim rozbawieniem, bo przecież wiedziała, że to raczej niemożliwe. Mądra, pogodna, uczynna – aż do znudzenia. Taka jest siła niepijanego obyczaju: o zmarłym dobrze albo wcale. Uczniowie powtarzali, że to taka wielka strata... Właśnie – strata. Poczwała zalewającą ją

żał, ścisnęło jej się serce. Ta sprawa – z czworgiem dzieci, które ode-
szły w tragicznych okolicznościach – wytrącała ją z równowagi. Czę-
sto, zdecydowanie zbyt często powracała myślami do tego, co wyda-
rzyło się pięć lat wcześniej. A wiedziała, że nie może dać się zagarnąć
przeszłości, bo całkiem się rozsypie.

Pozwoliła odejść kolejnemu nastolatkowi. Na chwilę została sama
w sali. Zamknęła oczy i oddychała spokojnie, odliczając do dziesięciu.
Raz i drugi. Opuściło.

Otworzyła drzwi i poprosiła do środka Izabelę Kwiatkowską, zda-
niem wychowawczyni najbliższą przyjaciółkę Klaudii. Postanowiła
zostawić ją na koniec, żeby oczekiwanie trochę wyprowadziło dziew-
czynę z równowagi. Tak na wszelki wypadek, gdyby zamierzała coś
ukrywać. Udało się aż za bardzo, bo nastolatka wyglądała na zdener-
wowaną. Przycupnęła na skraju krzesła i objęła się mocno ramio-
nami. Wzrokiem umykała w bok.

– Spóźnię się – wypaliła nagle.

Całą sobą oznajmiała, że nie chce być w tej sali, nie chce rozma-
wiać z policjantką.

– Spokojnie, usprawiedliwię cię w razie czego – zapewniła Karo-
lina ze spokojem w głosie. Doskonale wiedziała, kiedy nacisnąć,
a kiedy odpuścić podczas rozmowy ze świadkiem. I zazwyczaj świet-
nie dogadywała się z nastolatkami. – Nie bój się, możesz ze mną swo-
bodnie rozmawiać – dodała.

– Ale ja nic nie wiem – zastrzegła dziewczyna płaczliwym głosem.

Puściła ramiona i odruchowo pocierała dłonie tak mocno, że Karo-
lina zaczęła się obawiać, że zedrze z nich skórę. Chwyliła je, by uspo-
koić uczennicę.

– Czemu się tak stresujesz? – zapytała.

– Nie wiem. Nie stresuję się. Tylko nie wiem, po co ta rozmowa.
Już mówiłam takiemu jednemu policjantowi. Wszystko.

Szewczyk puściła jej dłonie.

– Naprawdę, to mnie dobija – tłumaczyła się dziewczyna. – Nie doszłam do siebie po tym wypadku.

Zaakcentowała słowo „wypadek”, lecz zrobiła to raczej nieświadomie. Tak przynajmniej wydawało się Karolinie.

– Mam wrażenie, że jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć. Ani mnie, ani nikomu innemu. Obiecuję, że ta rozmowa pozostanie między nami, żaden z twoich kolegów się nie dowie. Nikt z nauczycieli ani innych dorosłych – policjantka mówiła szczerze.

– Ale ja nie mogę – jęknęła Iza.

Szewczyk milczała. Doskonale zdawała sobie sprawę, że wielu przesłuchiwanym czy rozpytywanym nie umie znieść przeciągającej się ciszy. Że milczenie szybciej rozwiązuje języki niż dziesiątki pytań. Przećwiczyła to już nie raz, nie dwa.

– Obiecałam Klaudii, że nikomu nie powiem. Ale to nikomu – wyszeptała Iza, spuszczać głowę.

– Klaudii już z nami nie ma. Niestety – zaczęła Karolina z żalem w głosie. Jak najbardziej szczerym. – Próbujemy wyjaśnić okoliczności tego pożaru. I mamy – przez moment zastanawiała się, ile może zdradzić – pewne wątpliwości. Może wiesz o czymś, co pomoże w śledztwie. Najlepiej pomyśl o tym tak, że pomagasz samej Klaudii. Nie uważasz, że na to zasłużyła? – wzięła Izabelę pod włos.

Nastolatka odgarnęła opadający jej na czoło kosmyk i wbiła wzrok w policjantkę.

– Dobrze, powiem – postanowiła. – Pewnie i tak byście się tego dowiedzieli... Klaudia była w ciąży. Dowiedziała się jakiś czas przed pożarem.

Karolina na moment zaniemówiła. To było ostatnie, czego się spodziewała. Nie przypominała sobie, żeby informacja o ciąży pojawiła się w raporcie z sekcji zwłok. Tyle że wszystkie raporty przejrzała pobieżnie, bo początkowo okoliczności śmierci Zawalskich zdawały się aż nazbyt oczywiste. I niebudzące podejrzeń.

Przełknęła głośno ślinę i zapytała:

- W ciąży? Z kim?

- Nie chciała mi powiedzieć - odpowiedziała dziewczyna szybko.
Za szybko.

- Iza, proszę cię...

Ta długo milczała, aż w końcu po kilku westchnieniach wyrzuciła z siebie:

- Karol Terlecki. Ale nie wie pani tego ode mnie - zerwała się z krzesła. - Muszę iść na lekcje - wypaliła i wyszła.

Karolina bez trudu mogła ją zatrzymać, uznała jednak, że na razie nie ma sensu cisnąć dziewczyny. Jeśli zajdzie taka potrzeba, jeszcze z nią porozmawia.

Wstała, przeciągnęła się, czując lekkie klucie w kręgosłupie, i podeszła do okna. Oparła się o parapet z lastryka i gapiła przed siebie, myśląc o tym, co usłyszała. Proszę, proszę, oto Klaudia Zawalska, idealna córka z idealnego katolickiego domu, była w ciąży. Co prawda miała dziewiętnaście lat, była pełnoletnia, ale... Gdyby Karolina miała obstawiać, która z siostr pierwsza zajdzie w ciążę, wskazałaby młodszą Martynę.

Kim jesteś, Karolu Terlecki?, zastanawiała się, gdy szła w stronę pokoju nauczycielskiego.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy się okazało, że Terlecki chodzi do klasy Klaudii. Wychowawczynie przecież nie wskazała go jako jej bliskiego kolegę. Nie wiedziała, że są parą? Nie miała pojęcia o ciąży swojej uczennicy? Najwyraźniej nie. Wyglądało na to, że Klaudia i Karol się ukrywali. Czy to z powodu Zawalskiego, który chciał mieć pełną kontrolę nad swoimi dziećmi? Niewykluczone. *Co było nie tak z tą rodziną?*, zachodziła w głowę. *Jakie miała tajemnice? Trzeba to będzie posprawdzać.*

Nie zamierzała ujawniać informacji o ciąży, nie wyjaśniła więc nauczycielce, dlaczego pyta o Terleckiego. Ustaliła, że chłopak jest na zwolnieniu lekarskim. Zapisała kontakt do jego rodziców i adres zamieszkania. Zapowiadało się kolejne rozpytanie, które - być może -

rzuci więcej światła na skomplikowane i niejasne relacje w rodzinie Zawalskich.

Kiedy wyszła na główny korytarz, zauważyła poruszenie pośród uczniów – podniesione głosy, palce wskazujące na drzwi do szkoły, komórki w wyciągnięte jak do nagrywania filmików.

– I co tu się odwalilo? – rzuciła pod nosem.

Wyszła przed szkołę i ze zdziwieniem zobaczyła Rogalskiego, który stał przed schodkami w dziwnej pozie. Opierał dłonie o kolana i dyszał.

– Co się stało? – zapytała, zarazem zaniepokojona i rozbawiona.

– Gonilem chłopaka Martyny Zawalskiej – rzucił na wydechu.

– Po co?

– Bo, kurde, uciekał.

Było to jakieś wytłumaczenie. Zastanawiała się, co tu się właściwie dzieje. Wiadomość o ciąży Klaudii, zwiewający chłopak Martyny... I coraz więcej pytań bez odpowiedzi.

– Dobra, później mi wszystko wyjaśnisz – poklepała Artura po ramieniu, dziwiąc się sobie, że zdobyła się na taki gest. – I jeszcze się nie prostuj, bo zaraz będziesz musiał na nowo łapać oddech.

Podniósł na nią wzrok.

– Klaudia ponoć była w ciąży.

Prokurator nagle się wyprostował i zaczął łapczywie chwytać powietrze.

– O, kurwa – wyrwało mu się.

* * *

23 kwietnia 2019 roku

Trzeci test ciężowy, dwie kreski. I ta sama prawda, której nie można zignorować. Klaudia trzasnęła plastykiem o kant umywalki i znowu załała się łzami. Sama nie była pewna, czy naprawdę widzi dwie kreski, czy tylko jej się zdaje, bo oczy miała opuchnięte od płaczu. *To niemożliwe, to się nie dzieje naprawdę*, powtarzała w myślach, doskonale zdając sobie sprawę, że zaklinanie rzeczywistości nic nie da.

Zaniepokojona hałasem matka cicho zapukała do drzwi łazienki.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała.

Klaudia wytarła twarz ręcznikiem. Próbowwała zapanować nad emocjami, chociaż trochę się uspokoić.

– Tak, nic mi nie jest – jej głos się łamał.

Zobaczyła, że klamka opadła. Przeleciało jej przez głowę, że mogła przecież zamknąć się na zasuwkę. Tylko co by to dało? Odroczonego wyrok. Nic więcej.

Matka weszła do łazienki i cicho zamknęła za sobą drzwi. Jej wzrok zaraz padł na leżący na podłodze test ciężowy. Westchnęła, a po chwili mocno objęła córkę. Dziewczyna zaszlochała, mocząc łzami jej bluzkę.

Zawalska wiedziała, że starsza córka spotyka się z Karolem. Klaudia nigdy niczego przed nią nie ukrywała. Chyba. Waldek też wiedział. W końcu ma dziewiętnaście lat, jest już dorosła, powtarzali sobie. Tyle że Waldek zwykle dodawał: „Prawie dorosła”. Magda zdawała sobie sprawę, że mąż nieodmiennie chce trzymać całą piątkę dzieci na krótkiej smyczy. I jakby nie do końca akceptował to, że córki dorosły. Do pewnego stopnia było to wytłumaczalne i nawet rozczulające. Poza tym wiedziała, że ojcowie często krzywym okiem patrzą na chłopaków córek. Nie protestowała więc, kiedy Waldek zabraniał Klauдії zamykania się w pokoju, gdy Karol ją odwiedzał. W rezultacie rzadko spotykali się u niej, raczej u niego. Rodzice chłopaka całymi dniami pracowali, więc młodzi zazwyczaj zostawali sami. Magda ufała córce i wierzyła, że nie zrobi nic głupiego. Niechętnie, bo niechętnie – miała przecież jasną opinię na temat seksu przedmałżeńskiego – porozma-

wiała z nią o zabezpieczeniu się. Ale cóż, stało się i się nie odstanie. Miała tylko nadzieję, że mąż nie wybuchnie nieopanowanym gniewem.

Klaudia wreszcie się jako tako uspokoiła. Wyglądała jak sto nie-szczęść.

- To było tylko raz, naprawdę - próbowała się wytłumaczyć.

- Nieistotne. Nie martw się, kochanie, jakoś sobie poradzimy z tym... problemem.

- Ojciec mnie zabije.

- Powiemy mu od razu, powinien wiedzieć. Nie martw się, będę tuż obok - Magda próbowała ją uspokoić, mimo że sama nie była do końca pewna, jak Waldek zareaguje.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Może poczekajmy - ostatnim, czego dziewczyna teraz chciała, była konfrontacja z ojcem.

Zdawała sobie jednak sprawę, że ta jest nieunikniona.

Kiedy zeszły na dół, Waldemar siedział przy stole i przeglądał rachunki. Prąd, gaz, internet, jakiś zaległy podatek od nieruchomości - akurat zbliżały się terminy płatności, a on nie ufał aplikacjom bankowym, więc wolał załatwić wszystko w starym stylu. Spojrzał na córkę i od razu wiedział, że coś jest nie tak.

- Umarł ktoś czy brakuje ci kasy na nową sukienkę? - zażartował w swoim stylu.

Klaudia z trudem powstrzymywała łzy. Wiedziała, że nie jest w stanie wydusić z siebie choćby słowa. Matka to zauważyła i postanowiła sama przekazać wiadomość. Szczęśliwą? Z każdym jej słowem twarz Waldka coraz bardziej tężała. Zaciśnął pięści.

Magda skończyła mówić. Zapadła długa, dręcząca cisza, która niemal boleśnie kłuła uszy Klaudii.

Wreszcie ojciec odetchnął ciężko i powiedział lodowatym głosem:

- Bardzo się na tobie zawiodłem, ale pomożemy ci wychować to dziecko, bo jesteśmy rodziną. Katolicką rodziną, która przyjmie dar

życia.

Nie ruszył się z miejsca, nie wstał, nie przytulił córki.

– Widzisz, skarbie? Mówiłam ci, że będzie dobrze. Wszystkim się zajmiemy – Magdalena była zadowolona z reakcji męża.

Klaudia wodziła wzrokiem od matki do ojca i z powrotem. *Nie, nie, to się nie może tak skończyć*, myślała gorączkowo. Przelknęła łyżę i wyrzuciła z siebie na jednym oddechu:

– Nie, nic nie rozumiecie. Ja nie chcę tego dziecka.

Głos jej się załamał.

Jeśli wcześniej trudno było wyczytać emocje z twarzy ojca, teraz było je widać aż nazbyt wyraźnie. Twarz Zawalskiego wykrzywiła się w grymasie złości. Matka spoglądała na córkę z niemym niedowierzaniem.

– Oszalałaś? Chcesz zabić dziecko, zabić człowieka? – Waldemar nie dopuszczał do siebie myśli o aborcji. – Urodzisz je, czy tego chcesz, czy nie – dodał ostrym tonem. – I bez gadania.

Zerwał się z krzesła i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Zawsze tak robił. Zawsze chciał mieć ostatnie zdanie. Rzucił nakazy i rozkazy, a potem wychodził, zniknął, zakładając, że cała rodzina bez szemrania się im podporządkuje. I tyle.

Klaudia poczuła ogarniającą ją niemoc. W głowie kłębiły jej się myśli, których nie umiała złożyć w całość. Była wierząca, może nie tak jak rodzice, ale jednak. Myśl o aborcji ją bolała. Ale jednocześnie jeszcze nie widziała siebie w roli matki. Zupełnie. Miała plany, chciała iść na studia, potem znaleźć dobrą pracę i dopiero myśleć o dzieciach. Chciała je mieć, ale na pewno nie teraz. Nie była na to gotowa. I z pewnością nie chciała utkwąć w domu do końca życia jak matka. Była pewna, że tak się stanie, jeśli za kilka miesięcy urodzi dziecko. Dar życia... Załkała i podbiegła w stronę schodów, nie słysząc uspokajających słów matki. Chciała zniknąć, przez chwilę nie być i niczego nie czuć.

Magda westchnęła ciężko. W pierwszym odruchu zamierzała pójść za córką, by ją jakoś pocieszyć. Po dwóch, trzech krokach zatrzymała się jednak i postanowiła na jakiś czas zostawić Klaudię w spokoju.

Podeszła do zlewu w kuchni i machinalnie zaczęła zmywać. Nie mogła pozbierać myśli. Tylko jednego była pewna: Waldek nie zmieni zdania.

Rozdział V

Pielgrzymka z niespodzianką

7 września 2019 roku

Krzysztof

Krzysztof wiedział, że jego wydawca miewa dziwne i zaskakujące pomysły, ale ten przerósł jego najśmielsze wyobrażenia. Jacek Jeżyna wymyślił sobie, że reporter weźmie udział w pielgrzymce w intencji Zawalskich, którzy zginęli w pożarze. Zorganizował ją sam Zawalski równo miesiąc po tragedii. *Taka odmiana warszawskich miesięcznic, ciągnących się jak flaki z olejem*, skojarzyło się Krzyskowi. Kto w ogóle robi takie rzeczy i po co? Mógł zrozumieć codzienne wizyty złamanego nieszczęściem męża i ojca na grobie bliskich czy nawet msze w intencji zmarłych. Ale pielgrzymka?

W zleceniu Jeżyny w sumie nie byłoby nic nietypowego, w końcu pielgrzymka była potencjalnie niezłym newsem, gdyby nie to, że wydawca zarządził, aby Krzysiek towarzyszył pielgrzymom przez cały czas. Żeby przypadkiem nie umknęło mu coś ważnego, tak to uzasadniał. „Zawalski tam będzie, może znowu odwali coś jak na tym spotkaniu z pisarzem”, powtórzył to zdanie ze trzy razy. Krzysiek nie był przekonany do tego pomysłu. A po prawdzie zwyczajnie nie chciało mu się iść z buta ponad dwadzieścia kilometrów do Rybnika. Pójść na miejsce startu pielgrzymki wyznaczone pod kościołem w Bziu, zrobić fotki, pociągnąć pielgrzymów za język – jasne, to miało sens. Ale

uczestniczyć w całej tej szopce? Co niby mogło mu umknąć? Kolejna odmówiona zdrowaśka?

Ale cóż, pan każe, sługa musi. Sielski stawił się więc pod kościołem pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła. Nie chciał, żeby Zawalski z miejsca go rozpoznał, bo nie był pewien, czy ten życzy sobie obecności mediów podczas pielgrzymki. Założył więc jasny letni kapelusz i okulary przeciwsłoneczne. *Tajnos agentos dla ubogich*, pomyślał, przewracając oczami. W sumie miał gdzieś, czy Zawalski go rozpozna. Bardziej interesowało go, ile nadgodzin nabije podczas tej akcji.

- Podejdźcie bliżej, kochani, bliżej - zachęcał Mikołaj Jakubczak, ksiądz proboszcz, zażywny mężczyzna ze sporym brzuchem.

Poprosił Zawalskiego o kilka słów i przekazał mu mikrofon.

- Dziękuję wam, że tak licznie się tutaj zebraliście. To pielgrzymka w intencji moich ukochanych zmarłych - przerwał i na moment opuścił głowę. - I na chwałę Pana naszego, którego wyroki są niezbadane. Jeszcze raz z serca dziękuję - odchrząknął. - Moja droga córka Martyna chciała być tu z nami, ale niestety nie pozwolił jej na to stan zdrowia, musimy to zrozumieć. Przechodzi, podobnie jak ja, bardzo trudny czas - mówił spokojnym, pewnym tonem.

Najwyraźniej nie czuł tremy przed publicznymi wystąpieniami. Pokazał to już wcześniej, na spotkaniu z autorem kryminałów. Pewnie robił to często. Z dziennikarskiej kwerendy Sielski wiedział, że Zawalski od lat udziela się w życiu parafii. Był nawet szafarzem Komunii Świętej.

Przed kościołem zebrał się spory tłumek. Dziesiątki, a może i ponad setka osób. Byli znajomi Zawalskich, ale chyba też obcy. Czuli się zobowiązani wobec parafialnej wspólnoty czy zwyczajnie przyciągnęła ich tragedia? Krzysiek nie potrafił tego rozstrzygnąć.

Sam trzymał się nieco z boku i obserwował zgromadzonych. Zastanawiała go nieobecność Martyny, jedyne dziecko Waldemara, które ocalało z pożaru. Naprawdę się rozchorowała czy nie chciała uczestniczyć w religijnym wydarzeniu? Do tej pory interesował się dziewczyną

jedynie pobieżnie. Może to był błąd? Postanowił, że prześwietli Martynę, porozmawia z nią. I może trafi na ślad konfliktu między nią a ojcem. *To by się nieźle sprzedawało*, pomyślał cynicznie.

Zawalski powoli kończył przemowę:

– Chcę zadeedykować tę naszą wspólną drogę mojej świętej pamięci rodzinie. I przypomnieć w tym miejscu słowa Pana Jezusa: „*Ja jestem drogą i prawdą, i życiem*”. Rozważmy je przez chwilę – przerwał. – Raz jeszcze dziękuję wszystkim za udział. Bóg zapłać.

Gdy oddawał mikrofon księdzu, rzucił mu krzywe spojrzenie. A przynajmniej tak się Krzyskowi zdawało. *Dziwne*, pomyślał dziennikarz. Z tego, co ustalił, Zawalski przyjaźnił się z proboszczem. Od lat udzielał się w parafii, dał pieniądze na remont schodów. Krzysiek uznał, że wpada w lekką paranoję, wszędzie węsząc sensację. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Jeźyny: „Bez materiału na pierwszą stronę nie wracaj”. Łatwo powiedzieć.

Martyna

Drżała, nie mogła się uspokoić.

– Jak on tak może, jak on tak w ogóle może? – powtarzała bezsilnie.

Miała nadzieję, że wielka tragedia zmieni ojca, sprawi, że stanie się inny, lepszy. I że spojrzy na nią innym okiem. Ale nie! Po pożarze wcale nie udzielał jej wsparcia. Zamknął się, skupił na sobie, tych bzdurnych rytuałach i tłumaczeniach, że niby „Bóg tak chciał”. Bóg chciał zabrać Wiktorka? Co to niby za Bóg?! A teraz jeszcze zrobił jej awanturę o tę pieprzoną pielgrzymkę. Zażądał, żeby na nią poszła, bo tak wypada, bo co ludzie pomyślą. Miała to gdzieś, nie zamierzała brać udziału w tej szopce. Skończyło się wrzaskami.

Wyszła przed hotel i zapaliła papierosa. Czy problem w jej relacjach z ojcem polegał na tym, że cała rodzina była religijna do bólu, a ona nie? W dużym stopniu pewnie tak. Tylko co to była znowu za

religijność? Zawsze jej się zdawało, że na pokaz. To wspólne chodzenie na sumę... To udzielanie się starego w parafii... Jej to od dawna nie pasowało, dlatego się buntowała, co nakręcało ojca. Poza tym może i był dobrym parafianinem, ale już człowiekiem – niekoniecznie. Bo czy dobry ojciec tak traktuje córkę, jak on traktował ją? A może nie chodziło o religię, tylko o kontrolę, o to, że nie chciała, aby układał jej życie. Niewykluczone.

– Walić to – powiedziała cicho i zgasła papierosa, niemal rozgniatając ustnik.

Jednego była pewna: właściwie nie ma już rodziny. Żadnej. Został jej tylko Sebastian. W sumie smutne.

Krzysztof

Dla Krzyśka pielgrzymka nie była żadną atrakcją, najzwyczajniej w świecie wykonywał zleconą robotę. I tyle. Nie przewidział jednak, że będzie ona aż taka nudna i żmudna. Już po godzinie nieśpiesznego marszu miał ochotę machnąć na wszystko ręką, odłączyć się od grupy i wrócić do domu. Nie działo się nic, co byłoby warte choćby nędznej wzmianki. Parafianie szli w ciszy, w końcu intencja pielgrzymki wiązała się z żałobą. Raz czy drugi ktoś próbował zaintonować jakąś pieśń, która szybko się urywała.

Krzysiek trzymał się w środku grupy, ale tak, by mieć Zawalskiego na oku. Ten szedł na czele, obok proboszcza. Milczał, nie reagując na słowa księdza rzucane od czasu do czasu. *Czyżby narastało między nimi napięcie?*, zastanawiał się dziennikarz. *Ogarnij się, to wszystko dzieje się jedynie w twojej głowie*, napomniął się w myślach.

W gruncie rzeczy zorganizowana przez Zawalskiego pielgrzymka pod wieloma względami była nietypowa. Już sam jej cel, czyli bazylika w Rybniku, okazał się nieoczywisty. Na Śląsku rok w rok tłumnie pielgrzymowano przede wszystkim do bazyliki Najświętszej Marii Panny i Świętego Bartłomieja w Piekarach, dokąd masa wiernych ciągnęła

w intencji zerwania z nałogiem alkoholowym. Chociaż nie tylko. Ale bazylika w Rybniku? Może Waldemar wybrał ją dlatego, że słowo „bazylika” brzmiało lepiej niż „kościół”. I nic to, że – z tego, co Krzysiek pamiętał – nadano jej tytuł jedynie bazyliki mniejszej. Poza tym z Jastrzębia-Zdroju do Rybnika było niewiele ponad dwadzieścia kilometrów, więc spokojnie można było tam dojść w jeden dzień. Dlaczego więc Zawalski zorganizował wędrowkę tak, by wyjść z Bzia po południu, przenocować pod namiotami nad Balatonem w Wodzisławiu Śląskim i dopiero na drugi dzień dotrzeć do Rybnika? Nad stawem nie było pola namiotowego, więc nie pociągało to za sobą kosztów. Ale po co w ogóle ten nocleg? Waldemar nie chciał, żeby pielgrzymka była męcząca? Czy też miała to być atrakcja, która przyciągnie większą liczbę uczestników? *A cholera go wie*, podsumował Krzysiek swoje wątpliwości. Nie potrafił wyczuć faceta. Ani trochę.

Postanowił, że czy mu się to uśmiecha, czy nie, musi wytrwać na żałobnej pielgrzymce przynajmniej do rana. Jeśli miało się tam wydarzyć coś interesującego, to podczas noclegu. Przecież nie raz, nie dwa objało mu się o uszy, że podczas pielgrzymek do Częstochowy wierni nie zawsze skupiają się wyłącznie na Jezusie, Maryi i modlitwie. A potem, jeśli nie stanie się nic spektakularnego, zerwie się z samego rana do Jastrzębia.

Na razie człapał w tym samym niespiesznym tempie co reszta pielgrzymów. Co jakiś czas popatrywał na Waldemara. Ten nieodmiennie siedł w ciszy i skupieniu. Nuda i dłużyzny jak w polskim kinie. Krzysiek stawiał krok za krokiem, starając się nie myśleć o tym, że coraz bardziej dokuczają mu obtarte pięty.

Zabiję Jeżynę i wtedy będą mieli sensację na okładkę, pomyślał. Coraz bardziej bolała go stopa, a do tego był poirytowany i wyczerpany. Mimo młodego wieku i w miarę szczupłej sylwetki nie miał dobrej kondycji. Nie lubił biegać, ćwiczenia na siłowni go nudziły, a na zwykłe spacery zwyczajnie nie miał czasu, bo ciągle gonił za materiałami do tekstów.

Na szczęście w oddali majaczył już Balaton, przy którym na dziko, bo nie było tam pola namiotowego, rozstawiono namioty dla pielgrzymów. Ponoć zadbał o to Zawalski. Naprawdę było go stać na trwonienie kasy? Pogrzeby swoje kosztowały, a w perspektywie miał remont domu. Aż tak dobrze zarabiał?

Balaton był niedużym stawem otoczonym lasami, z plażą na jednym z jego brzegów. Chętnie wypoczywali nad nim mieszkańcy Wodzisławia Śląskiego i sąsiednich miejscowości. Wieczór był ciepły, więc od strony plaży jeszcze dochodziły głosy kąpiących się ludzi. Krzysiek miał to gdzieś, bo marzył tylko o tym, by rzucić się na posłanie. Jakiegokolwiek.

Zauważył, że szeregi pielgrzymów nieco się przerzedziły. Zresztą już podczas drogi widział, że część osób rezygnuje. Pewnie zwyczajnie chcieli okazać wsparcie, ale nie zamierzali dreptać aż do Rybnika. *Okazać albo tylko się pokazać*, skomentował zgryźliwie. Jak dla niego tak było nawet lepiej. Liczył na to, że nie będzie musiał z nikim dzielić namiotu.

Po chwili wybrał najodpowiedniejsze dla siebie schronienie. Ani nie za blisko tego, w którym miał spać Zawalski, ani nie za daleko. Nie chciał mu się rzucać w oczy, bo nie miał pewności, jak mężczyzna zareaguje na obecność kogoś z mediów. Mógł się bardziej spiąć, zamknąć w sobie. Krzyškowi wydawało się, że Waldemar wygląda i zachowuje się trochę jak zombie. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat takie porównanie przyszło mu do głowy. Może dlatego, że Zawalski zdawał się nie okazywać żadnych emocji. Robił i mówił to, co trzeba. Nie wyglądał na pogrążonego w rozpacz, a twarz miał niczym maskę. Umiął tak dobrze nad sobą panować, czy po prostu nic nie czuł? Dobre pytanie.

Kiedy Sielski przygotowywał sobie posłanie, usłyszał donośny głos Zawalskiego:

- Jestem niezwykle wdzięczny, że dotarliście z nami aż tutaj. Powiedziałem „z nami”, bo czuję, że moi drodzy zmarli są tu ze mną -

na dłuższą chwilę zawiesił głos. – Jutro z rana wyruszamy w dalszą drogę, niewiele nam zostało. Dziś już odpocznijcie.

Reporter przewrócił oczami. Kolejne okrągłe zdania, które nie znaczyły wiele i które pewnie należało wypowiedzieć. I tyle. Krzysiek stracił pół dnia, nałaził się jak rzadko kiedy, a nie miał nic. Zero. Choćby cienia nadziei na jakikolwiek drukowalny materiał. Przeleciało mu przez głowę, że Jeżyna nie będzie zadowolony, jeśli niczego mu nie przyniesie. Wprawdzie pomysł z szukaniem sensacji podczas pielgrzymki wyszedł od wydawcy, jednak Krzysiek był pewien, że jeśli coś pójdzie nie tak, opierdziel zbierze on. Nie kto inny. Był młody, na dorobku, więc pierwszy do bicia.

Kolejny raz wrócił myślą do dziwnego napięcia, które dostrzegł między Zawalskim a proboszczem. A może tylko mu się wydawało? Uznał, że nie zaszkodzi porozmawiać z księdzem. Może wyskoczy coś interesującego, jakikolwiek trop, za którym mógłby podążyć. A jeśli nawet nie, może na koniec pielgrzymki, pod bazyliką w Rybniku, coś się wydarzy. Cokolwiek.

– Spoko luz, jutro też jest dzień. Oby lepszy – mruczał pod nosem, uklepując cienką poduszkę.

8 września 2019 roku, nocą

Krzysztof

Sielski przewrócił się z boku na bok nie wiadomo który raz. Westchnął i pomyślał, że spanie na łonie natury jest mocno przereklamowane. Nie zasnął nawet na moment, za to co jakiś czas sprawdzał godzinę albo bezmyślnie skrolował internet w smartfonie. Kolejny raz spojrzął na ekran – czwarta siedemnaście. Pewnie już świtało, bo

ptaki w lesie okalającym Balaton zaczynały koncert. Zdecydowanie zbyt głośny.

Zastanawiał się, jak znajdzie siłę, by powlec się pieszo z Wodzisławia do Rybnika, jeśli choćby na chwilę nie zmruży oka. Życie w ciągłym napięciu i gonitwie trochę go już sponiewierało. Od paru ładnych miesięcy robił na okrągło, nieważne, świątek, piątek czy niedziela, prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo przecież ciągle coś się działo, ciągle wisały mu nad głową *deadline'y*, których Jeżyna pilnował niczym więzienny strażnik. Z cichym jękiem usiadł na posłaniu. Czuł się potwornie zmęczony i zniechęcony. *A co będzie za dziesięć lat?*, pomyślał gorzko.

Przez ptasie trele przedarł się charakterystyczny dźwięk rozsuwanego zamka. A może mu się tylko zdawało? Przesunął się w stronę wyjścia z namiotu, wstrzymał oddech i nasłuchiwał.

- Oszalałaś?! Nie tutaj, błagam cię, nie tutaj – do jego uszu dotarł zduszony szept.

Zawalski?

Ktoś odpowiedział, ale to mu umknęło. Usłyszał jeszcze tylko cichnące odgłosy kroków na suchej ściółce. Powoli rozsunął zamek namiotu i ostrożnie się z niego wychylił. W oddali dostrzegł, niewyraźne w półmroku, sylwetki dwóch osób idących w stronę gęściej rosnących drzew. Założył buty i ruszył w tym samym kierunku. Szedł pochylony, trzymając głowę na wysokości namiotów. Nocne marki chyba się zatrzymały. Słyszał je coraz wyraźniej, chociaż jeszcze nie wylapywał słów. Nie chciał podchodzić zbyt blisko, żeby go nie odkryli. Kiedy tylko upewnił się, że usłyszy rozmowę, ukrył się za pniem starej sosny. Powoli zza niego wyjrzał. A więc jednak...

Pośród drzew, za krzakiem jałowca, który trochę osłaniał od strony obozowiska, stał Zawalski. Nie sam. Tuż obok niego Krzysiek dostrzegł rudowłosą kobietę. Chyba w średnim wieku. Nie był pewien, bo w głębi lasu wciąż było ciemno. Czy widział ją wczoraj pośród pielgrzymów? Jeśli tak, nie zwrócił na nią uwagi. *Co facet w żałobie robi*

nocą w lesie z kobietą?, myślał gorączkowo. Poczuł lekką ekscytację, jak zawsze, kiedy trafiał na obiecujący trop. Z coraz większym zdziwieniem przysłuchiwał się niegłośnie rozmowie.

– Wreszcie możemy być razem – powiedziała kobieta.

Chciała objąć Zawalskiego, ale ten cofnął się o krok.

– Ktoś nas może zobaczyć, to nie jest czas na takie rozmowy – rzucił oschle.

– Powtarzasz to od dnia pożaru, a przecież właśnie o to nam chodziło.

Co ona gada?, Sielski nie dowierzał. Od razu przestał czuć zmęczenie i senność. Wychylił się jeszcze bardziej zza drzewa, by nie stracić choćby słowa z rozmowy, której był świadkiem.

– Zwariowałaś?! – Waldemar prawie krzyknął. Chyba przestraszył się, że może kogoś obudzić, bo dalej mówił zdyszonym szeptem: – Kompletnie ci odwaliło. Musisz się opanować.

Wydawał się równie zaskoczony słowami kobiety jak dziennikarz.

– Nie udawaj, że to wszystko nie jest ci na rękę. Powinieneś się cieszyć, tyle problemów z głowy.

Sielski dostrzegł, że Zawalski wykonał ruch, jakby chciał się zamachnąć i uderzyć kobietę. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Krzysiek nie widział wyraźnie jego twarzy, ale był pewny, że mężczyzna jest wściekły.

– Jakie problemy, kobieto? Głupoty gadasz.

Kim dla siebie byli rudowłosa i Zawalski? Krzysiek nie miał pojęcia, jednak był pewien, że muszą być blisko. Bardzo. Nie wiedział, ile jeszcze potrwa leśna schadzka, więc postanowił działać. Wyjął z kieszeni spodni komórkę, uruchomił aparat fotograficzny i sprawdził, czy przypadkiem nie ma włączonej lampy błyskowej. Musiał być ostrożny. Pstryknął kilka fotek i szybko je przejrzał. Jakość nie powalała, ale lepsze to niż nic. W głowie kołatały mu często powtarzane słowa wydawcy: „Tekst bez foty to żaden tekst”.

- Obiecuję ci, że wrócimy do tej rozmowy – usłyszał szept Zawalskiego. – Ale, kurwa, teraz nie jest na to czas.

Proszę, proszę... Dziennikarz pierwszy raz słyszał, jak ten przykładny mąż i ojciec, podpora parafialnej społeczności, używa grubych słów.

- Mam na głowie prokuratora, policję i dziennikarzy, gdybyś nie zauważyła – dorzucił mężczyzna.

- Musisz mi to wynagrodzić – głos kobiety wydawał się Krzyškowi niezwykle namiętny.

I chyba nie tylko dlatego, że szeptała, podobnie jak Waldemar.

Teraz znowu próbowała zbliżyć się do Zawalskiego. Ten jednak tylko syknął.

Niedaleko Sielskiego rozległ się trzask łamanej gałązki.

- Ooo, fuck – zaklął Krzysiek.

Poczuł, jak serce skacze mu do gardła, bo pomyślał, że to on narobił hałasu, następując na coś. Przykucnął za drzewem i się skulił. Dopiero po chwili się zorientował, że obok niego właśnie przeszedł ktoś inny.

- Wszystko w porządku? – tubalny głos księdza Jakubczaka niósł się po lesie.

Proboszcz ominął krzak jałowca i zatrzymał się niedaleko pary, którą obserwował dziennikarz.

- Co się tutaj dzieje? – ksiądz wodził wzrokiem od Zawalskiego do rudowłosej, świecąc po ich twarzach latarką.

- Nie po oczach – rzucił Waldemar i ziewnął, udając zaspanego.

Ksiądz skierował snop światła w dół.

- Poszedłem się tylko wysikać – wyjaśnił Waldemar.

Sielski omal nie parsknął śmiechem. To chyba była najgłupsza wymówka, jaką Zawalski mógł wymyślić. Ksiądz wymownie spojrział na kobietę.

– Obudziłam się i zauważyłam, że pan Waldek idzie w stronę lasu. Bałam się, że może sobie... No wie ksiądz... – w głosie rudej pobrzmiwały dramatyczne tony.

– Nieporozumienie takie, proszę księdza. Uśmialiśmy się z tego – Waldemar sprowadził całą sytuację do żartu.

Sielski nie wiedział, czy proboszcz kupił bzdurną historyjkę, ale ewidentnie nie chciał wnikać w szczegóły. Przynajmniej nie w tym momencie. Wszyscy troje wrócili do swoich namiotów. Krzysiek na wszelki wypadek odczekał jeszcze kilka minut w ukryciu, zanim też skierował się do obozowiska.

– Ja pierdolę – zaklął na głos, gdy dotarło do niego, czego był świadkiem i jakie zdjęcia zrobił.

Zaczął się zastanawiać, czy proboszcz wie, że Zawalski jest blisko z rudą. Może dlatego między nim a z pozoru przykładnym parafianinem pojawiło się jakieś bliżej niesprecyzowane napięcie. Jedno jednak wiedział na pewno – nie pokaże się Jeżynie z pustymi rękami.

* * *

14 lutego 2018 roku

Zawalski zsunął się z Iwony i usiadł na skraju łóżka odwrócony do niej plecami. Poczekał, aż wyrówna mu się oddech, a potem powiedział:

– Muszę wracać. Za długo mnie nie ma.

Szczęknęły sprężyny wysłużonego materaca. Iwona przyłgnęła do jego pleców. Poczul dotyk jej pełnych piersi z dużymi sutkami.

– Daj spokój, są walentynki, możesz jeszcze zostać.

– W walentynki ludzie też chorują – burknął.

Wyswobodził się z jej objęć i sięgnął po ubrania leżące na podłodze. Iwona śledziła go wzrokiem. Mimo że miał już swoje lata i praco-

wał, jak jej się wydawało, zdecydowanie za dużo, był w dobrej formie. Niewiele się zmienił od czasu pierwszej parafialnej pielgrzymki, na której go poznała. *A minął już prawie rok*, pomyślała z pewnym niedowierzaniem.

Dziś urwał się z nocnego dyżuru, nie pierwszy raz. Zwykle i tak nie działo się podczas nich zbyt wiele, chyba że akurat doszło do jakiegoś wypadku, po którym była potrzebna interwencja chirurga. Pielęgniarki zapowiedziały, że idzie się przespać i żeby mu nie przeszkadzała, jeśli nie będzie to konieczne. A potem wymknął się ze szpitala. Nie był pewien, czy kobieta mu uwierzyła, ale miał to gdzieś. Podejrzewał, że ona też pójdzie spać.

Iwona nie widywała Waldka zbyt często, spotykali się dwa czy trzy razy w miesiącu, choć ostatnio jakby rzadziej. Właściwie zdecydowanie za rzadko – przynajmniej dla niej. Patrzyła, jak ubiera się nieśpiesznie. Tak bardzo chciała, żeby został z nią do rana. Marzyła o tym, że zjedzą śniadanie, wypiją kawę, a później ona wyprawi go do pracy. *Tak powinno być*, myślała. Ale czy będzie? Była niemal pewna, że Waldka wkurzą jej słowa, jednak nie mogła się powstrzymać:

– Pamiętasz, obiecałeś mi, że kiedyś będziemy razem... Tak naprawdę.

– Taaak? – rzucił przeciągle, próbując ukryć zaskoczenie.

Nie przypominał sobie. Możliwe jednak, że złożył taką obietnicę. Może nawet padło z jego ust niby magiczne „kocham cię”. Zapewne tuż przed seksem albo zaraz po. Wtedy człowiek plecie trzy po trzy.

Iwona czekała, aż Waldek powie coś więcej. W milczeniu zakładała marynarkę, ewidentnie zbierając się do wyjścia.

– Kiedy? – spytała z irytacją w głosie.

– Co konkretnie?

Albo udawał, że nie rozumie, albo zwyczajnie jej nie słuchał. Poczowała wściekłość pomieszaną z dotkliwym żalem.

– Kiedy zostawisz żonę? – jaśniej już się chyba nie dało.

Omów nie parsknął, gdy to usłyszał. Widziała jego minę i czekała cierpliwie na odpowiedź, chociaż w środku się gotowała. *Nie będę kolejną żalosną kochanką, której wystarczają ochłapy*, myślała, coraz bardziej się nakręcając. Przykładowy mąż wróci do żony, a ona zostanie z niczym? Niedoczekanie.

- Nie bądź śmieszna - powiedział ostro. - Mam dzieci, to wszystko nie jest...

- Śmieszna? - przerwała mu. - Ja jestem, kurwa, śmieszna?

Zamarł. Nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji.

- Przychodzisz do mnie tylko wtedy, kiedy twoja idealna żoneczka nie chce dać ci dupy - nie zamierzała mu odpuszczać. Nie tego dnia. Na pewno nie w walentynki. - W sumie mógłbyś więc przychodzić codziennie. Tylko się boisz. Teraz to, kurwa, do mnie dotarło. Co by ludzie powiedzieli, gdyby się wydało, że pukasz inną na boku. W dodatku młodszą. Co to by było? Pewnie ksiądz by cię wyklął z ambony, a Jezusek pogroził paluszkami.

- Iwona, na miłość boską, uspokój się - Zawalski zacisnął pięść, z trudem nad sobą panując. - I nie wzywaj imienia nadaremno, bo to...

- Nie mów mi, kurwa, co i jak mam mówić we własnym domu! - wrzasnęła.

Zawalski z całej siły uderzył pięścią w nocny stolik. Lampka spadła, a żarówka rozbiła się w drobny mak. W pokoju zapanowała grobowa cisza.

- Wypierdalaj - wycedziła przez zęby Iwona.

- Pamiętaj o naszej umowie - próbował ją pouczyć. - Musimy być ostrożni.

- Powiedziałam: wypierdalaj. I módl się, żeby wystarczyło mi cierpliwości, bo inaczej rozpieprzę ci to ciepłe do wyrzygania rodzinne gniazdko.

Zawalski rozważał przez dłuższą chwilę, co będzie dla niego lepsze - czy ma uspokoić kochankę czy po prostu odwrócić się na pięcie

i wyjść. Pomogła mu w podjęciu decyzji, mówiąc:

– Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj.

Bez słowa zgarnął kluczyki do samochodu, leżące na stoliku, i wyszedł, cicho zamykając drzwi. Szybko przemknął przez podwórkę i poszedł do zaparkowanego kilkaset metrów dalej auta. Było mało prawdopodobne, że w środku nocy natknie się na któregoś z sąsiadów Iwony, ale strzeżonego... I tak dalej.

Prawdę mówiąc, zbyt nie przejął wybuchem kochanki. Podobne sceny urządzała mu już kilka razy. A potem i tak odzywała się po tygodniu czy dwóch. Zakochała się w nim? Nie wnikał. A nawet jeśli, to nie jego problem. Dla niego ten układ był wygodny. Dostawał to, na czym mu zależało, czyli dobry seks. Naprawdę dobry. A rojenia Iwony o tym, że zostawi żonę i rodzinę? Fanaberie nakręconej baby, tak to komentował. Przecież nie mogła wymagać, żeby ot tak, z dnia na dzień porzucił żonę i pięcioro dzieci. Poważni, odpowiedzialni mężczyźni tak nie postępują. A on za takiego właśnie się uważał. Poza tym – i tu Iwona miała rację – zależało mu na opinii innych, oczywiście kolegów lekarzy, ale również znajomych z parafii w Bziu. Nie, rozwód nie wchodził w grę.

Iwona poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Pokręciła głową, jakby to miało powstrzymać wybuch płaczu.

– Weź się w garść, dziewczyno – napomniała samą siebie.

Naga podeszła do okna i zza firanki zerknęła na ulicę przed domem. Nie chciała, by Waldek ją dostrzegł. Na pewno nie da mu tej satysfakcji. Patrzyła, jak ten wsiada do auta i odjeżdża.

Łatwo traciła panowanie nad sobą, ale szybko je też odzyskiwała. Już myślała całkiem trzeźwo. Krzykami nic nie zyska, była tego pewna. Należała jednak do osób cierpliwych, postanowiła więc, że poczeka na odpowiedni moment. A wtedy Waldek będzie jej. I tylko jej.

Rozdział VI

Na skrzyżowaniu

10 września 2019 roku

Karolina

Fakt, trochę jej z tym zeszło. Nawet bardziej niż trochę. Planowała rozpytać chłopaka Klaudii Zawalskiej, Karola Terleckiego, niedługo po tym, jak dowiedziała się, że nieszczęsna dziewczyna spodziewała się dziecka. Wciągnęły ją jednak inne sprawy, których nigdy nie brakowało. W jej wydziale wciąż było za mało rąk do pracy, tak samo jak w całej komendzie. Po latach rządów PiS-u i różnych dziwnych czy wręcz absurdalnych akcjach, do których angażowano policjantów, zaufanie do ich służby zmalało. Nie dziwiła się, że ludzie nie garną się do tej roboty, a kto miał wysługę lat, odchodził na emeryturę. Kasa się zgadzała, a przynajmniej mieli święty spokój. Efekt był taki, że z niczym się nie wyrabiali. Poza tym prokurator Rogalski przestał na nią naciskać w sprawie Zawalskich. Początkowo się zdziwiła, bo wyglądał na mocno zaangażowanego. Po raz kolejny doszła w wniosku, że zwyczajnie go nie rozumie. A z drugiej strony Rogalski najprawdopodobniej równie szybko się zapalał, jak tracił zapał. Może uznał, że sprawa nie jest rozwojowa. Nie wnikała.

Tej soboty znowu nadrabiała zaległości w papierach. Produkowali ich stopy, właściwie z każdym rokiem coraz więcej. Po czterech godzinach spisywania kolejnych notatek i protokołów miała dosyć. Prze-

moc domowa, kradzież w sklepie, bójki... Upierdliwa powtarzalność nieodmiennie podobnych spraw, które trzeba było odhaczyć. Szczypały ją oczy i bolał kręgosłup. Pomyślała, że jeśli nie ruszy się z fabryki, zaraz zacznie ciskać o ścianę, czym popadnie. Dopiero kumple mieliby używanie. I tak uważali ją za lekko szurniętą. Zwiślał jej to ciężkim kalafiolem. Wtedy postanowiła, że pojedzie do Terleckiego. I tak kiedyś będzie musiała to zrobić. Będzie miała czynność z głowy, a przy okazji wykaże się inicjatywą.

Podpisała wydrukowany właśnie dokument i odłożyła go na stos po prawej stronie klawiatury. Stos po lewej, spraw do obrobienia, był zdecydowanie większy. Wstała z fotela i przeciągnęła się mocno. Plecy bolały i pewnie długo nie przestaną. Z szuflady biurka wyciągnęła listek z tabletkami przeciwbólowymi, wycisnęła jedną i popiła zimną kawą. Powiedziała Kowalczykowi, który – podobnie jak ona – spędzał sobotę w pracy, że jedzie pogadać ze świadkiem. Chyba nie wzbudziła zainteresowania partnera, bo nie podnosząc głowy znad papierów, chyba tylko dla zasady spytał:

– Kopnąć się z tobą?

– Nie. Nie zwracaj sobie głowy.

Poprawiła kucyk, z którego wymknęły się pasma włosów. Siwych. Pomyślała, że w końcu powinna je ufarbować. Tylko właściwie po co? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

– Dobra, tylko uważaj na siebie.

Parsknęła śmiechem.

– Halo, Ziemia do Kowalczyka. Jadę pogadać z nastolatkiem w domu jego starych, a nie do meliny pełnej uzbrojonych zbójów.

Adam tylko wzruszył ramionami.

Wyszła przed budynek i zapaliła. Rozejrzała się dookoła i pokręciła głową. Nieodmiennie bawiło ją i dziwiło, że Komenda Miejska Policji w Jastrzębiu-Zdroju ma siedzibę właściwie w czteropiętrowym bloku mieszkalnym. Dokładnie takim samym jak kilka innych przy niezbyt reprezentacyjnej ulicy Śląskiej. Na dobrą sprawę jej fabryka znajdo-

wała się w środku osiedla mieszkaniowego. Skąd taka lokalizacja? Kiedyś miała się nawet dowiedzieć, ale jakoś nigdy się nie składało.

Chłopak Zawalskiej mieszkał przy ulicy Beskidzkiej, więc niedaleko komendy. W sumie w Jastrzębiu-Zdroju wszędzie było stosunkowo blisko, a całe miasto, pomijając kiedyś włączone do niego wsie, spokojnie można było objechać w godzinę z niewielkim okładem. Wrzuciła niedopałek do kosza na śmieci i wsiadła do zdezelowanego radiowozu. Komendzie obiecano nowe samochody tak dawno temu, że przestała już wierzyć, że się pojawia, zanim ona odejdzie na emeryturę.

- Dajesz, maleńki - poklepała kierownicę, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Odpalił za pierwszym razem, co wcale nie było regułą.

Z parkingu przed komendą skręciła w lewo, w ulicę Śląską. Znała ją tak dobrze, że mogła jechać na pamięć. Skupiła się na rozpytaniu Terleckiego. Czy chłopak powie coś przełomowego? Na to za bardzo nie liczyła. Czy Klaudia w ogóle poinformowała go o ciąży? Albo, co ważniejsze, czy Waldemar Zawalski wiedział, że córka spodziewa się dziecka? Z zamyślenia wyrwał ją ryk klaksonu.

- Kurwa mać! - wrzasnęła, z całej siły wciskając hamulec.

Przez skrzyżowanie z ulicą Mazowiecką, tuż przed maską jej auta, przemknęła ciężarówka.

Wszystko wróciło w jednej chwili. Tragedia, której nijak nie umiała zepchnąć w mrok niepamięci. Z trudem łapała powietrze. Drżącymi rękami zaciągnęła ręczny, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi. Oparła czoło o kierownicę i zamknęła oczy. Wiedziała, że przez jakiś czas nie będzie w stanie się ruszyć. To nie był pierwszy tego rodzaju atak, który odbierał jej władzę nad ciałem.

Siedziała jak sparaliżowana. Miała gdzieś, że blokuje pas ruchu, że jakiś narwaniec zaraz będzie trąbił. Walił to, w końcu jest w radiowozie. Dopiero po paru minutach zdołała sięgnąć do torby. Wyjęła małą kosmetyczkę, w której trzymała leki. Łyknęła naraz dwie tabletki

i popiła wodą, którą wyjęła ze schowka. Odetchnęła głęboko. Jest gotowa? Chyba. Zwolniła hamulec, rozejrzała się powoli w prawo i lewo. Ruszyła, udało się. Przez resztę trasy koncentrowała się tylko na tym, by bezpiecznie dojechać na miejsce.

Karolina

Kiedy ostatnio zdarzył jej się aż tak poważny atak? Pewnie ze dwa lata temu. Z okładem. A myślała, że już ma to z głowy. Po tragedii przełożony wysłał ją na urlop i skierował do psychologa. Nie protestowała, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie nadaje się do niczego. Nie miała siły, by żyć, nawet nie mówiąc o robocie. Nie za bardzo wierzyła w sens cotygodniowych rozmów z podstarzałą psycholożką, która od lat współpracowała z ich komendą, jednak karnie stawiała się na sesje. Zdecydowanie bardziej pomogły jej kolorowe tabletki i czas. *Że niby czas leczy rany?*, żachnęła się w myślach. *Gówno tam, jedynie zalezca, pozwalając żyć. Albo wegetować – jak zwiał, tak zwiał.*

Wiedziała, że nie może się nikomu przyznać do tego, co zdarzyło się przed skrzyżowaniem. Miała nadzieję, że jakiś dowcipniś albo sygnalista nie nagrał filmiku z radiowozem przez ładnych kilka minut blokującym wjazd na skrzyżowanie i nie wrzucił do internetu. Nie potrzebowała nowych problemów.

Od prawie pół godziny siedziała w aucie zaparkowanym przed blokiem Terleckich. Jednym z czteropiętrowych, długich klocków wybudowanych w czasach PRL-u, które ciągnęły się wzdłuż ślepej ulicy Beskidzkiej. Czekala, aż tabletki zaczną działać na dobre, a buzujące w niej emocje całkiem się wyciszą. Kolejny raz westchnęła ciężko. Wyglądało na to, że demony przeszłości nigdy jej nie opuszczą. A jeszcze do niedawna była dumna z siebie, że w ogóle znów siada za kierownicą.

- Weź się w garść – napomniała się i wysiadła z samochodu.

Terleccy mieszkali na trzecim piętrze. Przez chwilę się zastanawiała, czy zapowiedzieć się przez domofon, czy wziąć Karola z zaskoczenia. Ale ten problem szybko się rozwiązał, bo akurat ktoś wychodził z klatki i przytrzymał jej drzwi. Weszła i wspinała się schodami. Nim dotarła na miejsce, zasapała się. Już dawno powinna ograniczyć palenie. Właściwie powinna ograniczyć wiele niezdrowych rzeczy, ale nigdy się jakoś nie złożyło.

Drzwi mieszkania Terleckich otworzyły się zaraz po tym, jak zapukała. Stał w nich młody chłopak, blondyn o delikatnej urodzie, z dłuższą grzywką zaczesaną na prawy bok.

– Młodsza aspirant Karolina Szewczyk z komendy policji – pokazała odznakę. – Karol Terlecki?

Tylko skinął głową, odsunął się i gestem dłoni zaprosił policjantkę do środka. Był przerażony? Spięty? Nie potrafiła rozstrzygnąć. Na pewno nie wyglądał na zaskoczonego jej wizytą.

– Rodzice w domu? – zapytała.

Właściwie nie miało to znaczenia. Jak wcześniej sprawdziła – Karol był pełnoletni, więc mogła z nim rozmawiać bez obecności rodziców. Woląла jednak pogadać sam na sam, bez matki i ojca za ścianą. Nastolatkom często mieli tajemnice przez rodzicami. A młody Terlecki raczej na pewno.

– Pojechali na działkę – odpowiedział. – Chyba wiem, po co pani przyszła.

– Tak? – zaskoczyła ją ta bezpośredniość.

– Domyśliłem się, że to się w końcu wyda. Ale nie mieliśmy innego wyjścia – w oczach Karola pojawiły się łzy.

Nie mieli innego wyjścia?, powtórzyła w myślach niejasne zdanie wypowiedziane przez chłopaka, ale nie chciała z miejsca zasypywać go pytaniami. Powoli i spokojnie, bez dociskania. Była pewna, że przy tym rozpytaniu taka strategia sprawdzi się najlepiej.

Usiadła na krześle stojącym przy stole w dużym pokoju, które jej wskazał. Sam klapnął naprzeciwko niej i zwiesił głowę. Ta rozmowa

musiała naprawdę dużo go kosztować.

Szewczyk chrząknęła i powiedziała spokojnym głosem:

– Po kolei... Klaudia była z tobą w ciąży?

– Tak – odpowiedział krótko.

– Jej rodzice wiedzieli?

– Nie, chyba nie. Moi też nie – uprzedził kolejne pytanie.

– Chyba nie? Nie zapytałeś Klaudii?

Zdawało się, że jeszcze bardziej się skulił.

– Staraliśmy się jak najmniej rozmawiać... o tym. To było trudne.

Karolina tylko pokiwała głową i spytała:

– Kiedy zamierzaliście im powiedzieć?

– Nigdy, nie było takiej potrzeby. Sami sobie poradziliśmy.

Domyślała się, co miał na myśli, ale wołała dopytać:

– Co to znaczy?

– Pojechaliśmy do czeskiej Stonavy, tam legalnie można... – zawa-
hał się, ale uważny wzrok Szewczyk sprawił, że musiał dokończyć. –
Usunęliśmy ciążę.

„Usunęliśmy” – znamienna liczba mnoga. Chłopak musiał przeży-
wać całą sytuację nie mniej niż Klaudia. Powoli wszystko składało się
w całość. Jastrzębie znajdowało się blisko Czech, ledwie godzina jazdy
samochodem. Dyskretny zabieg w tajemnicy przed wszystkimi. Dla-
tego podczas sekcji zwłok nie wyszło, że dziewczyna była w ciąży. Ale
dlaczego w protokole nie było najmniejszej wzmianki o dziecku? Zwy-
kłe przeoczenie zimnego chirurga, który musiał na cito przeprowa-
dzić pięć sekcji? Czy może nie było już żadnego śladu w jej ciele? Nie
miała pojęcia.

Terlecki chyba źle odczytał jej milczenie, bo spytał łamiącym się
głosem:

– Proszę pani, czy będę miał problemy?

Szerzej otworzyła oczy. O co mu chodziło?

– Mnie jest wszystko jedno – zaznaczył z rezygnacją. – Mogę odpowiedzieć za to, że przyczyniłem się do aborcji. Ale nie chciałbym, żeby rodzice... – urwał nagle.

– Raczej nie – wyrzuciła z siebie Karolina. – Chyba.

Gdyby to od niej zależało, na pewno nie miałyby problemów. Ale prawo w kraju było, jakie było, temat aborcji od dawna był gorący. Informacja o ciąży młodej Zawalskiej i tak już wypłynęła. Wydawało jej się, że Rogalski nie przypierniczy się o aborcję. Kto go tam jednak wie, nie znała go aż tak dobrze. A jeśli ktoś świętojeblivy z policji albo z prokuratury się tego czepi? Niestety, nie było to wykluczone. *Pojebany kraj, w którym kobiety nie mogą decydować o swoim losie*, skomentowała w myślach.

Nie była pewna, czy uspokoiła Karola. Zmieniła temat.

– Kiedy Klaudia usunęła ciążę?

Zauważyła, że oczy chłopaka znowu zwilgotniały.

– Właściwie niedługo po tym, jak mieliśmy pewność, że naprawdę w niej jest. Dwa, może trzy tygodnie po teście. Wzięliśmy samochód moich rodziców, ja prowadziłem, bo niedawno zdałem prawko. Ona bardzo nie chciała tego dziecka. Ja w sumie... ja w sumie nie wiedziałem, czy chcę – ostatnie zdanie wypowiedział z poczuciem winy. – To nie tak, że była jakąś złą osobą, w ogóle nie o to chodzi. Ja w sumie też nie wyobrażałem sobie siebie w roli ojca w tym wieku. Obiecałem, że jej pomogę, jeśli będzie chciała je urodzić, ale od razu powiedziała, że nie chce. I tyle. W ogóle nie zamierzała o tym dyskutować.

– Jak myślisz, dlaczego? – już wypowiadając pytanie, zdała sobie sprawę, że jest zbędne.

Dlaczego dziewiętnastolatka, która nie skończyła jeszcze szkoły średniej, mogła nie chcieć zostać młodocianą matką? *Zagadka stulecia*, pomyślała.

– Jesteśmy młodzi... To znaczy byliśmy, ona była... – głos mu się łamał. I tak, zważywszy na okoliczności, niezłe się trzymał. – Miała wielkie plany, chciała pójść na studia, wyrwać się z domu. Zresztą jej

rodzice, zwłaszcza ojciec, chyba by oszaleli – dorzucił po chwili przerwy, pociągając nosem.

Karolinie przemknęło przez głowę, że córka w pozamałżeńskiej ciąży z pewnością nie pasowałaby bogobojnemu Zawalskiemu do obrazka idealnej katolickiej rodziny.

– A skąd mieliście na to pieniądze? – dopytała.

– Klaudia miała. Nie pytałem skąd – po tych słowach w jej głowie pojawiło się jeszcze więcej pytań.

Zdawała sobie sprawę, że odpowiedzi na nie będzie musiała poszukać gdzie indziej.

Artur

Zmierzchało, a Rogalski wciąż tkwił za biurkiem w swoim gabinecie. Nadał właśnie sygnaturę kolejnej sprawie, którą miał się zajmować. Z impetem przybił pieczęć. Przeczesał dłonią włosy i rozparł się w fotelu. Był znużony. Przymknął oczy i nagle pod powiekami wyświetliła mu się twarz Waldemara Zawalskiego – nieruchoma niczym maska. Taką zapamiętał z ostatniego rozpytania.

Sprawa pożaru w Bziu wciąż była dla niego bardzo ważna, ale na razie zawałiła go sterta innych, którym musiał nadać bieg. Kiedyś wściekał się, że ma za dużo pracy, co powoduje, że nie może się porządnie skupić na poszczególnych sprawach. Jednak choćby nie wiadomo jak intensywnie i długo pracował, ciągle ich przybywało. Nie miał na to wpływu, więc nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z takim stanem rzeczy. Robił, co mógł, chociaż czasami dręczyła go myśl, że to za mało.

Musiał jeszcze przygotować raport dla szefa, ale trudno mu było zmusić się do tej roboty. Bzdurna papierologia. Prawdopodobnie przełożony ledwie rzuci okiem na dokument, postawi parafkę. I tyle będzie pożytku z jego pracy. Odwlekając nieuniknione, uruchomił przeglądarkę internetową. Tłumaczył sobie, że przecież zajmuje się

Zawalskim w ramach swoich obowiązków. Skoro Zawalski był tak znany i ceniony wśród lokalnej społeczności, a jego poczynania opisywały czasem media, to może w internecie trafi na coś, co rzuciłoby nowe światło na jego wizerunek. *Masz problem, spytaj wujka Google'a*, uśmiechnął się pod nosem, wklepując w wyszukiwarce: „Waldemar Zawalski lekarz”.

Początkowo nie zauważył niczego, co byłoby dla niego nowością. Bywało, że Zawalski wypowiadał się w niektórych artykułach jako ekspert medyczny. Artur trafił też na link przenoszący do krótkiego artykułu na temat akcji charytatywnej, kościelnej, w którą aktywnie włączył się chirurg. Żadna rewelacja. Bez większego zapału sprawdzał kolejne materiały, chciał już nawet dać sobie z tym spokój i zająć się tym, czym akurat tego wieczoru powinien, ale zainteresował go kolejny artykuł. Znajdował się na stronie portalu Jastrzębie Online i pochodził – prokurator sprawdził datę wprowadzenia tekstu – sprzed pięciu lat. Po oczach bił tytuł: „Śmiertelny wypadek na Rybnickiej. Na oczach kobiety zginęli jej mąż i córka”. Poczul, jak serce zaczyna mu bić mocniej. Doskonale pamiętał tę historię. Nie tylko on. Szybko przebiegał wzrokiem kolejne zdania: „Do wypadku doszło przy ulicy Rybnickiej w Jastrzębiu-Zdroju około godz. 12.30. Ze wstępnych ustaleń policjantów wynika, że w samochód osobowy, prowadzony przez kobietę, która wiozła męża i córkę, z impetem wjechał kierowca ciężarówki. Nie wiadomo, czy mężczyzna zasnął, czy nie zauważył auta, będą to ustalać śledczy. Na miejscu zdarzenia zginął jeden z pasażerów renault, a piętnastoletnia dziewczyna trafiła do szpitala w stanie krytycznym. Jej operację przeprowadzał lekarz Waldemar Zawalski, chirurg w jastrzębskiej placówce”.

Rogalski otworzył szerzej oczy. Przecież znał historię tego wypadku, ale nie pamiętał, że to Zawalski operował dziewczynę.

Czytał dalej:

„– Wraz z zespołem zrobiliśmy, co było w naszej mocy, ale obrażenia pacjentki okazały się zbyt rozległe. Musieliśmy stwierdzić zgon

dziewczynki – poinformował nas Waldemar Zawalski. Wypadek przeżyli kierowca ciężarówki i kobieta prowadząca osobówkę. Kobiętę wprowadzono w stan śpiączki”.

Artur nie dowierzał. *Czy aż taki zbieg okoliczności jest możliwy?*, zastanawiał się. Cóż, ich miasto nie było znowu takie wielkie. Czy ta informacja zmienia coś w sprawie Zawalskich, którą mu przydzielono? A przecież nie prowadzi jej sam...

* * *

2 lipca 2014 roku

Mocne trzaśnięcie w samozamykające się drzwi bloku operacyjnego. Ponaglający okrzyk pielęgniarki. Waldemar Zawalski poczuł wyrzut adrenaliny. W takich chwilach najlepsza była rutyna. Spokojnie dokończył dezynfekcję rąk, a potem patrzył na przygotowania do operacji. Na pozór wokół stołu trwała beładna krzątanina, ale on wiedział, że każdy robi to, co do niego należy.

Na stole leżała młoda dziewczyna, ruda, z policzkami obsypanymi piegami. Nie wiedział, dlaczego akurat na to zwrócił uwagę. I że ma pociętą twarz, najpewniej odłamkami szkła. *To musiał być straszny wypadek*, przemknęło mu przez głowę.

Był gotowy. I pełen nadziei. Jak zawsze. Dopóki mógł działać, nic jeszcze nie było przesądzone.

- Raport – rzucił do pielęgniarki operacyjnej.

Więcej nie musiał mówić. Doskonale się rozumieli.

- Złamany nos i prawa ręka, obrażenia wewnętrzne, wstrząśnienie mózgu. I chyba uraz czaszki. Za chwilę będzie rentgen. Silny krwotok z podbrzusza – wymieniała szybko obrażenia.

- Zaczynamy – uznał, że nie mogą zwlekać.

Zabieg trwał kilka godzin. Niemal z każdą było gorzej, chociaż Zawalski i jego zespół robili, co było w ich mocy. Zbyt wiele obrażeń, zbyt poważne krwotoki.

Jednostajny sygnał urządzenia kontrolującego pracę serca nim wstrząsała. Wprawdzie słyszał go już nie raz, nie dwa, ale nie mógł do niego przywyknąć. Do dźwięku zapowiadającego klęskę. Zarządził reanimację. Po kilkunastu minutach się poddali.

- Była niemal w wieku mojej córki... - mamrotał pod nosem, odchodząc od stołu operacyjnego.

W pracy raczej nie zdarzało mu się przeklinać, choć teraz bardzo chciał to zrobić.

Młoda instrumentariuszka wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Kto powiadomi rodzinę? - zapytała pielęgniarka operacyjna.

Zawalski zerknął na asystującego mu lekarza i zaraz zdecydował:

- Sam to zrobię.

Mył się długo, starannie. Powoli przebrał się w czysty strój. Odsuwał, ile tylko mógł, moment przekazania złej wiadomości. Tej najgorszej, jaką można przekazać: o śmierci dziecka. Nie znosił być posłańcem złych wiadomości, ale traktował to jako część swojej pracy. Trudno było do takich sytuacji przywyknąć, znosić je bez emocji. Jednak ktoś musiał to robić.

Wiedział, że ojciec dziewczyny zginął na miejscu, natomiast jej matka trafiła razem z nią do ich szpitala. Okazało się, że kobieta jest po operacji. Stan ciężki, ale stabilny. Wprowadzono ją w śpiączkę farmakologiczną. Zawalski poszedł do sali pooperacyjnej, w której ją umieszczono. Jej mysie, posklejane włosy opadały na poduszkę. Podpięta do aparatów, była pogrążona w chemicznym śnie. Twarz miała spokojną. *Złudzenie*, pomyślał.

- Przykro mi - powiedział po cichu, odwieszając na oparcie łóżka kartę pacjenta, którą wcześniej przestudiował.

Wiedział, że go nie słyszy. Wypowiedział te dwa słowa jedynie dla siebie. Żeby przez moment poczuć się lepiej.

Nim wyszedł, jeszcze raz odczytał dane pacjentki: Karolina Szewczyk.

Rozdział VII

Wątpliwości i podejrzania

13 września 2019 roku

Artur

Rogalski nie zmrużył oka przez niemal całą noc, więc snuł się powoli po mieszkaniu, wciąż na wpół przytomny. Codzienne poranne czynności zabierały mu dwa razy więcej czasu niż zwykle. Źle chwycił kubek z kawą, oblał się i syknął:

– Weź się, kurde, w garść.

Ciągle się zastanawiał, jak poprowadzić rozmowę z Karoliną. Bo że będzie musiał z nią szczerze pogadać, nie ulegało wątpliwości. I wciąż wracał myślą do sprawy sprzed pięciu lat, której akta przeglądał wczoraj do późna.

Nieco ponad pięć lat temu w Jastrzębiu-Zdroju zdarzył się wypadek samochodowy. Na ulicy Rybnickiej, niedaleko jego miejsca zamieszkania, ciężarówka uderzyła w osobówkę, którą prowadziła Karolina. To nie była jej wina, nie mogła zareagować w porę, wszystko działo się zbyt szybko. W ogóle nie miała szans, żeby uniknąć zderzenia. Cudem przeżyła, ale była jedyną osobą, która miała tyle szczęścia. Na miejscu zginął jej mąż Mariusz. W szpitalu zmarła nastoletnia córka Basia. Artur, który nadzorował wtedy dochodzenie w sprawie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym, nie pamiętał, aby

wypłynęło w nim nazwisko lekarza. A nawet jeśli, zupełnie nie skojarzył go po pożarze w Bziu.

Przypomniał sobie wydarzenia sprzed lat. Trudno, żeby było inaczej, bo ustalenia, do których doszedł wraz z policjantami, były zaskakujące. I szokujące zarazem. Kierownicą ciężarówki, która staranowała samochód Szewczyków, był Roman Góral, od lat zatrudniony w firmie transportowej obsługującej budowy. Góral był notowany, bo stosował przemoc domową, a jego rodzina miała założoną niebieską kartę. Mężczyzna bił żonę i znęcał się nad synem. Okazało się, że jego przypadkiem zajmowała się Karolina. Z dużym zaangażowaniem, bo głównie dzięki jej nieustępliwości żona Górala uzyskała sądowy zakaz zbliżenia się męża, a zgromadzone dowody przemocowych zachowań były na tyle mocne, że sprawa miała trafić na wokandę.

Góral, jak się okazało podczas przesłuchań, był obmierzłym typem, przekonanym, że jest zupełnie bez winy, co więcej, że to on sam stał się ofiarą, jak to ujął, „spisku wściekłych bab”. Potwierdził, że zdarzało mu się szturchnąć żonę, jednak jedynie wtedy, kiedy na to zasłużyła.

Rogalski nienawidził damskich bokserów. Przypomniał sobie, że kontakty z kierownicą napawały go obrzydzeniem. Natomiast Góral nienawidził Szewczyk, policjantki, która według niego namieszała w głowie jego żonie i doprowadziła do rozpadu małżeństwa. Wymyślił najgłębszy rodzaj odreagowania, czyli zemstę. Wprawdzie podczas przesłuchań konsekwentnie trzymał się wersji, że chciał jedynie nastraszyć policjantkę, jednak przebieg tragedii na ulicy Rybnickiej był jednoznaczny – Góral zamierzał zabić Karolinę. Tyle tylko, że jego plan się nie powiódł. Artur pomyślał smutno, że przez przypadek Góral zemścił się na Szewczyk dotkliwiej, niż chciał. Skazał ją na życie w samotności, beznadziei i rozpacz.

Szewczyk nigdy nie doczekała się sprawiedliwości. Zresztą Rogalski podejrzewał, że w stanie, w jakim znajdowała się miesiące po wypadku, było jej to obojętne. Do procesu Górala nie doszło, bo ten

popęłił samobójstwo, wieszając się w celi aresztu śledczego. Czy tak było lepiej, czy gorzej dla Karoliny? Artur nie wiedział, bo nigdy o to nie pytał.

Wypadek zmienił i Karolinę, i jej życie. Trudno, żeby było inaczej. Pogodna, na co dzień uśmiechnięta policjantka stała się wrakiem człowieka. Na szczęście praca trzymała ją przy życiu, sprawiając, że udawało jej się znaleźć dość sił, aby zwlec się z łóżka. Pewnie dlatego dosyć szybko dopuszczono ją do służby. Zaraz po tym, jak specjaliści w zakresie psychologii i psychiatrii uznali, że jest to możliwe. I że Szewczyk nie stanowi zagrożenia ani dla siebie, ani dla innych.

W komendzie i w prokuraturze wiedziano, co spotkało Karolinę, więc przymykano oko na jej wybuchy złości czy zgorzkniałość. Nie miała wpadek w robocie, nie zawałała spraw, a do tego zwyczajnie była dobrą, sumienną śledczą. Rogalski podejrzewał, że za dużo popija. Z drugiej strony nie ona jedna w tym środowisku. Wprawdzie nie było to żadne wytłumaczenie, ale przecież nie stawiała się na służbę pijana. Co więcej, nigdy nie poczuł od niej alkoholu. Jeżeli jej to pomagało jako tako trzymać się w pionie, a do tego nie dezorganizowało życia – jej decyzja, jej sprawa.

Artur wreszcie zdołał – z trudem, bo z trudem – wejść w nowy dzień. Założył swój – jak się podśmiewał – prokuratorski mundurek i przejrzał się w lustrze. Był gotowy do pracy, ale czy tak samo – na rozmowę z Szewczyk?

Kiedy nocą leżał na łóżku, gapiąc się w sufit, naszły go wątpliwości. Czy Karolina skojarzyła Zawalskiego, czy pamiętała, że nie uratował życia jej córce? Trudno powiedzieć. A właściwie nic w zachowaniu policjantki na to nie wskazywało. Nie mógł jednak pozbyć się wątpliwości. Szewczyk od samego początku sprawy przekonywała go, że pożar wybuchł na skutek nieszczęśliwego wypadku. Dlaczego? A jeśli to ona miała z tym coś wspólnego? Jeśli coś jej się poprzestawiało w głowie i obwiniła lekarza o śmierć córki? Pragnienie zemsty bywa mocnym motywem...

Koniec końców Rogalski uznał, że bezsenność pomieszana ze złością podpowiadają mu bladym świtem dziwne i zarazem mroczne rozwiązania. Nie wierzył, a właściwie nie chciał wierzyć, że policjantka byłaby zdolna do takiej zbrodni. Sama straciła dziecko, więc – do cholery – raczej nie zaryzykowałaby działań, które mogłyby narazić na śmierć inne dzieci. Chciał oczyścić atmosferę, a przede wszystkim rozwiać własne wątpliwości, więc musiał porozmawiać z Karoliną o chirurgu.

Zbierał się do wyjścia, kiedy usłyszał dźwięk powiadomienia nadchodzącego SMS-a. Odblokował smartfon. Miał trzy nieodebrane połączenia od Szewczyk, które wcześniej zignorował, nie tykając telefonu. Ściągnął ją myślami? Bzdury. Odczytał wiadomości – także od policjantki: *Żyjesz?* Musiał wreszcie zareagować, więc odblokował ekran i odpisał: *Spotkajmy się za godzinę w prokuraturze.* Po kilku minutach przyszła odpowiedź z krótkim OK.

Karolina

Patrzyła przez szybę, ale nie widziała prawie nic, jedynie niewyraźne cienie. Zaparowana? Przetarła ją rękawem bluzy. Bez większego skutku, bo wciąż widziała jedynie niewyraźne obrysy – sama do końca nie wiedziała czego – przedmiotów lub ludzi, które to się przybliżały, to oddalały. Czula coraz większy niepokój, zmagając się z niejasnym przeczuciem, że za chwilę stanie się coś złego. A może krople deszczu spływające po drugiej stronie szyby rozmywały widok? Tyle że nie padało przecież od tygodni. Doskonale o tym wiedziała, chociaż nie miała pojęcia skąd. Przybliżyła twarz do szyby, mrużąc oczy niczym staruszka z zaćmą. Coś się do niej zbliżało po drugiej stronie okna. Szybko. Nagle szyba pękła, rozsypując wokoło setki szklanych drobin. Poczula, jak uderzają o jej skórę. Cofnęła się, a potem wrzasnęła. Przez rozbity szybę wciskała się do środka twarz, ogromniejąca z każdą chwilą. Okrągława, z nalanyymi policzkami pokrytymi kilku-

dniowym zarostem. Wykrzywiona w parodii uśmiechu, który nagle zgasł. To był on... Wbił w nią spojrzenie półprzymkniętych przekrwionych oczu. I zaczął się śmiać w głos – długo i przerażająco.

Karolina gwałtownie usiadła na łóżku, z trudem łapiąc powietrze. Znowu! Często męczyły ją koszmary, ale ostatnio Góral pojawiał się w nich jakby rzadziej.

Uznała, że powrócił do jej snów przez incydent na skrzyżowaniu. Za każdym razem, gdy widziała na drodze ciężarówkę albo TIR-a, czuła niepokój, choć do tej pory udawało jej się panować nad atakami paniki. Gdyby nie to, nie mogłaby siadać za kółkiem. Przez chwilę się zastanawiała, czy na jakiś czas nie zrezygnować z prowadzenia samochodu. Strzeżonego... i tak dalej. W sumie Adam mógłby ją wozić, żaden problem. Uznała jednak, że jest to zbytek ostrożności. Wciąż miała swoje problemy, ale jakoś sobie z nimi radziła. Z naciskiem na „jakoś”. Poradzi sobie więc i tym razem.

Ściągnęła przepoconą piżamę i przez moment przyglądała się wychudzonemu ciału. Nie miała problemów z łaknieniem, ale czasami po prostu zapominała o jedzeniu. Wolalała tak to sobie tłumaczyć. Inna sprawa, że zwykle po alkoholu nie chciało jej się jeść. A popijała często. Pewnie zbyt często. Westchnęła i powlokła się do łazienki.

Chodziła po mieszkaniu, szukając w miarę czystych ubrań. Pomyślała, że wypadaloby wreszcie sprzątnąć ten bajzel, zrobić porządne pranie. Uśmiechnęła się w duchu, że w ogóle przyszedł jej do głowy taki pomysł. Chyba przez niezapowiedzianą wizytę Rogalskiego sprzed kilkunastu dni. Uznała, że to połowa sukcesu, skoro udało jej się zwrócić uwagę na syf, w jakim żyła.

Zrobiła sobie kanapkę z nieco podeschniętym żółtym serem. Przeżuwała ją powoli, wracając w myślach do sprawy Zawalskich. Poprzedniego dnia zdobyła nowe informacje, ale czy popychało to dochodzenie na nowe tory? Liczba ofiar pożaru się nie zwiększyła, skoro Klaudia usunęła ciężę, co potwierdziła sekcja zwłok. Dla pewności sprawdziła to w raporcie. Wciąż jednak nie była pewna, czy rodzice

dziewczyny o tym wszystkim wiedzieli. Przecież Karol użył słowa „chyba”, gdy odpowiadał na jej pytanie, więc miała wątpliwości. Czy grzeczna, ułożona dziewczyna nie powiedziała by o ciąży nawet matce? I czy naprawdę była aż tak grzeczna, jak jawiła się znajomym? A co z matką? Czy utrzymałaby ciążę córki w tajemnicy przed mężem? Ponoć małżonkowie byli ze sobą bardzo blisko, jak twierdzili znajomi rodziny.

Odpowiedzi na te pytania mogła szukać albo u Zawalskiego, albo u Martyny. O ile powiedzą prawdę. A w to zaczynała wątpić. Zamierzała jeszcze z nimi porozmawiać, najlepiej jak najszybciej, dlatego zirytowała się, że Rogalski wieczorem nie odebrał od niej telefonu. Jasne, mógł być zajęty, mogło mu się zwyczajnie nie chcieć, ale – do jasnej cholery – wypadałoby oddzwonić. Chyba że miał głęboko w dupie i ją, i całe ślimaczące się śledztwo. Zadzwoniła ponownie rano, też bez skutku. W końcu wysłała mu SMS. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, postanowiła ogarnąć kuchnię. Chociaż trochę. Przeleciało jej przez głowę, że obowiązuje segregacja śmieci i że powinna wziąć kilka worków na różne odpady. To było ponad jej siły. Chwyciła pierwszy lepszy wór i zaczęła pakować do niego wszystko, jak leci: puszki po piwie, opakowania po żarciu na wynos, butelki po winie, jakieś szpargały. Jako tako ogarnęła kuchnię i ciągnąc za sobą worek, weszła do przedpokoju. Na chwilę zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Basi. Położyła dłoń na klamce, ale zaraz ją cofnęła.

Od czasu, kiedy zginęli Basia i Mariusz, Karolina tylko raz przekroczyła próg pokoju córki. Zaraz po tym, jak wypisano ją ze szpitala i wróciła do domu. Weszła do środka, zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości. Ledwie dotarła do łóżka Baśki zasłanego poduszkami. Skuliła się i przycisnęła do piersi pluszową fokę, pamiątkę z dzieciństwa, z którą córka nie mogła się rozstać. Leżała w łóżku przez trzy dni, łkając albo zapadając w płytki, nerwowy sen. Z trudem zmuszała się, by pójść do łazienki. Nic nie jadła, niewiele piła. Bardzo pomógł jej wtedy Adam. Przez kilka dni wpadał przynajmniej dwa

razy dziennie, przywoził żarcie, którego zwykle nie tykała, próbował namówić ją do aktywności. Jakiegokolwiek. Cierpliwie tłumaczył, że nie może się poddać. Odwracała się do niego plecami albo fukała, by dał jej spokój. Nie chciała żyć, a on to widział i o nią walczył. Kiedy dotarła na skraj rozpaczy, przekonana, że nie ma sił, by przetrwać kolejny dzień, niespodziewanie trafił do niej jeden z argumentów politycznego partnera, który rozmawiał z nią już chyba bez większej nadziei, że cokolwiek ją przekona.

– Kurwa, Karolina, a kto będzie dbał o grób Mariusza i Baśki, jak ciebie zabraknie? – rzucił z wyczuwalnym w głosie rozdrażnieniem.

– Zostaw mnie – tylko tyle zdołała wyszeptać.

Zrobił, czego chciała. A ona leżała w łóżku córki i rozmyślała nad jego słowami. Kto zadba o grób? Pewnie starzy, jej albo Mariusza. Jednak czy zadbają, jak trzeba? Do pewnego stopnia absurdalny argument jednak do niej trafił. Nie mogła tego zrobić ukochanym zmarłym. Musiała żyć i nieść dalej swój krzyż. Żyć chociaż trochę.

Powoli uczyła się na nowo codzienności. Jak to nazywała: mościła się w ruinach i zgliszczach. Kowalczyk wpadał coraz rzadziej. Nie miała mu tego za złe, bo zdawała sobie sprawę, że przez jej bezterminowy urlop ma od cholery roboty. Poza tym nigdy nie byli przesadnie zżyci i czuła, że dba o nią jedynie z moralnego obowiązku albo zwyczajnej dobroci serca. Była mu wdzięczna, że pomógł jej przetrwać najtrudniejsze chwile. Może to dzięki niemu nie odebrała sobie wtedy życia. Myśli samobójcze wracały do niej wielokrotnie niczym echo. Leki antydepresyjne pomagały zdecydowanie bardziej niż cykliczne wizyty u psychologa, które jedynie ją denerwowały. Z czasem nauczyła się funkcjonować bez regularnie łykanych tabletek. Czasami jednak, w takich momentach jak na skrzyżowaniu, musiała je przyjąć.

Tym razem też nie zdecydowała się wejść do pokoju Basieńki. Jeszcze nie była na to gotowa. Chyba. Zostawiła worek pełen śmieci przed drzwiami wejściowymi i wróciła do kuchni, która wyglądała nieco

lepiej. Sprawdziła godzinę, miała jeszcze czas do wyjścia. Zapaliła. Wróciła myślami do przeszłości.

Nigdy nie pogodziła się z tym, że Góral, sprawca wypadku, nie został skazany. Odebrał sobie życie jak tchórz, na koniec jeszcze zadając jej bolesny cios – tak właśnie myślała o finale tej sprawy. Może nie zrobił tego celowo, ale ją to mocno dotknęło. Czuła, że to niesprawiedliwe. A może chodziło tylko o pewnego rodzaju zawód. Wielokrotnie wyobrażała sobie, że jest na sali sądowej w momencie, w którym sędzia odczytuje Góralowi wyrok skazujący. A ona wpatruje się w jego twarz. Nie dane jej było tego doświadczyć.

Góral, właśnie... Czasami, kiedy siadał jej nastrój, jego sprawa wpędzała ją w poczucie winy. Odmieniała wtedy w myślach zdania zaczynające się od „Gdyby”. Gdyby nie była tak sumienną policjantką... Gdyby nie potraktowała sprawy żony Górala tak osobiście... Gdyby zwyczajnie odpuściła... Może wtedy Baśka i Mariusz wciąż by żyli. W rozmowach z terapeutką często wypływał temat winy. Psycholożka tłumaczyła, że Karolina nie jest niczemu winna. Ta rozumiała jej tok myślenia, ale co innego rozum, a co innego emocje.

Sprawa Górala była delikatna i żmudna, bo jego żona, Dorota, początkowo nie chciała wnieść oskarżenia ani nawet zeznawać przeciwko niemu. Nie ona jedna. Wiele kobiet cierpiało w milczeniu, bo bały się poprosić o pomoc, były nazbyt uzależnione – emocjonalnie lub ekonomicznie – od facetów albo miały wdrukowane w umysł bzdurne przeświadczenie, że nie należy wynosić domowych brudów poza własne cztery ściany. Karolina często widywała Dorotę, mieszkały niedaleko siebie. Raz miała podbite oko, innym razem otarcia na szyi, siniaki na rękach. Kiedy jednak policjantka zobaczyła ślad po papierosie na nodze kilkuletniego synka kobiety, postanowiła działać bez względu na konsekwencje.

W końcu doszło do konfrontacji. Karolina poszła do domu Góralów i już z klatki schodowej usłyszała odgłosy awantury. Włączyła nagrywanie w telefonie i sprowokowała mężczyznę, który w szale wściekło-

ści przyznał się do bicia żony. Plując śliną, wyrzaskiwał plugastwa. „Jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije”. Szewczyk miała ochotę mu przyłożyć, rozkwasić usta wykrzywione w cynicznym uśmiešku. Powstrzymała się jednak i wezwała kolegów. W kolejnych tygodniach dostał zakaz zbliżania się do rodziny. I choć jego żona bardzo się bała, koniec końców była wdzięczna policjantce.

Dorota zjawiała się nawet na pogrzebie Basi i Mariusza razem z synkiem. Na ich widok Karolina wpadła w histerię, nie mogła się uspokoić. Gdzieś na skraju jej świadomości kołatała się myśl, że przecież ta kobieta nie jest niczemu winna. Góral chciała tylko okazać wsparcie. Jak wielu innych ludzi, bliskich Karolinie albo nawet zupełnie obcych. Emocje wzięły jednak górę.

Twarz Górala długo nawiedzała ją w koszmarach. To, że mężczyzna nie został skazany, a ona nie zamknęła tego rozdziału życia, nie pozwalało wyrzucić go z głowy. A przede wszystkim ze snów. Pomyślała, że w trywialnym powiedzeniu o czasie, który leczy rany, jest ziarno prawdy. Chociaż u niej ten proces był długi, żmudny i wciąż jeszcze trwał, co potwierdzał niedawny incydent na skrzyżowaniu.

Kiedy gasiła niedopałek w przepelnionej popielniczce, usłyszała dźwięk telefonu. *Nareszcie*, pomyślała, zerkając na ekran komórki. Rogalski napisał, że chce się spotkać.

Karolina i Artur

Ledwie przekroczyła próg gabinetu Rogalskiego, poczuła, że coś jest nie tak. Bardzo. Prokurator jedynie burknął pod nosem słowa powitania i machnął dłonią, co zapewne było zaproszeniem, by usiadła. *Kiepski humorek czy znowu odgrywa jakieś swoje teatrzyki dla ubogich?*, zachodziła w głowę. Wbijał w nią wzrok, milcząc. Szybko straciła cierpliwość, więc wypaliła:

– Wspaniale, że postanowiłeś wreszcie się odezwać i udzieliłeś mi audiencji.

Prokurator tylko się skrzywił.

– Mamy do pogadania – rzucił wreszcie.

– No raczej. Jak już wiesz, Klaudia była w ciąży, ale liczba ofiar pożaru się nie zmienia.

– Jak to? – nie krył zaskoczenia.

– Pogadałam z jej chłopakiem, Karolem Terleckim. Twierdzi, że usunęła ciążę w Czechach. To by wyjaśniało, dlaczego sekcja zwłok niczego nie wykazała.

Artur tylko przeczesał włosy palcami. Zero komentarza. Ani „dobra robota”, ani „pocałuj mnie w dupę”. Karolina się zirytowała. Co tyła dzisiaj ugryzło?

– Zawalski o tym wiedział? – zapytał.

– Chłopak mówił, że ani jego, ani jej rodzice o niczym nie wiedzieli. Tyle że co do rodziców Klaudii nie miał pewności. Myślisz, że Zawalski mógł zabić córkę, żeby nie zniszczyła mu reputacji wzorowego katolika?

Do tej pory sceptyczna, teraz sama zaczęła mieć wątpliwości, czy pożar w Bziu był następstwem nieszczęśliwego wypadku.

– Brzmi trochę absurdalnie. Czy z tego powodu ryzykowałby śmierć reszty rodziny, która teoretycznie nic mu nie zrobiła? Tak w ogóle moim zdaniem to słaby motyw. Naciągany – Rogalski wreszcie zdawał się skupiać na sprawie.

– Cóż, zdaje się, że do młodszej córki też nie pała przesadną miłością. Może w facecie coś pękło. Jak dla mnie jest za spokojny, więc może ma rys psychopatyczny i... – zauważyła, że prokurator się skrzywił, więc z miejsca zastrzegła: – Tak tylko głośno myślę. A ty dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Nie do końca nowego, ale tak – wstał z krzesła i usiadł na biurku tuż przed Karoliną. Wziął głęboki oddech, bo wiedział, że czeka go trudna rozmowa. I nie był pewien, do czego ona doprowadzi. – Wiedziałeś, że pięć lat temu to Zawalski operował twoją córkę po wypadku?

Wbił wzrok w Karolinę. Ta zbladła, dłonie jej zadrżały ledwie zauważalnie. Tak zwykle reagowała na wspomnienie tragedii? Czy może miała coś do ukrycia?

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Nie miałam o tym pojęcia.

- Nie zainteresowałaś się, kim był lekarz operujący twoją córkę? Jakoś nie mieści mi się to w głowie.

- Ja pierdołę, Artur, to było pięć lat temu. To raz. Dwa, dobrze wiesz, przez co przesłam i jak długo dochodziłam do siebie po tym wszystkim. Z kilku tygodni po odzyskaniu przytomności pamiętam jedynie jakieś strzępy, pojedyncze obrazy. Trzy, byłam wtedy na prochach. Ostatnie, o czym myślałam, to nazwisko jakiegoś lekarza - uniosła się.

- Wiesz, jak to wygląda - starał się zachować spokój.

- Niby jak? - burknęła. - Ty też wcześniej tego nie skojarzyłeś, a znałeś akta sprawy.

- Starej sprawy.

- Właśnie.

- Góral się zabił, więc sprawa poszła do umorzenia. Zbyt w nią nie wnikałem, nic więc dziwnego, że szczegóły wypadły mi z pamięci i...

- Nie skazano go przez ciebie! - wypaliła.

- Czy ty siebie słyszysz!?! - podniósł głos. - Przecież facet wyhuśtał się w areszcie.

Karolina uznała, że jednak przesadziła. Cóż, prokurator wytrącił ją z równowagi.

- Dobra już, dobra - machnęła ręką, żeby zamknąć temat.

Artur powoli wciągnął powietrze.

- Jak o tym wszystkim wczoraj myślałam - starał się ważyć słowa - przyszło mi do głowy, że mogłaś coś mieć do Zawalskiego. Albo całej jego rodziny. W końcu nie uratował twojej...

- Kurwa, przeginasz! - puściły jej nerwy. - Niby że chciałam zabić tego lekarzynę? I przy okazji zabiłam całą jego rodzinę? Po pięciu latach? Do kurwy nędzy, w czym i jak miałyby mi pomóc taka zemsta?

Artur zaczynał mieć wątpliwości, czy ta rozmowa ma jakikolwiek sens. Może był przesadnie ostrożny i czujny. W grę wchodziło też skrzywienie zawodowe. Wszędzie zaczynał się dopatrywać złych intencji... Mogło tak być.

- Wiesz, ludzie z nie takich powodów decydują się na zemstę. Weź choćby tego całego Górala.

- I myślisz, że odjechało mi tak jak jemu? Naprawdę, dziękuję za zaufanie.

Tylko pokręcił głową.

- Staram się oczyścić atmosferę - już wypowiadając to zdanie, zdał sobie sprawę, że gada głupoty. - W końcu to ty od początku sprawy Zawalskich przekonywałaś wszystkich wokół, że to nieszczęśliwy wypadek. Jakby ci bardzo zależało, żeby ją jak najszybciej zamknąć.

- Naprawdę w to wierzysz? - Szewczyk traciła energię. - Czy może potrzebujesz jakieś nowej pojebanej hipotezy śledczej, żeby w kwitach wyglądało, że się starasz?

- To, w co wierzę, nie jest istotne.

Policjantka nagle parsknęła śmiechem.

- Chyba sobie jaja robisz. Może od razu mnie aresztuj? - w teatralnym geście wystawiła przed siebie dłoń.

- Karolina, daj spokój. Chcę się tylko upewnić, że przy tej sprawie zachowasz obiektywizm - zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: - I spokój.

- Jestem jebaną oazą spokoju, jakbyś nie wiedział - wycedziła.

Zerwała się z krzesła i wyszła.

- Na razie - powiedział już tylko do drzwi, które chwilę wcześniej głośno zatrzasnęła.

Miał niejasną świadomość, że chociaż rozwiął swoje obawy, przy okazji zbłądził się przed Szewczyk.

Karolina

Wciąż buzowały w niej emocje. Nie pomógł długi spacer z prokuratury do domu. Zachowała dość rozsądku, żeby nie siadać za kierownicą. Zdawała sobie sprawę, że może się to źle skończyć. Na nic zdało się kontrolowanie oddechu – patent na uspokojenie się, który sprzedała jej kiedyś terapeutka. Dłonie tak jej się trzęsły, że z trudem otworzyła drzwi mieszkania. Zamknęła je, trzaskając z całej siły. Też nie pomogło.

– No, kurwa, nie wierzę! – wrzasnęła.

Wpadła do kuchni jak burza. Całkowicie straciła nad sobą kontrolę. Strącała z półek, szafek i stołu wszystko, co wpadło jej pod rękę. Butelka, której nie zauważyła podczas porannego sprzątanía, z hukiem rozbiła się o kafle.

Zamarła na moment. *Oddychaj, po prostu oddychaj*, napominała się w myślach. Odpuściło. Nieco. Schyliła się, by pozbierać rozbite szkło. Zraniła się w palec. Osunęła się na podłogę i oparła plecami o szafkę. Załkała bezgłośnie. Była wściekła, rozżalona, zrozpaczona. I piekielnie samotna. Wszystko naraz.

Po kilku minutach nagle przestała szlochać. Wytarła smarki rękawem kurtki. Kucnęła przy jednej z szafek i sięgnęła pod mebel. Był tam. Usłyszała dźwięk metalu przesuwanego po kaflach. Trzymała w ręce mały klucz.

Wyjęła z lodówki butelkę taniego piwa, nie mogła znaleźć otwieracza, więc przyłożyła kapsel do rantu blaszanego zlewu i stuknęła kancem dłoni. Kapsel potoczył się po podłodze. Pociągnęła długi łyk i przeszła do sypialni. Wyciągnęła spod łóżka niewielki sejf. Otworzyła go kluczykiem i wysypała całą zawartość na przykurzony dywan.

Wycinki z gazet, wydruki artykułów z portali internetowych... Zakrwawiona frotka do włosów, którą znalazła w rzeczach Basieńki przekazanych jej przez szpital.

W mrocznych momentach wypełnionych bólem, którego nie potrafiła znieczulić, bywało, że przeglądała zawartość sejfu kilka razy dziennie. Nie miała pewności, po co to robi. Z czasem przestała. Terapeutka, której o nim powiedziała, wytłumaczyła, że nie tędy droga. Że jeśli nie przestanie tego robić, nigdy nie zakończy procesu żałoby. Karolina wcale nie była przekonana, czy kiedykolwiek jej się to uda, ale posłuchała kobiety. Wydawało jej się, że akurat w tym przypadku terapeutka ma rację. Zamknęła sejf, a klucz schowała pod szafką w kuchni. Żeby jej nie kusiło.

Teraz rozgrzebywała szpargały, starając się nie zwracać uwagi na odłożoną na bok frotkę. W końcu znalazła to, czego szukała. Wydruk artykułu z serwisu Jastrzębie Online. Wpatrywała się w nieco zamazane zdjęcie doktora Zawalskiego, który – jak przeczytała – „robił, co w jego mocy, by uratować ofiarę wypadku”. Pokręciła głową. Że też nie zapamiętała nazwiska lekarza. Może po prostu wyparła je z pamięci.

Z kartką w dłoni wróciła do kuchni. Sięgnęła po leżącą na stole zapalniczkę i podpaliła wydruk nad zlewem. Patrzyła, jak papier zamienia się w popiół. Przemknęło jej przez głowę, że wciąż idzie przez popioły. I może będzie tak do końca życia. Właściwie pogodziła się z tym, że nie zdoła już żyć normalnie. Była jednak pewna, że zemsta, jakakolwiek i na kimkolwiek, w niczym jej nie pomoże. A już na pewno nie zemsta na Zawalskim.

– Pieprzone bzdury – powiedziała na głos i odkręciła wodę.

Patrzyła, jak popiół znika w odpływie.

To nie ona miała problem z lekarzem, lecz młody, nazbyt ambitny prokurator, któremu pewnie marzyła się sprawa życia.

5 czerwca 2014 roku

Basia wyszła z przymierzalni roześmiana od ucha do ucha, trzymając w dłoni jasnoniebieską sukienkę. Podeszła prosto do rodziców, którzy w oczekiwaniu na nią oglądali porozwieszane na stojakach ubrania.

- Wybrałam - oznajmiła.

Karolina sięgnęła po metkę i studiowała ją z przesadną uwagą.

- Matko z ojcem, dwieście złotych?! - jęknęła, ale uśmiech nie schodził z jej twarzy.

- Spokojnie, kochanie. Obiecaliśmy, że dziś kupimy jej, co tylko będzie chciała - Mariusz objął żonę ramieniem. - Najwyżej przez dwa tygodnie będziemy jeść suchy chleb i popijać go wodą.

- Tak nawet bez masła? - Karolina nie wychodziła z roli.

- Są moje urodziny, więc możesz się szarpnąć na taki prezent - oznajmiła Baśka.

Była pewna, że wymarzona sukienka już należy do niej. W końcu piętnaste urodziny to nie byle jaka okazja.

- O kurczę, gdzie mój portfel?! - Mariusz zaczął przeszukiwać kieszenie. W oczach córki dostrzegł niepewność, więc zaraz klepnął się w czoło i dodał: - A dobra, po prostu jest lżejszy o dwieście złotych, dlatego myślałem, że go zgubiłem.

Wyciągnął z kieszeni dżinsów czarny portfel, wyjął dwa banknoty stużłotowe i podał córce.

- Ale suchar, aż mi zaschło w ustach - Basia udawała, że żart ojca wcale jej nie rozbawił.

Karolina pacnęła męża w tył głowy.

- Mam nadzieję, że w moje urodziny też będziesz gotowy tak żartować - zaśmiała się. - Ale raczej nie wykpisz się dwiema słówkami.

- Mamo, no weź, to niesprawiedliwe - jęknęła Baśka.

Mariusz puścił do niej oko.

- Dla mojej wspaniałej żony wszystko - odpowiedział i musnął ustami policzek Karoliny.

Basia poszła do kasy, a oni wyszli na zewnątrz.

- Kocham cię - wypalił nagle Mariusz.

Należał do mężczyzn, wcale nie tak licznych, którzy nie skrywają własnych uczuć. I nie uważał, że należy reglamentować słowo „kocham”, aby nie straciło na wartości. Karolinie to odpowiadało. Czuli się przy nim bezpieczni i szczęśliwi. Czasami myślała, że małżeństwo z Mariuszem jest jak wygrana na loterii.

- Ja ciebie też - odpowiedziała i go pocałowała.

Oderwali się od siebie dopiero wtedy, kiedy usłyszeli wesoły głos Baśki:

- Czyli na żadne ciasto już nie idziemy, bo widzę, że słodzicie do przesady?

- Miłość, ble... - Mariusz wykrzywił twarz w błazeńskiej minie.

Nastolatki czasami dziwnie reagowały na czułość okazywaną sobie przez rodziców. Pomyślał, że córka pewnie uważa, że są za starzy na takie rzeczy. Trudno. Jedną ręką przytulił Basię, drugą - Karolinę. Mocno, ale czule. Córka zaraz zaczęła się wyrywać.

- Dobra, dobra, dosyć - zawołała. - Jeszcze ktoś ze znajomych mnie zobaczy i będą mieli bekę.

- Chodźmy już - powiedziała Karolina, choć nie od razu ruszyła za mężem i córką.

Patrzyła, jak wtuleni w siebie i pogrążeni w rozmowie idą w stronę pobliskiej kawiarni. Czuli się szczęśliwi, tak po prostu. I cieszyła się drobnymi radościami, które zapamiętuje się na długo.

Rozdział VIII

Tylko kochanka

15 września 2019 roku

Artur

Gabinet Rogalskiego wypełnił zapach świeżo zaparzonej kawy. Już drugiej, odkąd zjawił się w prokuraturze. Nie mógł się zebrać do pracy, czasami tak miał. Do tej pory udało mu się włączyć komputer, sprawdzić prognozę pogody na dzisiaj, przejrzeć newsy na portalu informacyjnym i poprzekładać trochę dokumentów z miejsca na miejsce. *No po prostu pracownik miesiąca*, zaśmiał się w duchu. Usłyszał pukanie, rzucił głośne „proszę”. Sekretarka przyniosła mu plik gazet i położyła je jak zawsze na szafce blisko biurka. Podziękował jej skinieniem głowy. Miał powód, by bez wyrzutów sumienia oddać się prokrastynacji. Prasa sama przecież się nie przejrzy.

Nim sięgnął po gazety, upił łyk kawy. Znowu pomyślał o niedawnej rozmowie z Szewczyk. Nie wszystko poszło po jego myśli. Bez wątplenia mógł ją urazić swoimi podejrzeniami. Tyle że zwyczajnie musiał je wypowiedzieć, aby być w porządku wobec samego siebie i służby. Karolina się wściekła, rozstali się w gniewie. *Wyszło, jak wyszło*, wrzucił ramionami. Uznał, że Szewczyk nie musi go lubić. Wystarczy, żeby porządnie wykonywała swoją pracę. Właściwie tylko tego od niej oczekiwał.

Nie było sensu drażnić tego tematu. Ostawił kubek z kawą i sięgnął po gazety. Tytuły ogólnopolskie jak zwykle odłożył na bok. Będzie miał czas, to na nie zerknie. Jeśli nie, trudno. Jedna z gazet upadła na podłogę. Gdy podnosił nowy numer tygodnika „Sieci”, naderwał pierwszą stronę. Żadna strata, pomyślał z rozbawieniem.

Zatrzymał wzrok na okładce „Dziennika Zachodniego” i od razu skoczyło mu ciśnienie.

– No kurde, nie wierzę...

Wbił wzrok w niewyraźne zdjęcie. Od biedy w mężczyźnie dało się rozpoznać Zawalskiego. Wszelkie wątpliwości rozwiewał krzyczący wykrzyknikami, kiczowaty tytuł: „Tylko u nas! Przykładny mąż i ojciec zdradzał żonę?! Mroczne kulisy tragedii w Bziu”. „Dziennik Zachodni” coraz bardziej przypominał tabloid. Ale czy był równie mało wiarygodny jak inne szmatławce?

Artur odnalazł tekst w środku gazety i szybko przebiegał wzrokiem kolejne linijki, kręcąc głową. Zastanawiał się, jak to możliwe, że dziennikarz dokopał się do takich sensacji, a żaden z policjantów nie. Sprawdził nazwisko autora artykułu – Krzysztof Sielski. Trzeba go będzie rozpytać... Żaden z policjantów nie wpadł na to, by zapytać Zawalskiego o kochankę. Zresztą on sam też nie. Wszyscy stracili czujność, słysząc w kółko od znajomych i sąsiadów Zawalskich, że ci byli rodziną bez skazy, jak z obrazka. *Taaa, też dałem ciała*, przemknęło Arturowi przez myśl. Umiał przyznać się do zaniedbań, chociaż niekoniecznie publicznie.

Jeszcze raz przeczytał artykuł, już na spokojnie. W sumie większość zawartych w nim sensacji można było uznać za insynuacje i pomówienia. Dziennikarz stawiał odważne tezy, nie przejmując się takimi drobiazgami jak weryfikacja informacji u innych źródłał. Wprawdzie zdjęcie było mocno dwuznaczne, jednak można je było interpretować na różne sposoby. W zależności od nastawienia i woli – dobrej lub złej. Że też gazeta zdecydowała się na publikację niepotwierdzonych rewelacji... *Cóż, rozważał prokurator, gdyby Zawalski czy*

ktoś inny zaczął robić dym, wydawca się pewnie wycofa i zamieści sprostowanie drobnym drukiem. A sprostowań nikt nie czyta. Takie życie, takie media.

Cisnął gazetę na biurko, zignorował dzwonek telefonu stacjonarnego. Zastanawiał się, co zrobić, bo że musiał wykonać jakiś ruch, tego był pewien. Choćby jedynie po to, by się upewnić, że dziennikarz wysłał te rewelacje z brudnego palca. W pierwszej chwili chciał zadzwonić do Szewczyk i zlecić jej zbadanie tego wątku. Uznał jednak, że to za wcześnie na rozmowę z nią. Gdyby coś poszło nie tak, znowu musiałby wysłuchiwać pretensji, że szuka dziury w całym. A może dać to jej partnerowi? Koniec końców postanowił, że sam się tym zajmie. Nie powinno mu to zająć zbyt wiele czasu. Chyba.

Miał do wyboru kilka opcji. Mógł pogadać z Sielskim. Najprawdopodobniej dowiedziałyby się od niego jedynie tyle, ile dziennikarz sprzedał już w artykule. A gdyby drażyli, skąd Sielski ma informacje o Zawalskim, ten pewnie zasłoniłby się prawem do nieujawniania źródeł. I koniec tematu. Skonfrontować się od razu z Zawalskim? Lekarz pewnie już wie o gazetowych rewelacjach. Musiał się wkurzyć, jeśli nie jest całkiem wyzutym z emocji typem, na jakiego trochę Arturowi wyglądał. Spyta Waldemara o romans, ten zaprzeczy i tyle.

Prokurator nie mógł się skupić. Już od rozmowy z Szewczyk był poirytowany, teraz swoje dołożył niby sensacyjny artykuł. Wstał zza biurka tak gwałtownie, że fotel na kółkach odjechał i uderzył w kaloryfer. Drażnił go upał panujący w biurze. Chwyił marynarkę, rzucił sekretarce, że ma sprawę na mieście, i wyszedł. Po prostu musiał się stąd ruszyć, przejść, przez chwilę przewietrzyć umysł. Czasami lepiej mu się myślało podczas spacerów.

Uderzyła w niego fala gorąca. *Szlag, jeszcze to*, pomyślał. Poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mu strużka potu. Zwolnił. Popatrzył na gołębie kręcące się wokoło staruszki, która rzucała im ziarno. Nagle między ptaki ze szczekaniem wbiegł puszczone luzem pies. Rozleciały się z łopotem skrzydeł. Pomyślał, że tak samo jemu rozlatują się na

wszystkie strony myśli o sprawie w Bziu. Nie zamierzał wysłuchiwać nakręcającej się kłótni między staruszką a właścicielem czworonoga, poszedł więc dalej. Usłyszał dobiegające z oddali bicie kościelnych dzwonów i gwałtownie się zatrzymał. *Jak mogłem od razu na to nie wpaść?!*, zganił się w myślach. Odwrócił się i ruszył szybko w stronę parkingu, na którym stała jego beemka. Wybierał się do Bzia. Ksiądz przecież nie powinien łąć w żywe oczy. Teoretycznie.

Artur

Kościół w Bziu był stosunkowo niewielki, ale bardzo zadbany. Idąc w jego stronę, Rogalski zwrócił uwagę na nowe schody. *Czy to przypadkiem nie te ufundowane przez Zawalskiego?*, pomyślał. Kostka wyglądała, jakby ktoś położył ją dosłownie przed chwilą. Malownicze witraże w oknach kościoła też sprawiały wrażenie nowych i były chyba całkiem ładne. Artur nie znał się na sztuce sakralnej. „Złoty, a skromny” – z uśmiechem przywołał cytat z głośnego ostatnio filmu *Kler*. Kościoły w małych miejscowościach czy we wsiach zwykle nie narzekały na brak środków na remonty, bo księża mogli liczyć na hojnych parafian, gotowych oddać każdą złotówkę na ukochane miejsce spotkań. Zaraz po tym, jak już kupią niedzielną kreację. Jakoś się przecież trzeba prezentować w domu Pana.

Z drogi Artur zadzwonił do proboszcza i umówił się na spotkanie. Na szczęście ksiądz miał czas. Rozmowa z nim wydawała się oczywistym rozwiązaniem, bo kto, jeśli nie proboszcz, pod którego duchowym przewodnictwem odbyła się pielgrzymka do Rybnika, miałby widzieć, co tam się działo? Po drodze prokurator wstąpił do kiosku, by kupić dzisiejsze wydanie „Dziennika Zachodniego”. Potrzebował zdjęcia na okładce jako punktu odniesienia, a swój egzemplarz zostawił w biurze. Miał jednak przeczucie, że proboszcz już dawno widział artykuł. Pewnie donieśli mu życzliwi albo odebrał telefon z kurii. W końcu nieczęsto się zdarzało, by temat pielgrzymki trafiał na pierw-

szą stronę największej gazety regionalnej. A już na pewno nie w związku z tego rodzaju potencjalnym skandalem obyczajowym.

Wszedł do kościoła. Musiał pokonać niemal całą jego długość, bo kancelaria parafialna mieściła się za ołtarzem, zaraz za ścianą, którą zdobił ogromny krzyż z postacią ukrzyżowanego Jezusa. Nie zaprzętał sobie głowy kłękaniem i żegnaniem się, myślał tylko o tym, że coraz bardziej drażni go zapach kadzidła. Przewrócił oczami i przypomniał sobie wszystkie niedziele, podczas których rodzice zmuszali go do uczestniczenia w mszy świętej. Przyniosło to skutek odwrotny od zamierzonego.

Zapukał trzy razy, ale nie usłyszał zaproszenia. Stał przez chwilę i nasłuchiwał, ale ostatecznie postanowił wejść do środka.

- Dzień dobry - rzucił od drzwi.

Proboszcz Mikołaj Jakubczak nawet nie podniósł głowy znad biurka, pochłonięty wypełnianiem jakichś dokumentów. Artur pomyślał, że w zapiętej na ostatni guzik, ciasnawej szarej koszuli i koloratce musi być księdzu gorąco i niewygodnie. W pomieszczeniu panował porządek. Książki równo poukładane na regałach, parę egzemplarzy Biblii na stole. Herbata w wielkim szklanym dzbanku i na talerzyku kilka herbatników, których okruszki dało się zauważyć na klatce piersiowej duchownego.

Dopiero kiedy sylwetka zbliżającego się Rogalskiego przesłoniła promienie słońca wpadające do pomieszczenia przez okno, ksiądz zorientował się, że ma gościa.

- Szczęść Boże, szczęść Boże! Nie zauważyłem pana, przepraszam - wydukał.

- Nie szkodzi - odparł Rogalski.

- Proszę siadać - proboszcz wskazał jedno z dwóch krzeseł stojących przed dużym biurkiem. - Napije się pan czegoś? - wydawał się zdenerwowany.

- Nie, dziękuję, nie zajmę księdzu wiele czasu. Kojarzy ksiądz tę kobietę? - Artur od razu przeszedł do rzeczy.

Rozwinął gazetę i wskazał zdjęcie tak słabej jakości, jakby zrobiono je przedpotopowym aparatem.

- Czytam prasę... Oczywiście. Tak czułem, że o to chodzi - rzucił ponuro proboszcz. - To Iwona Turak, mieszka niedaleko.

- Wiedział ksiądz, że coś ją łączy z Zawalskim? - dociekał Artur.

- Nie wiem, czy coś ich łączy.

- Najwyraźniej tak.

- Cóż, zależy, jak kto patrzy. Ja tu nic zdrożnego nie dostrzegam. Dorośli ludzie nie mogą się przytulić? Iwona zapewne chciała pocieszyć Waldemara, wie pan, okazać mu wsparcie podczas pielgrzymki, którą on bardzo przeżywał. To skomplikowana kobieta, ale serce ma dobre. Wieloletnia parafianka, często nam tu pomagała - tłumaczył ksiądz. - A to? - skrzywił się, wskazując na gazetę. - Wie pan, jakie są te dzisiejsze media, lubią sobie dopowiadać. I robić z igły widły.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli zapytam u źródła - Rogalski odpowiedział wymuszonym uśmiechem. - Poda mi ksiądz adres pani Iwony? Chyba nie ma nic do ukrycia? - dorzucił, widząc niechętną minę duchownego.

Jakubczak wahał się przez chwilę. Ostatecznie skinął głową i podał adres Turak.

- Dziękuję - Artur ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się z dłonią na kłamce. - Czy jest coś, o czym ksiądz jeszcze chciałby mi powiedzieć?

Przez dłuższą chwilę proboszcz wpatrywał się w niego zmrużonymi oczami.

- Ale właściwie w jakiej sprawie? - zapytał.

- Tego, co się działo podczas pielgrzymki... - prokurator na chwilę zawiesił głos. - Albo w sprawie pożaru.

- Powiedziałem wszystko podczas składania zeznań. Jeśli jednak będę mógł jeszcze jakoś pomóc, to zapraszam.

Artur jeszcze przez moment patrzył proboszczowi w oczy, ale ten wytrzymał jego spojrzenie. Na do widzenia posłali sobie uśmiechy,

które zniknęły z ich twarzy zaraz po zamknięciu drzwi.

Artur

Okazało się, że Iwona Turak mieszka blisko kościoła, przy ulicy Rekreacyjnej, więc Rogalski zrezygnował z jazdy samochodem i zrobił sobie spacer. Mijał kolejne domy jednorodzinne, przyglądając się im uważnie. Jedne bardziej, drugie mniej zadbane. Tu trawa przystrzyżona, gdzie indziej wyrosnięta. Nazwa była jak najbardziej adekwatna, bo po jednej stronie ulicy, za domami, ciągnął się pas niewielkiego lasu. Na którejś posesji zauważył dalmatyńczyka. Dawno nie widział psa tej rasy. Największą popularność dały jej bajki i filmy, ale wraz z upływem czasu okazało się, że to bardzo wymagająca rasa, więc wiele hodowli, także tych pseudo, upadło. Wiedział to wszystko, bo kiedyś sam chciał kupić dalmatyńczyka. Jego tryb życia nie pozwalał jednak na posiadanie zwierzęcia. Dużo pracował i na razie nie miało się to zmienić, więc pies musiałby często zostawać w domu sam. A tego nie chciał mu zrobić.

Wreszcie dotarł przed dom Turak, który od tyłu sąsiedował z laskiem. Pomyślał, że kobieta rzeczywiście musi się udzielać w życiu parafii, skoro ksiądz podał jej adres z pamięci. A może w mniejszych miejscowościach wszyscy proboszczowie tak dobrze znają swoje owieczki. Pchnął furtkę drewnianego ogrodzenia, które lata świetności miało już za sobą. Dom był niezbyt duży, parterowy. Ani ładny, ani brzydki. Zauważył, że przydałyby mu się drobne naprawy. Pokonał kilka stopni i zapukał do drzwi.

– Idę, idę – usłyszał donośny głos.

W otwartych drzwiach stała ruda kobieta z włosami zebranymi w niedbały kok. Miała na sobie szorty i cienką koszulkę. Była wyraźnie zdziwiona widokiem Artura.

– A pan to... Przepraszam, na listonosza czekam.

Rogalski przedstawił się i podał swoją funkcję.

- Ale że prokurator do mnie?

- Chciałbym przez chwilę z panią porozmawiać. Mogę wejść? - miał już dosyć wystawania przed drzwiami.

Kobieta skinęła głową i poprowadziła go do niewielkiego salonu połączonego z kuchnią. Kiedy tylko tam wszedł, od razu pożałował. Było czuć wyraźny swąd dymu papierosowego. Na niskiej ławie stała nieopróżniona popielniczka. Westchnął. Nie cierpiał papierosów i palaczy.

Rozejrzał się dookoła. Pomieszczenie było schludne, ale kobiecie wyraźnie się nie przelewało.

- Mieszka pani sama?

- Tak, ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego to obchodzi prokuraturę.

Rogalski chrząknął. Niezbyt dobrze zaczął tę rozmowę.

- Chciałem porozmawiać o pani związku z Waldemarem Zawalskim.

Turak odruchowo sięgnęła po paczkę papierosów, ale zrezygnowała w połowie gestu.

- No znamy się, jak to w wiosce. Poza tym udzielamy się w miejscowej parafii...

- Pani Iwono - przerwał jej - naprawdę chce się pani tak bawić?

Nie zwlekając, wyciągnął z kieszeni gazetę i pokazał okładkę. Kobieta wyraźnie pobladła. Najwyraźniej albo w ogóle nie czytała prasy, albo nie widziała jeszcze tego numeru. Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

- Pieprzone pismaki - syknęła. - Tak ładować się z buciorem w czyjeś życie.

- Czyli to prawda? - dopytał Rogalski.

- Nic nie powiem bez adwokata.

Reakcja kobiety go zdziwiła, bo ludzie niezbyt często od razu zasłaniali się prawnikiem.

- Oczywiście, ma pani do tego prawo. Tylko wtedy będzie się pani musiała stawić w prokuraturze na oficjalne przesłuchanie. Chce pani tego?

Zwlekała z odpowiedzią, więc postanowił ją przycisnąć.

- I odpowiedzieć na pytania dotyczące pani związku z pożarem domu Zawalskich.

Zrobiła wielkie oczy.

- A niby jaki związek ma zdjęcie w szmatławcu z tą tragedią? - spytała.

- Taki, że mogła pani sporo zyskać na pożarze.

Turak znowu sięgnęła po papierosy, wyjęła jednego z paczki i zapaliła.

- Bardzo proszę nie palić - rzucił.

Tylko wzruszyła ramionami. Zaciągnęła się głęboko.

- To co pani wybiera? Rozmowę tutaj czy w prokuraturze?

Zgasiła na wpół wypalonego papierosa.

- Dobrze, to i tak musiało się kiedyś wydać. Od ponad dwóch lat mam romans z Waldkiem. O pożarze nic nie wiem. Ponoć było zwarcie instalacji.

- W artykule są cytowane pani słowa, z których wynika, że cieszyła się pani z pożaru.

- Że niby co? - trzęsącą się dłonią sięgnęła po gazetę, znalazła artykuł i przeczytała tekst.

Jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. Artur nie był pewny, czy to złość, czy wstrzymywany płacz. Gazeta wypadła jej z rąk.

- To bzdury - mówiła trzęsącym się głosem. - Same bzdury. Z żadnym pismakiem nie rozmawiałam... A poza tym nie jestem taką wredną suką, żeby komukolwiek życzyć śmierci. Na pewno nie niewinnym dzieciom. Zależało mi jedynie na Waldku, ale on wołał tę

swoją kurę domową. Do mnie przychodził wtedy, gdy potrzebował seksu, czyli dość często.

Urwała i zapatrzyła się w okno.

- Nie planował odejść od rodziny?

- Obiecywał mi to wiele razy, ale kiedy postawiłam go pod ścianą, odmówił - przyznała.

- I wtedy postanowiła mu pani w tym pomóc - Rogalski spróbował ją sprowokować.

Powoli pokręciła głową.

- Nie jestem taka durna, żeby robić takie akcje. Fakt, nigdy nie miałam szczęścia do facetów, ale nie jestem zła... Na pewno nie jestem złą kobietą - wyglądała na zupełnie zrezygnowaną.

Prokurator postanowił wykorzystać to, że zaczęła z nim otwarcie rozmawiać, więc zapytał:

- A Zawalski? Mówił coś, że ma dość rodziny?

- Rzadko o tym rozmawialiśmy. Właściwie wcale. Ani on nie chciał o tym mówić, ani ja słuchać, jak można się domyślić. Narzekał czasem na różne problemy: głównie z dziećmi, chociaż z żoną też. No ale to jak w każdej rodzinie. Z kasą było u niego krucho, choć robił wszystko, bym tego nie widziała. Żeby nikt nie widział. Często latał do księdza Jakubczaka i wtedy w magiczny sposób pieniądze się znajdowały. Nie wiem, co oni tam kombinowali.

- Podobno jest pani przyjaciółką parafii, więc może zna jakieś szczegóły.

- Ja przyjaciółką?! Dobrze sobie! Angażowałam się tam tylko ze względu na Waldka, bo dla niego Kościół jest ważny. Chciałam tego, szukałam męża. Gdyby pan wiedział, co się na pielgrzymkach wyprawia! Istny raj na Ziemi - zaśmiała się gorzko.

- Zawalski jest blisko z proboszczem?

- To zależy, co ma pan na myśli. Mieli swoje sekrety, to na pewno. Parę razy przyłapałam ich nawet na kłótni. Nie wiem dokładnie, może

tylko tak to wyglądało. Waldek nie chciał mi nic powiedzieć, bo... – urwała.

Artur odniósł wrażenie, że nagle zapadła się w sobie. Potrząsnęła głową i powiedziała:

– Proszę już iść. Naprawdę nie mam siły dłużej z panem gadać.

Wstał i zapowiedział:

– Dobrze, ale będziemy musieli wrócić do tej rozmowy.

W drodze do samochodu intensywnie rozmyślał. Zawalski miał długi? Oczywiście po pożarze sprawdzili stan jego finansów, ale nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Tyle że mógł pożyczać pieniądze poza systemem bankowym, a to zawsze jest ryzykowne, jeśli ma się problemy ze spłatą. Ciekawe.

Artur

Dawno minęła dwudziesta druga, a Rogalski wciąż był zagrzebany w dokumentach. *Papierologii nigdy dosyć*, pomyślał gorzko. Zabrał pracę do domu, mimo że jakiś czas temu obiecał sobie, że przestanie to robić, żeby mieć choć namiastkę prywatnego życia. Stare nawyki jednak najtrudniej wypłenić. Wiedział, że sprawa Zawalskiego jest priorytetowa, ale prowadził jednocześnie sporo innych. Taki los każdego prokuratora.

W końcu miał już dosyć. Wstał od biurka i przeciągnął się z jękiem. Przeszedł do kuchni i spojrzał na zlew. Wprawdzie nie piętrzyły się w nim brudne naczynia, ale wszędzie stały kubki z niedopitą kawą. Miał taki dziwny nawyk: robił kawę, ale nie pił jej od razu, bo nie lubił wrzątku. Czekał, czekał, a gdy w końcu sobie o niej przypominał, okazywało się, że jest zimna. Takiej też nie lubił, więc wypijał tylko kilka łyków, a resztę zostawiał. I tak w kółko.

Właściwie powinien wziąć się do porządków. Powtarzał to sobie wczoraj i przedwczoraj i kilka dni wcześniej. Był tak pochłonięty robotą, że zaniedbywał obowiązki domowe. Rzadko mu się to zda-

rzało, bo nie lubił mieszkać w chlewie. Teraz miał jednak ważniejsze sprawy na głowie.

Uznał, że nie ma już siły ani na telewizję, ani na książkę. Teraz tylko siusiu, paciorek i spać – jak mawiała jego babcia. Był już w łazience, kiedy usłyszał sygnał telefonu. Idąc po komórkę, modlił się w duchu, by tylko nie wyskoczyła nowa sprawa. Spojrzał na ekran. Numer zastrzeżony. Wpatrywał się w napis przez jakiś czas, aż wreszcie postanowił zrobić coś wbrew sobie i odebrać. Do tej pory ignorował tego typu telefony, ale uznał, że tym razem to może być coś ważnego. Takie przeczucie.

– Słucham?

Cisza. Mijały kolejne sekundy, ale nikt nie odpowiadał. *Znowu jakieś idiotyzmy*, pomyślał. Ledwie odłożył aparat na stół, ten znowu zadzwonił. Numer zastrzeżony. Zignorował połączenie. Chociaż był coraz bardziej zaintrygowany.

– Do trzech razy sztuka – postanowił.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Odebrał i warknął:

– Zaczynasz mnie dener...

– Ubezpieczył rodzinę przed pożarem.

– Co takiego? Słucham?

– Zawalski ubezpieczył rodzinę przed pożarem. Czytałam ten dzisiejszy artykuł i musiałam do pana zadzwonić.

Na moment go zatkało.

– Ale kim pani jest, skąd pani to wie?

Połączenie zostało przerwane. Przez moment wpatrywał się w wygasły ekran.

Długo nie mógł zasnąć, zastanawiając się nad tym, czego się dzisiaj dowiedział. Informacja o tym, że Zawalski ubezpieczył rodzinę przed pożarem, mogła się okazać kluczowa. Jeśli tylko była prawdziwa. Do tego domniemane długi lekarza. Wszystko to trzeba będzie dokładnie

posprawdzać. Może wreszcie trafił na kluczowy trop w sprawie pożaru. Oby.

* * *

13 stycznia 2019 roku

Najgorsze były niedziele. Iwona wiedziała, że muszą się ukrywać, nawet jakoś to rozumiała. Nie zmieniało to jednak faktu, że właśnie w niedziele czuła największy żal. Tak jak teraz.

Z sumy wyszła trochę wcześniej, przed całym tłumem i stanęła z boku drzwi kościoła. Udawała, że na kogoś czeka. Na kogokolwiek, chociaż czekała wyłącznie na Waldka. Zobaczyła, jak wychodzi z żoną uwieszoną na jego ramieniu, otoczony gromadką dzieci, które karnie uczestniczyły w mszach. Ledwie skinął jej głową. Zalała ją złość. Przecież nic by się nie stało, gdyby zamienił z nią dwa zdania. Aż tak nie musieli się kryć. Oboje udzielali się we wspólnocie parafialnej, więc spokojnie mogli przez chwilę pogadać. Ale nie. Bo tak było Waldkowi wygodniej. Oto wielki pan lekarz, mocno wierzący katolik w otoczeniu swojej wspaniałej rodziny. Taki chciał się pokazywać światu. Tyle że ona wiedziała, jaki staje się w jej sypialni. Grzeszny i rozpustny.

Szła powoli do domu, zastanawiając się, w czym jest gorsza od jego żony. Chyba tylko w tym, że nie ma z nim dzieci. Ona może by nawet chciała, ale on się zabezpieczał. *Jak to przykładowy katolik*, pomyślała złośliwie. Mówił jej, że i tak z trudem zarabia na całą swoją gromadkę. Po raz kolejny wróciło do niej pytanie, co z nią jest nie tak. Nie miała szczęścia do facetów, zawsze wybierała źle. Jeden pił, drugi ją uderzył, trzeci... Zawsze coś. Ciągłe jacyś się wokół niej kręcili, bo przecież nie była brzydka, miała dom po rodzicach i stabilną pracę. Nic to, że tylko w biedronce. Kiedy zwrócił na nią uwagę Waldek i w końcu zaczęło się między nimi coś, co dla niego było romanssem, a dla niej na pewno

czymś więcej, pomyślała, że zły los się od niej odwrócił. Lekarz, poważny facet. Z jednym zasadniczym problemem – rodziną. Chciała o niego zawalczyć, chociaż wiedziała, że nie będzie łatwo. Bywało, że mówił, że ją kocha, zarzekał się, że odejdzie od żony, bo w ich małżeństwie wszystko dawno wygasło. Na obietnicach się kończyło. Miała być tylko kochanką?

– Niedoczekanie – wyszeptła, zaciskając pięści.

Rozdział IX

Na własną rękę

16 sierpnia 2019 roku

Karolina

Kurde, to nie był dobry pomysł, pomyślała Szewczyk, gdy po raz kolejny towarzystwo siedzące przy najbliższym stoliku wybuchło gromkim śmiechem. Specjalnie wybrała miejsce, w którym nie dudni głośna muzyka, żeby w spokoju posiedzieć, popić i pomyśleć. Jednak nie przewidziała, że akurat tego wieczoru w pubie Żywieckim przy ulicy Łowickiej będzie się roiło od imprezujących nastolatków. Szła o zakład, że gdyby poprosiła ich o wylegitymowanie się, przynajmniej połowa okazałaby się nieletnia. Jeśli nie więcej. Uznała jednak, że to nie jej małpy, nie jej cyrk. Była już po służbie.

Od rozmowy z Rogalskim czuła się nieswojo. Niby w fabryce robiła, co musiała, ale wciąż rozpamiętywała słowa prokuratora. Tym bardziej że ten się z nią nie kontaktował. Stracił do niej zaufanie? Bo chyba się nie obraził. Chociaż kto go tam wie? Był dziwny.

– Co za dupek – powiedziała na głos.

Nie sądziła, że sprawa z Rogalskim zajdzie tak daleko. A już na pewno nie wyśniłaby nawet w najgorszych koszmarach, że prokurator w ogóle może podejrzewać, że miała cokolwiek wspólnego z pożarem w Bziu. Że niby się mściła? Bzdura, jakich mało. Na samo wspomnie-

nie tamtej rozmowy zacisnęła pięści. Tuż obok znowu gruchnęła salwa śmiechu. Nie wytrzymała.

- Zamknąć się, ale już! - wrzasnęła, uderzając pięścią w stół.

- Ej, tylko spokojnie - syknął na nią barman.

- Ty też się zamknij albo się zainteresuj, dlaczego sprzedajesz alkohol nieletnim - odpowiedziała, odsłaniając odznakę policyjną ukrytą pod kurtką.

Facet od razu spokorniał, podniósł dłonie w uspokajającym geście i poszedł w drugi kąt baru. Kojarzył Szewczyk, często tu bywała. Podejrzewał, że blefuje, więc specjalnie się nie przejął, ale widział też, że jest w złym nastroju. Nie zamierzał jej denerwować.

Nastolatki przy stoliku obok nie zareagowali na jej słowa, choć zdawało się, że nieco przycichli. Pewnie tylko na chwilę. Zresztą po co mieli się przejmować jakąś awanturującą się starą babą? Nie wiedzieli przecież, z kim mają do czynienia.

Zawiesiła na nich wzrok. Byli tacy pełni życia. Jej Basia byłaby już teraz dorosła, pewnie wyjechałaby dokądś na studia, a ona by tęskniła za swoją jedynaczką... *Przestań natychmiast!*, napomniała się w myślach. Pociągnęła długi łyk piwa. Skupiła wzrok na barowej wystawce butelek z różnymi alkoholami podświetlonymi ledami. Miała ochotę na papierosa, ale nie chciało jej się wychodzić z knajpy. Nie mogła się rozsypać teraz, kiedy prowadzą tak poważną sprawę. Na pewno nie teraz.

Znowu spoglądała z ukosa na salę, popijając piwo. Powinna je dopić, wrócić do mieszkania, łyknąć pigułkę i odplynać w chemiczny sen. To było najlepsze rozwiązanie. Uciec na kilka godzin od wszystkich zmartwień, złych myśli. W grupie młodych siedzących w jednej z łóż dostrzegła chłopaka. Czy był tam od początku? A może dopiero się dosiadł? Wydawał się jej dziwnie znajomy. Wyteżyła wzrok, mrużąc nieco oczy, i wtedy ją olśniło. *O cholera*, pomyślała i sięgnęła po telefon. Weszła w galerię i przerzucając kolejne zdjęcia, odnalazła to,

czego szukała: zdjęcie chłopaka, którego Rogalski ścigał w szkole Zawalskiej. Wyglądało na to, że siedzi tam facet Martynty Zawalskiej.

Ustalili wtedy, że nazywa się Sebastian Grogowski. Podjechali z Adamem do mieszkania, które chłopak wynajmował, ale go nie zastali. Mieli wrócić do tematu, ale potem wyniknęła afera z podejrzeniami Rogalskiego i Karolina straciła zapał do sprawy. A teraz chłopak Martynty sam pchał się jej w ręce. Od razu pomyślała, że to dobry moment, aby wrócić do gry. Jeśli uda jej się wyciągnąć od niego jakieś przydatne informacje, znaleźć nowy punkt zaczepienia, udowodni temu prokuratorzynie, jak bardzo się mylił co do niej. I jak bardzo jej zależy, żeby odkryć prawdę o pożarze w Bziu.

Karolina

Minęła godzina, a Grogowski wciąż siedział przy stole, gadając ze znajomkami i popijając. Szewczyk zastanawiała się, co robić. Uznała, że machanie blachą i wyjmowanie go z grupy znajomych w knajpie pełnej ludzi nie jest dobrym rozwiązaniem. Jeszcze znowu by zwiął. Gość ewidentnie miał talent do ucieczek. I pewnie coś na sumieniu. Czekala na moment, kiedy chłopak zdecyduje się skończyć imprezowanie albo pójdzie do łazienki. W końcu piwa, które w siebie wlewał, kiedyś musiały zacząć działać.

Wreszcie wstał i poszedł w stronę toalety, a Karolina ruszyła za nim. Na szczęście to nie ją widział w szkole, w przeciwnym razie pewnie by się wystraszył. A tak mogła go zaskoczyć. Weszła do łazienki tuż za nim i zorientowała się, że drzwi można zamknąć od środka. Charakterystyczny dźwięk zamka sprawił, że sikający przy pisuarze chłopak odwrócił się w jej stronę.

- Sorry, jestem zajęty. Poza tym chyba jestem dla pani za młody. Bez urazy - rzucił kiepskim żartem, zapinając rozporek i podchodząc bliżej drzwi.

Zagrodziła mu przejście.

- Mamy do pogadania.
- Weź przestań. Przesuń się, bo przestanę być taki miły – warknął.
- Jesteś chłopakiem Martyny Zawalskiej?
- Daj mi spokój, kobieto! – wrzasnął.

Poczuła na twarzy alkoholowy oddech. Chłopak spróbował ją odepchnąć od drzwi. Wyćwiczonym gestem założyła mu dźwignię na łokieć i pchnęła na ścianę. Słabo trzymał się na nogach, więc z jękiem upadł na kolana na brudną podłogę.

- Pojechało cię? Jesteś psem, tak? Pozwę cię za napaść – zaczął się odgrażać, ale nawet nie próbował wstać.

Najwyraźniej nie był taki twardy, na jakiego wyglądał. Albo raczej jakiego zgrywał.

Puściła groźby mimo uszu i zapytała:

- Czemu ostatnio w szkole uciekałeś?
- Bo mnie gonili – odpowiedział niezbyt błyskotliwie.
- Zacząłeś uciekać wcześniej – rzuciła. – Po kolei, jak się nazywałeś i co wiesz o pożarze u Zawalskich? Od samego początku zachowujesz się podejrzanie. I nie ściemniaj, bo tak się składa, że nie mam już nic do stracenia – mówiła szczerze.

Spojrzał na nią ze strachem w oczach. A może zwyczajnie czuł się upokorzony, że wylądował na podłodze powalony przez dużo starszą kobietę.

- Dobra, teraz cię puszczę, tylko bez numerów – zapowiedziała. – Pogadamy i się rozejdziemy.

Skinął głową i zaczął wstawać, ale pośliznął się, oparł dłonią o mokrą podłogę. Spojrzał na nią z obrzydzeniem. Spróbował jeszcze raz i wreszcie udało mu się stanąć.

- Dobrze, to od początku. Imię i nazwisko?
- Sebastian Grogowski.
- Widzisz, nie bolało, więc dalej. Co wiesz o pożarze?
- Nie mam z tym nic wspólnego – wysyczał wreszcie.

- Mówiłam: nie ściemniaj – ostrzegła zimnym tonem.

- Nie ściemniam – chłopak nie był zbyt rozmowny.

- To czemu uciekałeś? – nie dawała za wygraną.

- Bo, bo... byłem tam. W dniu pożaru byłem u Martyzny. Myślałem, że mnie szukacie, bo chcecie zwalić na mnie winę. Martyna mówiła, że podejrzewacie, że to nie był wypadek – w końcu się rozgadał.

- Co tam robiłeś?

- No, niech pani zgadnie, co robiłem w nocy u swojej dziewczyny – odparł bezczelnie.

- Ktoś może to potwierdzić?

- Tylko Martyna.

- A ojciec?

- Nie bez powodu robimy z tego tajemnicę. Starszy chłopak zakrada się po nocach do córki ze świętojebliwej rodzinki. Raczej im się tym nie chwaliłem – mówił szczerze, czuła to.

- I tylko tyle? Nie zauważyłeś nic podejrzanego? – dopytywała.

- Byliśmy zamknięci w pokoju Martyzny, wyszedłem przez okno. Udało mi się zejść trochę niżej i skoczyć w te przeklęte rośliny, które tak pielęgnowała jej matka. No, może nie takie przeklęte, bo dzięki nim mogłem to wszystko robić. Chociaż mało brakowało, a skręciłbym kostkę...

- Do brzegu – ponagliła go.

- Kiedy już się pożegnaliśmy, miałem wrażenie, że z oddali ktoś obserwuje dom. Wyraźnie widziałem jakąś sylwetkę, ale szybko zniknęła mi z oczu, tak jakby ktoś się... schował? Nie wiem, mogło mi się wydawać, poza tym było ciemno.

Ciekawe. Policjantka analizowała każde jego słowo. Kto mógł w środku nocy obserwować dom Zawalskich? Podobno nie mieli wrogów... A może ojciec, zanim pojechał do pracy? Nie, pora była zbyt późna, Zawalski już dawno powinien być na dyżurze. Z drugiej strony

po co w ogóle miałby to robić? Chyba że...Uznała, że najpierw musi zweryfikować rewelacje, które właśnie usłyszała.

– Wierzę ci – powiedziała spokojnie. – Na razie cię zostawiam, ale nie rób niczego głupiego. I nie uciekaj następnym razem, chyba że chcesz zostać aresztowany. I odpocząć po biegu na dołku – wiedziała, że nic nie ma na chłopaka i musi go puścić.

Odwróciła się na pięcie, otworzyła drzwi i wyszła. Na moment się zawahała, gdy zobaczyła kolejkę przed łazienką. Wcześniej nie słyszała żadnych głosów niezadowolenia czy pukania. Może ktoś widział, jak tam wchodzi, i dodał sobie dwa do dwóch? To wyjaśniałoby dziwne spojrzenia mężczyzn, które zmieniły się, kiedy zerknęli do środka. Grogowski był z lekka sponiewierany, ale nadrabiał miną. „Ostra jest”, usłyszała zza pleców, kiedy opuszczała bar. Mogłaby przysiąc, że powiedział to Sebastian, który znowu zgrywał twardziela. Miała to gdzieś.

Martyna i Sebastian

Martyna czekała na ławce w Jarze Południowym, coraz bardziej się niecierpliwiąc. Cóż było tak pilnego, że Sebastian musiał się z nią spotkać akurat teraz, niemal w środku nocy? Musiała wyjść z hotelu i pędzić tu na złamanie karku tylko po to, by koniec końców na niego czekać. A przecież z baru wcale nie miał tak daleko, najwyżej dziesięć minut piechotą. Chyba że tak się nastukał, że ledwo szedł. Czasami mu się zdarzało.

Ten związek męczył ją już od dłuższego czasu. A tkwiła w nim trochę na przekór sobie, buntując się w ten sposób przeciwko starym – głównie ojcu. Starszy chłopak, trochę szalony i bez zasad, ale też bez planu na życie. Zdawała sobie sprawę, że z Sebastianem żadnej sensownej przyszłości mieć nie będzie. A jeśli już, to wyobrażała ją sobie w ponurych barwach: ona z gromadką dzieci, a on z piwem w rękę

przed telewizorem. Przynajmniej jednak mogła się komuś wygadać. Sebastian był, jaki był, ale zawsze miał czas, żeby jej wysłuchać.

Jar Południowy latem nie był aż taki przerażający i ponury jak zimą czy jesienią. Mimo wszystko miasto nie zadbało o dobre oświetlenie tego miejsca, więc czasem strach było tędy chodzić po zmroku. Martyna się nie bała, bo wiedziała, że Sebastian zaraz przyjdzie i w razie czego obroni ją przed całym światem. *Taaa...*, pomyślała ironicznie, gdy nagle doszła do wniosku, że prędzej sama by się obroniła. Seba udawał twardziela i na takiego wyglądał, ale muchy by nie skrzywdził. Nawet kogoś, kto chciałby skrzywdzić ją. Taka ironia losu.

Jej krzyk nagle poniósł się pomiędzy drzewami, kiedy poczuła, że ktoś chwyta ją od tyłu za ramiona. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła twarz Sebastiana. Miała ochotę go uderzyć, ale jednocześnie cieszyła się, że to on, a nie żaden zboczeniec.

- Zrób to jeszcze raz, a z nami koniec - zagroziła.

Złość szybko jej jednak przeszła, gdy się do niej uśmiechnął. Miał w uśmiechu coś takiego, że zawsze potrafił ją rozbroić. Nawet kiedy zgrywał posępnego twardziela, w kącikach ust zawsze błąkał mu się ujmujący półuśmiech. A przynajmniej ją zawsze ujmował.

- Gadałem z psami - powiedział poważnie.

Martynie zrzędała mina.

- Co?! - wydukała, zaskoczona.

- Spokojnie, nie poszedłem do nich sam. Jakaś policjantka zaskoczyła mnie w kiblu w Żywieckim. Nie mogłem odmówić, powiedzmy, że była dość... skuteczna - nie chciał zdradzać zbyt wielu szczegółów. Wciąż był zażenowany tym, co zaszło.

I zły na siebie, że tak łatwo dał się podejść.

Na szczęście Martyna nie wnikała w szczegóły.

- I co teraz? - zapytała zaniepokojona.

- Nic, uwierzyła w to, co jej powiedziałem - skwitował.

- Naprawdę?

- Tak - był pewien swego.

- To dobrze. Chociaż tyle - spadł jej kamień z serca.

Sebastian opowiedział pokrótce, jaką historię przedstawił policjantce. Po wszystkim dziewczyna opadła na ławkę.

- Pewnie już dzisiaj nie zasnę, ale muszę wracać, zanim ojciec się zorientuje, że wymykam się w nocy z hotelu. O ile w ogóle on sam tam jest. Mało go interesuję, jak zwykle - powiedziała ponuro, choć bez nuty zawodu w głosie.

- Odprowadzę cię - zaproponował Sebastian.

Była mu wdzięczna. Wprawdzie chciała w spokoju pomyśleć, ale nie uśmiechało jej się wracać samej po nocy. Ujęła go więc pod rękę.

* * *

7 lipca 2019 roku

Od ostatniej awantury, którą urządził jej ojciec, minęło dobrych kilka tygodni. „Nie będziesz tu spraszać żadnych chłopaków”, dał się jak opętany, gdy zobaczył Sebastiana w drzwiach wejściowych. „Co ludzie powiedzą? I jaki ty przykład dajesz rodzeństwu!”. I tak dalej w ten deseń. Podchodził do sprawy bardzo poważnie, o czym doskonale wiedziała. Do samego końca się łudziła, że nie odstawi szopki, gdy już dojdzie do spotkania z jej chłopakiem. Ale odstawił. Jak zwykle.

Martyna z westchnieniem rzuciła się na łóżko. Pasma czarnych włosów rozsypały się po pościeli, a koszula nocna nieznacznie podniosła. Miała pod nią koronkową bieliznę. Nie bez powodu, czekała na Sebastiana.

Po pierwszej i ostatniej awanturze umówili się, że chłopak będzie do niej przychodził pod osłoną nocy, wspinał się na pobliskie drzewo i po jednej z dłuższych gałęzi podchodził blisko okna. Tam już,

z pomocą dziewczyny, wdrapywał się do środka. Powrót był nieco łatwiejszy – opuszczał się na rękach, jak najniżej zdołał, i wskakiwał w rośliny pielęgnowane przez jej matkę. O dziwo, ta się nie zorientowała, czemu jej piękne krzewy są w opłakanym stanie. Winę zwałała na szkodniki. Tylko raz Seba upadł tak nieszczęśliwie, że skrzył kostkę. Wtedy musieli zrobić sobie przerwę. Poza tym ich plan działał znakomicie. Rodzice nie zaglądali do niej często, więc nie musiała się martwić, że nagle któreś pociągnie za klamkę. Na wszelki wypadek zamykała jednak drzwi na klucz. Pewnie by dopytywali, co ma do ukrycia, ale coś by naściemniała.

Zazwyczaj dwa razy sprawdzała, czy zamknęła drzwi. Raz zdarzyło jej się zapomnieć i do pokoju wszedł Wiktor. *Dobrze, że on*, pomyślała, uśmiechając się na samą myśl o małym szkrabie. Był jej oczkiem w głowie. Widział Sebastiana, ale umówili się, że będzie to ich sekret o koledze, który przyszedł z nią porozmawiać. I Wiktor nic nikomu nie pisał. Tak przynajmniej jej się zdawało, w końcu nikt jeszcze nie zrobił jej awantury, że wpuszcza nocą chłopaka do domu.

Wspomnienie historii z Wiktorkiem kazało jej się podnieść z łóżka i ponownie sprawdzić, czy przekreśliła klucz. Tak dla pewności. Tym razem miała przed schadzką mniejsze obawy niż zwykle, bo ojciec pracował w nocy. Nie chciała jednak zmieniać rutyny wprowadzonej z Sebastianem.

Było już bardzo ciemno, gdzieś w oddali zaszczekał pies. Sebastian powinien być na miejscu już jakiś czas temu. Nie przejęła się tym jednak, bo często się spóźniał. Czowała, że robi się śpiąca, więc otworzyła okno pokoju. Tak na wszelki wypadek, żeby chłopak mógł sam wejść, nawet gdyby przysnęła.

Powracały do niej wciąż te same dręczące, pełne żalu myśli. *Dlaczego ojciec musi taki być? Upierdliwy i zasadniczy. Czemu nie może być jak mama? A co by to właściwie zmieniło?*, pomyślała gorzko. Matka była mniej surowa, mimo to nigdy nie potrafiła albo nie chciała stanąć po jej stronie. Z biegiem czasu niechęć do ojca przeszła u niej także

w niechęć do matki. Czuła, że straciła w niej oparcie, a może nigdy go nie miała. *Bierność jest przyzwoleniem*, powtarzała sobie. Żałowała, bo kiedyś były z matką blisko. Przynajmniej tak jej się zdawało. Po raz kolejny sprawdziła godzinę w telefonie. *Gdzie jest ten Sebastian? Może jednak nie przyjdzie?*, zastanawiała się. W końcu nie mogła już zapanować nad sennością. Powieki stawały się coraz cięższe, aż w końcu całkowicie się zamknęły. Zasnęła.

Tylko otwarte okno raz za razem obijało się o futrynę poruszane podmuchami wiatru. Hałasy nie były jednak na tyle głośne, by ją obudzić.

Rozdział X

Coraz większe długi

16 września 2019 roku

Artur

Zanim Artur zdecydował się pojechać do kościoła w Bziu, poprosił speców informatycznych z policji o ustalenie, kto do niego dzwonił nocą z rewelacją o ubezpieczeniu Zawalskiego. Numer był zastrzeżony, ale policjanci mają swoje sposoby. Kowalczyk, partner Szewczyk, miał trzymać rękę na pulsie w tej sprawie. W normalnej sytuacji prokurator zleciłby to Karolinie, ale teraz nie mógł tego zrobić. Nie czuł się gotowy, by jej zaufać. Trudno, jest jak jest.

Przez chwilę stał oparty o samochód, kolejny raz układając sobie w głowie pytania, które chce zadać proboszczowi. Westchnął głęboko i ruszył w stronę świątyni. Po tym, czego się dowiedział od kochanki Zawalskiego, miał z księdzem Jakubczakiem do pogadania. Proboszcz nie był z nim szczerzy. Bardzo ciekawe, co ukrywał i dlaczego.

Wszedł do kościoła, kiedy trwała msza odprawiana przez Jakubczaka. Zerknął na zegarek. Miał trochę czasu, więc mógł zostać do końca, by potem rozpytać księdza. Zresztą bez sensu było jeżdżenie tam i z powrotem do Bzia. Inne sprawy mogły tego dnia poczekać.

Usiadł w jednej z ławek z tyłu. Akurat załapał się na kazanie dotyczące związków pomiędzy osobami tej samej płci. Pokręcił głową. W Polsce wciąż temat tabu. W małych miejscowościach tym bardziej.

Jakubczak głosił: „To nie są wartości Kościoła, moi kochani. Związki homoseksualne są szyderstwem wobec Boga. Co więcej, są grzechem”. Wiedział, co się dzieje w kraju – ciągłe ataki jednych na drugich, szczucie polityczne, ideologiczne, ale też w imię wiary, którą ponoć trzeba chronić. Starał się patrzeć na to trzeźwym okiem i trzymać się z boku, chociaż nie było mu łatwo, skoro pracował w prokuraturze. Pewne rzeczy ciągle nie mieściły mu się w głowie. Jak ksiądz może tak wprost krzewić nienawiść do innych? Gdzie tu wartości chrześcijańskie? Gdzie miłosierdzie?

W dzień powszedni nie było wielu wiernych, więc po mszy kościół szybko opustoszał. Ksiądz go zauważył i podszedł bliżej. Zdaje się jednak, że nie ucieszył się na jego widok.

– To znowu pan prokurator – rzucił zamiast przywitania.

– Piękne kazanie. Takie... miłosierne – burknął Rogalski.

– Dziękuję – proboszcz chyba nie wyłapał albo nie chciał wyłapać ironii. – W czym tym razem mogę pomóc?

– Nie był ksiądz ze mną do końca szczery. Albo zwyczajnie kłamał.

Proboszcz skrzywił się i na moment odwrócił głowę. Milczał.

– Chce ksiądz rozmawiać tutaj czy... – prokurator urwał i wskazał dłonią w stronę kancelarii parafialnej.

Ksiądz bez słowa ruszył w tamtą stronę. Usiedli i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pierwszy nie wytrzymał duchowny, który spytał oficjalnym tonem:

– Co pan prokurator konkretnie miał na myśli?

– Mówił ksiądz, że Iwona Turak jest przyjaciółką parafii, ale nie wspomniał, że również kochanką Waldemara Zawalskiego.

– Nie wiedziałem o tym – rzucił szybko.

Zdecydowanie za szybko.

Kłamczuszek, przemknęło Rogalskiemu przez głowę.

– Myślę, że ksiądz wiedział, ale zostawmy to – zaczął. – A co z problemami finansowymi Zawalskiego? Z jednej strony hojnie wspierał

kościół, z drugiej był goły i wesoły, jak się okazuje. To się zupełnie nie składa w całość. Może wszedł z księdzem w jakiś układ finansowy?

- Ja, ja... - Jakubczak zaczął się jękać. - Ja sobie wypraszam. Finanse parafii są klarowne i czyste.

Taaa, myślał Artur, tak jak ty masz w sobie czystą miłość chrześcijanina.

- Może sobie ksiądz oczywiście wypraszac, ale wiem, że Waldemar Zawalski ubezpieczył rodzinę tuż przed tragicznym pożarem - Artur trochę blefował, bo jeszcze nie potwierdził tej informacji. - I tu się zaczyna robić bardzo poważnie... - urwał. - Chce ksiądz być zamieszany w taką aferę?

Proboszcz milczał.

- Poza tym wiem też, że się kłóciliście, mam na to świadków - wypalił Rogalski. - Pewnie o pieniądze - insynuował.

Jakubczak zalał się purpurą, choć wcale nie dlatego, że właśnie awansował w kościelnej hierarchii.

- Nie o wszystkim, o czym pan mówi, wiedziałem - wydusił. - Zdarzało mi się pożyczać pieniądze Waldkowi, gdy tego potrzebował. Ale zazwyczaj szybko oddawał.

- Skąd pochodziły środki na pożyczki?

Cisza.

- Już wiem. Z pieniędzy wiernych - odpowiedział sam sobie Rogalski. - To dlatego nie chciał się ksiądz do niczego przyznać i unikał tematu.

- Z funduszu kościelnego - poprawił go Jakubczak. - Proszę zrozumieć, gdyby to wyszło na jaw, straciłbym wiarygodność i wsparcie innych parafian - mówił tak, jakby chciał wzbudzić w Rogalskim litość. - Zaczęło się od tego, że to Waldemar wspierał nas. Zapłacił częściowo za te schody na przykład. Dopiero później sam przyszedł po pomoc, a mnie było głupio odmówić, skoro do tej pory Kościół mógł na niego liczyć. Potem przychodził coraz częściej i po coraz większe kwoty. Zacząłem podejrzewać, że wydaje te pieniądze na własne przy-

jemności, zwłaszcza gdy odkryłem jego romans. A właściwie romanse. Iwona nie była pierwsza, były też inne parafianki.

Pieprzony casanova. Bóg w sercu, diabeł na ramieniu, pomyślał Rogalski, ale pozwolił księdzu kontynuować.

– Szóstego sierpnia też przyszedł do kościoła, wieczorem. Znowu chciał pieniędzy. Odmówiłem i tym razem nie dałem się przekonać. Wtedy zagroził, że upubliczni to, że traktowałem fundusz kościelny jak kasę pożyczkową.

– A traktował ksiądz? Pobierał odsetki?

– Oczywiście, że nie, wypraszam sobie takie insynuacje – proboszcz sprawiał wrażenie oburzonego. Czy szczerze? Tego Artur nie był pewien. – To były właściwie tylko takie przyjacielskie pożyczki.

– I co było dalej?

– Waldemar groził mi tak nie po raz pierwszy, ale tym razem się nie ugiąłem. Wściekł się, bałem się, że mnie uderzy. A potem wypadł jak szalony z kościoła.

– Zaraz, kiedy to było? – Rogalski zaczął kojarzyć daty.

– Szóstego sierpnia – powtórzył proboszcz.

– Dzień przed pożarem u Zawalskich?!

Ksiądz zbladł, a Artur czuł, jak kolejne elementy układanki wskazują na swoje miejsce.

Artur

Przez całą drogę do biura zastanawiał się, czy powinien postawić księdzu zarzuty składania fałszywych zeznań albo chociaż utrudniania śledztwa. Czy rzeczywiście próbował mataczyć, czy był zwyczajnie naiwny? Czuł jednak, mimo że nie pałał do niego przesadną sympatią, że proboszcz nie miał złych intencji. Pomijając oczywiście cały proceder wyciągania pieniędzy z funduszu kościelnego, choć i to można było logicznie wyjaśnić. Pewnie czuł się zobowiązany wobec Zawal-

skiego, skoro ten wcześniej sponsorował niektóre inwestycje w parafii. Zawalski oddawał pieniądze, więc nie było problemu. Do czasu. Jak to bywa z pieniędzmi.

W tej sprawie wszystko powoli zaczynało się układać w całość poza paroma elementami. Nadal pozostawało bowiem kilka niejasnych wątków. Po pierwsze, Artur nie rozgryził do końca córki Zawalskiego, Marty. I jej tajemniczego chłopaka, o którym do tej pory niewiele wiedział. Policjantom wciąż nie udało się go namierzyć. Po drugie, była jeszcze Karolina Szewczyk, do której ciągle wracał myślą. Czy ta cała sieć związków i zdarzeń w jej przypadku to zwykły zbieg okoliczności? Naprawdę chciał w to wierzyć. A może jest coś jeszcze, co zwyczajnie przeoczył?

Próbował ułożyć sobie to wszystko w głowie, ale nie potrafił. Na ten moment największe podejrzania padały na Waldemara Zawalskiego, którego trzeba będzie kolejny raz przesłuchać. A może nawet wystąpić o nakaz aresztowania. Pytanie tylko, czy to, co ustalił Rogalski, jest wystarczająco mocne, by sąd zgodził się na areszt. Może przecież usłyszeć, że to tylko poszlaki.

Chciał na spokojnie przeanalizować wszystko, czego się dowiedział. Zawalski na pewno miał motyw, jednak czy miał też sposobność?

– Postawmy sprawę hipotetycznie – zaczął mówić do siebie. – Waldemar Zawalski nie czuje się szczęśliwy w związku, więc zaczyna romansować z innymi kobietami. Na początku ma pieniądze, ale płaci za kolacje, wynajmowane pokoje, a to wszystko kosztuje. Znajduje więc kolejne ofiary w parafii. Szuka kobiet, które mieszkają same. Pewne koszty odchodzą, ale niektóre wciąż pozostają. No i trafia na wścibską Iwonę, dzięki której wiemy, że ma problemy finansowe. Może nawet długi? Zapożycza się u księdza, bierze coraz więcej i częściej. Zresztą może nie tylko u księdza? Wreszcie proboszcz się buntuje i odcina Zawalskiego od pieniędzy. Facet wpada więc na genialny pomysł ubezpieczenia rodziny, jeśli wierzyć kobiecie, która do mnie

zadzwoń. Dzień przed pożarem, pozostawiony przez księdza bez wsparcia, wpada w panikę i zaczyna planować rozwiązanie awaryjne. Następnego dnia podkłada ogień, zabija bliskich, którzy i tak działali mu na nerwy, zabiera kasę i zaczyna nowe życie. Ale z drugiej strony... zrobić coś aż tak potwornego, zabić żonę i dzieci tylko dla pieniędzy i spokoju? Artur sporo w życiu widział, ale to nie mieściło mu się w głowie...

W tych domniemaniach wciąż nie wszystko się kleiło. Jak Waldek dostał się do domu, skoro rodzina pozamykała go na wszystkie spusty? Jak podłożyłby ogień w tyłu miejscach i pozostał niezauważony? Dlaczego nie zadbał o to, by okno w pokoju Martyny było zamknięte jak pozostałe? Podejrzane, że ocalała właśnie ta córka, której ojciec, jak się zdawało Arturowi, nie lubił. Tym bardziej zadbałby o jej śmierć. Pozostawała też kwestia dyżuru w szpitalu. Przecież pielęgniarki potwierdziły, że Zawalski był w pracy. Jak to wyjaśnić? Znalazł jakiś sposób, by się potajemnie wymknąć? A może miał współznika?

Artur zaparkował przed prokuratą i wszedł do środka. Przywitał się z sekretarką, a po wejściu do biura zauważył karteczkę. *Chciałem ci to przekazać osobiście, ale cię nie było, a nie miałem czasu czekać. Zadzwoń. Kowalczyk.* Przewrócił oczami, choć koniec końców uznał, że może to i lepiej, że się minęli, bo chciał teraz pobyć sam i pomyśleć. Zaraz po tym, jak zadzwoni, rzecz jasna.

- Cześć. Czegoś się dowiedziałeś? - zapytał od razu.

- Tak, słuchaj - Adam był konkretny. - Informatykom udało się ustalić, kto do ciebie dzwonił. Kobieta pracująca w ubezpieczalni. Pojechałem do niej i udało mi się z niej wydusić, dlaczego to zrobiła. W bazie wykryliśmy, że Zawalski naprawdę ubezpieczył rodzinę niedługo przed pożarem.

Rogalski czuł narastającą ekscytację.

- Teraz najlepsze, słuchaj. Wykupił dodatkową opcję: podwójna wypłata na wypadek śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku. I ubezpieczenie domu.

– Co za gnój – prokurator aż się zagotował. – Czemu nie sprawdziliście tego wcześniej?

– Świetna robota, Adam, wielkie dzięki – rzucił policjant ironicznie. – Nikt nam wcześniej nie kazał aż tak dokładnie prześwietlać Zawalskiego.

– Dobra, nieważne. Faktycznie świetna robota – Rogalski uznał, że nie będzie denerwował policjanta.

Rozłączył się i rozparł w fotelu. *Jedno się potwierdziło, i to jeszcze jak*, pomyślał z satysfakcją.

* * *

2 czerwca 2019 roku

Magdalena Zawalska była naprawdę podekscytowana. Wreszcie mieli pojechać całą rodziną na wakacje życia! Wierzyła, że to nie tylko poprawi ich relacje z dziećmi, lecz także sprawi, że ich małżeństwo wejdzie w lepszą fazę. Wiedziała, że ostatnimi czasy nie układało się między nimi najlepiej. Czowała, że Waldek się od niej oddala.

Co prawda biletów na egzotyczny urlop jeszcze nie kupili, bo planowali wyjazd dopiero we wrześniu i nie zdecydowali, który kraj wybiorą, ale chciała mieć pewność, że będą odpowiednio ubezpieczeni. Tak na wszelki wypadek. Ucieszyła się, kiedy Waldek ją pochwalił za dobry pomysł. Zaproponował nawet, że najlepiej wykupić dodatkową polisę. Wyczytał w internecie, że nieszczęśliwy wypadek, który – choć może się zakończyć tragicznie – nie zawsze musi oznaczać śmierć, a ma najlepsze warunki ubezpieczenia.

Sama myśl o tym, że mogłaby stracić kogoś z rodziny, napawała ją przerażeniem. Wyjaśnienia męża uspokoiły ją jednak na tyle, że na wszystko się zgodziła. *Waldek wie, co robi, zna się na tym lepiej niż ja*, przekonywała samą siebie.

– Myślałeś już, który kraj będzie najlepszy? – zagaiła, kiedy jechali sfinalizować umowę ubezpieczeniową.

– Jeszcze mamy sporo czasu, kochanie, spokojnie – odpowiedział, studząc nieco jej zapał. – Trzeba spokojnie przeanalizować różne oferty i wybrać najlepszą dla nas.

– No tak, ale ubezpieczenie załatwiamy już dziś – zauważyła.

– Takie rzeczy trzeba załatwić z wyprzedzeniem.

Postanowiła zostawić mężowi formalności, bo przecież to on zajmował się nimi od zawsze. Rachunki, ubezpieczenia, kredyty, rozliczenia podatkowe – to było na jego głowie. Tłumaczył, że ona zajmuje się domem i dziećmi, więc chętnie odciąży ją we wszystkich urzędowych sprawach. Kochany. Uznała, że ona skupi się na wybraniu odpowiedniego miejsca na wypoczynek. Tak, by wszyscy byli zadowoleni.

Patrzyła na Waldka z uśmiechem. Wciąż była w nim zakochana, a dziś ekscytacja spowodowana planowaną podróżą sprawiała, że czuła się trochę jak nastolatka. Od lat donikąd nie wyjeżdżali, bo dzieci, bo dom, bo trzeba spłacić kredyt. Brakowało jej wspólnych wakacji.

W agencji ubezpieczeniowej powitała ich kobieta w średnim wieku ubrana w schludną szarą garsonkę.

– Chcielibyśmy ubezpieczyć rodzinę – powiedział Waldek.

– Pan Waldemar Zawalski? Rozmawialiśmy przez telefon – stwierdzenie kobiety nieco zaskoczyło Magdę.

– Tak, tak, właśnie – odpowiedział, a pewność w jego głosie tym bardziej ją zdziwiła.

Zaczął załatwiać ubezpieczenie już wcześniej, jeszcze zanim wspólnie podjęli decyzję? Pomyślała, że zawsze był zapobiegliwy i lubił planować z wyprzedzeniem. Nic niezwykłego.

– Czyli ubezpieczenie rodziny i dodatkowa polisa na wypadek śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku... – wyliczała pracownica ubezpieczalni, a Magda na dźwięk słowa „śmierć” aż się wzdrygnęła. – I ubezpieczenie domu.

- Domu? A po co domu? - wypaliła.

- Mówiłem ci o tym, skarbie, cały pakiet ubezpieczeń po prostu będzie tańszy. To się zwyczajnie opłaca. A dobrze wiesz, jakie ostatnio mieliśmy problemy z tymi spięciami w instalacji elektrycznej - wyjaśnił Waldek.

Nie pamiętała, żeby rozmawiali na ten temat, ale być może zapomniała o tym w natłoku codziennych spraw. Pokiwała głową ze zrozumieniem, bo mąż miał przecież rację. W ich domu szwankowała instalacja elektryczna, mieli jakieś zwarcia. A koszty napraw musieli pokrywać sami, bo do tej pory dom nie był ubezpieczony. *Może to dobry moment, by naprawić ten błąd*, myślała sobie.

- No tak, teraz pamiętam - skłamała i uśmiechnęła się. - Dobrze, załatwmy wszystko za jednym razem.

Wyłączyła się niemal do końca spotkania, kiedy Waldek ustalał szczegóły umów i podpisywał papier za papierem. Agentka też niewiele mówiła, wskazywała jedynie kolejne miejsca, w których trzeba było parafować. Magda skupiła się, kiedy też musiała złożyć podpisy, ale nie wnikała w poszczególne punkty zawieranych umów. Waldek wiedział, na co zwracać uwagę w dokumentach. Sama myślała tylko o tym, jak świetnie będą się bawić na wymarzonych wakacjach.

Rozdział XI

Coś jakby przemiana

17 września 2019 roku

Karolina

Karolina robiła staranny makijaż, klnąc pod nosem, bo zupełnie wyszła z wprawy. Kiedy ostatnio tak się malowała? Nie miała pojęcia. Dzisiaj nie mogła wyglądać jak siedem nieszczęść, musiała sprawiać wrażenie osoby trzymającej swoje życie w ryzach. Silnej, zwartej i gotowej. Koniec z użalaniem się nad sobą, abnegacją i ucieczkami w chemiczne sny. Tak postanowiła, przewracając się przez pół nocy w łóżku. Coś się w niej przełamało. Oby na stałe.

Po tym wszystkim, co udało jej się ustalić w sprawie Zawalskich, wliczając w to przede wszystkim informacje od chłopaka Martynty, wiedziała, że musi porozmawiać z Rogalskim, naprostować ich relacje. Konfrontacja z prokuratorem nie była dla niej łatwa, choć do tej pory traktowała go z góry. Wierzyła, że informacje, które zdobyła, pomogą jej wrócić do sprawy pożaru w Bziu. I przede wszystkim oczyszczą ją z bzdurnych podejrzeń. *A jeśli nie, to Rogalski okaże się bucem, za jakiego i tak go miałam*, skwitowała w myślach, ciskając pędzelek do umywalki. *Koniec z makijażem, mam tego dość*, postanowiła i poszła się ubrać.

Chciała wpaść do gabinetu prokuratora bez zapowiedzi, by nie dać mu czasu na przygotowanie się do rozmowy. A nuż znowu wymyśliłby

jakieś bzdurne argumenty. Poczła w sobie dość energii, by nawet posprzątać mieszkanie. Z grubszą. I postanowiła pozbyć się chociaż części pamiątek po poprzednim życiu, które skończyło się gwałtownie lata temu. Siły dodawało jej też wspomnienie rozmowy z poprzedniego wieczoru. Wreszcie zadzwoniła do Adama Kowalczyka, by spokojnie i szczerze z nim pomówić. W robocie nie było na to czasu. I tak długo ignorowała jego wiadomości, które od czasu nieformalnego odsunięcia jej od sprawy gromadziły się w telefonie i skrzynce mailowej. „Ja ci wierzę, on też musi uwierzyć”, powtarzał jej partner. Był dobrym przyjacielem, zawsze mogła na niego liczyć.

Zatrzymała się przy dużym worze ze śmieciami ustawionym przy drzwiach wejściowych. Wpatrywała się w jasnoniebieski worek tak, jakby utonęła w czyichś błękitnych oczach. *Czas na dobre pożegnać się z przeszłością*, stwierdziła. Chwyciła wór i wyszła z mieszkania.

Dzień był ciepły i słoneczny. Ludzie szli do pracy, czekały psy, było słycać warkot przejeżdżających samochodów. Wokoło toczyło się zwykle, codzienne życie. Karolina zarzuciła worek na plecy i poszła w stronę śmietnika. Wydawał się jej ciężki, mimo że był wypełniony papierem, starymi gazetami, wydrukami z portali internetowych. Miał jednak dodatkowy ciężar jej wspomnień.

Karolina

Przykra niespodzianka, tak to się chyba nazywa. Ignorując sekretarkę, Karolina wparowała do gabinetu Rogalskiego, który okazał się pusty. *I mój misterny plan poszedł się czesać*, skwitowała w myślach. Wróciła do sekretariatu, by się dowiedzieć, gdzie prokurator się podziewa.

– Szefa nie ma, odbiera wolne. A raczej, jak go znam, pracuje z domu – powiedziała młoda kobieta, która sprawiała wrażenie poirytowanej dziwnym zachowaniem policjantki.

Shewczyk zdała sobie sprawę, że słowo „wolne” już dawno wyrzuciła ze słownika.

– Aha. Dzięki – wymamrotała i wyszła.

Wolne. Są takie zawody, w których właściwie nigdy nie ma się wolnego. Służby mundurowe, ratownicze, które nawet w czasie urlopu pozostają w gotowości. Policjanci, strażacy, ratownicy medyczni, prokuratorzy... Dziennikarze wypatrujący gorących tematów podczas popołudniowego spaceru, a wieczorem przeglądający wiadomości w sieci. Pisarze wyczekujący każdej wolnej chwili, by napisać kolejne strony książki. Takich zawodów było jeszcze więcej. A to wiązało się z chronicznym stresem i zmęczeniem. Karolina zdążyła się już do tego przyzwyczaić. Poza tym świadomie uciekała w pracę, żeby nie myśleć o tym, co ją spotkało. I tylko czasami była taka cholernie zmęczona.

Znowu się nad sobą użalam, skarciła się w myślach, wsiadając do samochodu. Uznała, że plany są po to, by je modyfikować, więc postanowiła rozmówić się z Rogalskim w jego domu. Gdy tam jechała, jeszcze raz się zastanowiła, jak poprowadzić rozmowę. Nie zamierzała się kajać i na siłę udowodniać, że nie jest wielbłądem. Z drugiej strony, jeśli ma go przekonać, sama musi mieć bardziej otwarty umysł i spróbować go zrozumieć. A nie od razu się na niego wściekać. Na pewno nie tędy droga.

– Będę buddyjsko spokojna – powiedziała na głos, gdy wysiadła z samochodu zaparkowanego przed blokiem Rogalskiego.

Artur i Karolina

– Karolina? – mina Rogalskiego, gdy ją zobaczył, była bezcenna.

Przez chwilę stał w milczeniu. Zdziwiła go nie tylko obecność policjantki, lecz także jej wygląd – miała staranny makijaż i czyste, odprasowane ciuchy. A zwykle nosiła się jak abnegatka.

Wreszcie się ocknął i powiedział:

– Proszę, wejdź.

Przypomniał sobie ich poprzednią rozmowę, bardzo nieprzyjemną. Czyżby zapowiadała się dogrywka?

– Przepraszam, że cię nachodzę, podobno masz wolne – siliła się na uprzejmość. – Ale mam ważną sprawę.

– Właśnie odpoczywałem, ale nie szkodzi – zażartował, wskazując na stosy papierów porzrzucanych na biurku i w jego okolicach. Notatki, dokumenty, głównie dotyczące sprawy Zawalskich, ale nie tylko. Musiał podomykać formalności, na które w ciągu zwyczajnego dnia pracy brakowało czasu. – Napijesz się czegoś? – zaproponował.

– Chętnie. Może kawy? – naprawdę miała na nią ochotę.

Rano była tak zajęta porządkami, że zapomniała i o śniadaniu, i o kawie.

– Jasne, robi się.

Poszedł do kuchni i włączył ekspres. Wyjął mleko z lodówki, by zrobić sobie latte. Mocną, czarną kawę pił już z samego rana.

– Czuj się jak u siebie – zawołał do policjantki.

Karolina rozglądała się po mieszkaniu, bo nigdy wcześniej tu nie była. Schludnie. Poza bajzłem na biurku Artur utrzymywał mieszkanie w porządku, choć tu i ówdzie dało się zauważyć kurz. *Człowiek zapracowany nie ma czasu na sprzątanie*, pomyślała, przypominając sobie o tym, że jeszcze niedawno jej lokum było w gorszym stanie. Znacznie gorszym.

– Coś nowego w sprawie Zawalskich? – zapytała ostrożnie.

– Sporo nowych rzeczy, ale nie chcę ci tym zawracać głowy, powinnaś teraz odpocząć – traktował ją dosyć protekcyjnie.

Uprzątnął nieco papiery i odłożył je na kanapę, by postawić na stoliku dwie filiżanki kawy. Usiadł. Milczeli. Atmosfera stała się tak gęsta, że można by ją było kroić nożem.

– Właściwie to mam dość odpoczynku od sprawy Bzia – Szewczyk wzięła głęboki oddech i też usiadła. – Chciałam z tobą pogadać o tym wszystkim.

Powaga w jej głosie, ale też pewnego rodzaju łagodność, jaką rzadko słyszał, sprawiły, że postanowił jej wysłuchać.

- To będzie moje wyznanie. Można by powiedzieć: spowiedź – zażartowała, choć w kontekście sprawy Zawalskich i zawilości kościelnych z nią związanych zabrzmiało to dość dwuznacznie.

- Żaden ze mnie ksiądz – odpowiedział żartem.

Tylko delikatnie się uśmiechnął. Czekał.

Karolina wzięła głębszy oddech i zaczęła mówić:

- Zawalski próbował ratować moją córkę po wypadku, do którego doszło w pewnym stopniu przeze mnie.

Niemal od razu próbował jej przerwać, bo to nie była jej wina, ale uciszyła go gestem dłoni.

- To jednak nieprawda, że żywiłam do niego nienawiść. Robił, co mógł, ale sprawa była z góry przegrana. Prawdą jest natomiast to, że bardzo chciałam, by sprawca został skazany, i miałam do ciebie żal, że nie zdążyłeś doprowadzić tej sprawy do końca, zanim ten gnój powiesił się w więziennej celi. Nie szukałam zemsty. Na nikim. Zamiast tego wołałam zamknąć się w sobie i tłumić emocje, którym tylko raz na jakiś czas udawało się wymykać na zewnątrz.

Zauważył, że jej oczy wilgotnieją.

- Natknęłam się na Zawalskiego w sklepie, może jakiś miesiąc przed pożarem. Był z najmłodszym synkiem... On miał dzieci, a ja... – przerwała na chwilę. – To o wszystkim mi przypomniało. Później, gdy doszło do tej tragedii i znowu go zobaczyłam... Wiedziałam, że prowadzenie jego sprawy nie jest może najlepsze dla mojego zdrowia psychicznego, ale chciałam to zrobić. Chciałam w jakiś pokretny sposób odkupić winy za to, co się stało. Myślałam, że jeśli rozwiążę zagadkę tego pożaru, doprowadzę sprawę do końca, uda mi się domknąć przeszłość i zacznę w końcu żyć, a nie tylko... istnieć. Spodziewałam się jednak, jak zareagujesz. I że możesz mnie odsunąć „dla mojego dobra”. Więc się nie przyznałam, czym koniec końców doprowadziłam do tego, że zacząłeś mnie o coś podejrzewać. Powiem ci, że jak spjrzałam na wszystko z dystansu... Miałeś prawo tak myśleć.

Po jej policzku spłynęła łza.

- Na moją korzyść raczej nie przemawiało to, że składałam w mieszkaniu gazety i wycinki artykułów dotyczące wypadku mojej rodziny. W dniu, w którym czasowo odsunąłeś mnie od sprawy, jeden z nich spaliłam nad umywalką. Tak niby symbolicznie. Ale ze mnie dramatyczna baba - zaśmiała się przez łzy.

Artur miał taką minę, jakby nie do końca wiedział, jak zareagować na te wyznania.

- Chciałam cię przeprosić za to, że nie byłam do końca szczerą. I wiem, że pewnie myślisz teraz, że przywrócenie mnie do sprawy może pogorszyć mój stan, ale się mylisz. Czuję, że to może mi pomóc się uporać z demonami przeszłości. Nie odbieraj mi tego, proszę - wydusiła z siebie. - Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy. Beze mnie i bez tego, czego dowiedziałam się w ostatnich dniach, nie dasz rady, gówniarzu - głośno parsknęła.

Rogalski był wyjątkowo spokojny. Wprawdzie nagłe zmiany nastroju Karoliny trochę go dziwiły, ale dały się wytłumaczyć emocjami, które nią targaly. Przeczucie jednak go nie myliło. Jakaś jego częśćka wierzyła przez cały czas, że domysły dotyczące Karoliny są nieprawdziwe. Przesadzone. Teraz, gdy funkcjonariuszka się przed nim otworzyła, zdobył pewność. Wierzył jej. I choć to wszystko, co działo się teraz w jego mieszkaniu, nie do końca można było nazwać profesjonalnym, czuł, że to nie jest tylko rozmowa służbowa. Że chodzi o coś więcej.

- Karolina, ten wypadek to nie była twoja wi... - zaczął, ale mu przerwała: - Wiem. Teraz już wiem, ale wciąż potrzebuję czasu. Uporam się z tym - zapewniła go.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Czego się dowiedziałas? - zmienił temat

- Ach, ta dzisiejsza młodzież... - parsknęła. - Mówię o Martynie Zawalskiej i jej chłopaku, rzecz jasna - nagle spoważniała. - Sebastian Grogowski, tak się nazywa. Przesłuchałam go w kiblu, nie pytaj, długa historia - machnęła ręką. - W dniu pożaru był u Marty, a przynaj-

mniej tak twierdzi. Gdy wychodził przez okno, pomiędzy drzewami zobaczył jakąś osobę, która obserwowała dom. Ale jej nie rozpoznał. Mówiąc szczerze, obstawiam, że się wystraszył, bo tylko udaje twarziela – dzieliła się informacjami, licząc na wzajemność.

Nie przeliczyła się.

Rogalski wziął kolejny łyk kawy i zaczął mówić:

– To słuchaj tego: dostałem anonimowy telefon z ubezpieczalni i okazało się, że Waldemar Zawalski niedługo przed pożarem ubezpieczył się od nieszczęśliwego wypadku. Gdyby nastąpiła śmierć kogoś z rodziny, miał otrzymać podwójną wypłatę. Mało tego, artykuł w „Dzienniku Zachodnim” okazał się prawdziwy – Zawalski miał kochankę. A nawet kochanki, jeśli wierzyć księdzu z Bzia – nie krył ekscytacji. W końcu mógł się podzielić wiedzą z kimś, kto pomoże mu poukładać te wszystkie puzzle w całość. – A to jeszcze nie wszystko. Proboszcz Jakubczak pożyczał mu pieniądze z funduszu kościelnego, a gdy postanowił odciąć go od kasy, Zawalski wpadł w szal.

– Pieniądze, ubezpieczenie, kochanki i tajemnicza postać przed domem w dniu pożaru. Myślisz, że...? – Karolina próbowała ułożyć to wszystko w głowie.

– Problem polega na tym, że Zawalski ma alibi. Miał dyżur w szpitalu, potwierdziły to przecież pielę...

– A co, jeśli je oszukał? – wpadła na pomysł.

– Jak oszukał? – nie rozumiał.

– Nie mówię, że je przekupił albo kazał im kłamać, ale może udało mu się wymknąć niepostrzeżenie w nocy? Musieliśmy o czymś zapomnieć... – Karolina miała wrażenie, że głowa zaraz jej eksploduje.

Rogalski również intensywnie myślał.

– Wiem! – niemal wrzasnęła. – Przecież wystarczy sprawdzić szpitalny monitoring.

– Nikt tego wcześniej nie zrobił? – Rogalski nie krył zdziwienia.

- Może i zrobił, ale pewnie nieuważnie, skoro pielęgniarki potwierdziły wersję Zawalskiego. Miał alibi, nie było czego drążyć - wyjaśniła.

Artur przytaknął. Jego dzień wolny właśnie się skończył.

Karolina i Artur

Rogalski liczył na to, że trop, na który wpadli z Karoliną, chociaż trochę przybliży ich do rozwiązania zagadki pożaru. Wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę szpitala.

- Przyznaję, że jest wygodnie - powiedziała Karolina z przekąsem, gdy rozsiadła się na miejscu pasażera. Auto ogólnie ją irytowało, ale w środku już nie było takie złe. - Słuchaj, jeśli chodzi o tę naszą rozmowę w mieszkaniu...

- Tak, wiem, przeprosiny za najście w domu przyjęte - Rogalski rzucił okiem na policjantkę, ale prędko skupił się z powrotem na drodze.

- Nie o to chodzi. Chciałam cię tylko ostrzec, że jeśli komuś piśniesz choć słowo, to się wyprę i powiem, że masz zwidy.

Znów jest uszczypliwa, czyli wraca do formy, pomyślał. Roześmiał się w duchu i wcisnął mocniej gaz. Musieli jak najszybciej dotrzeć do szpitala.

Zaparkowali niedaleko ogromnych schodów Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego nr 2. Cały budynek był kolosalny, jakby skrojony na miarę miasta o wiele większego niż Jastrzębie-Zdrój. Za każdym razem, kiedy Artur go widział, nie mógł wyjść z podziwu.

W środku toczyło się zwykle szpitalne życie. Karolina pomyślała, że nie znosi szpitali. Z drugiej strony kto je lubił? Najpierw poszli do dyrekcji załatwić formalnie sprawę nagrań z monitoringu. Wicedyrektor, widząc policjantkę z prokuratorem, nawet nie dopytywał o kwity. Wiadomo, że z policją lepiej żyć w zgodzie. Zwłaszcza w mniejszych

miastach, gdzie wszyscy wszystkich znają. Od razu skierował ich do biura ochrony szpitala.

Rogalski rozejrzył się po pokoju wypełnionym monitorami. Nie było to może ogromne centrum dowodzenia, ale liczba kamer w całej placówce i tak robiła wrażenie.

- Potrzebujemy nagrań z 7 sierpnia, godziny wieczorne i nocne - przejął inicjatywę.

Ochroniarz odetchnął z ulgą, kiedy się okazało, że śledczy znają dokładną datę i orientacyjne godziny, które należy sprawdzić. Wcześniej bał się, że będzie godzinami ślezczał nad nagraniami.

Rogalski i Szewczyk cierpliwie przeglądali filmy z poszczególnych kamer. Wiedzieli, które piętro interesuje ich szczególnie. Chirurgia. Parę razy oko kamery uchwyciło Zawalskiego, który przechodził korytarzami placówki, ale mężczyzna nie robił niczego nadzwyczajnego. No i był obecny.

- Chyba się pomyliliśmy - Karolina powoli traciła nadzieję.

Artur zorientował się jednak, że przez kilkadziesiąt minut Zawalski w ogóle nie pojawiał się na nagraniach. Wszedł do gabinetu i tyle. Zastanawiał się, co się z nim wtedy działo.

- Lekarze podczas przerw często ucinają sobie drzemkę - powiedział ochroniarz, gdy Artur na nowo przeglądał te same fragmenty.

- A macie kamerę przed budynkiem? - prokurator wpadł na nowy pomysł.

Ochroniarz kilkoma kliknięciami wyświetlił na komputerze właściwy obraz. Rogalski poinstruował go, by przewinął do czasu, kiedy Zawalski był w gabinecie.

W napięciu patrzyli w ekran. Kamera, dość słabej jakości, pokazywała obraz sprzed głównego wejścia do szpitala. Ta chwila zdawała się trwać w nieskończoność, aż wreszcie...

- Mamy go - Rogalski uniósł zaciśniętą pięść.

Na ekranie pojawił się Zawalski. Zbiegł po schodach. Zachowywał się nerwowo, rozglądał się, patrzył za siebie. Podszedł do samochodu, wsiadł i odjechał. W tym momencie w nieznanie odjechało także jego alibi.

- Tylko jak on się wy dostał niezauważony z gabinetu? - drążyła Karolina.

- Pewnie wiedział, jak unikać kamer - zasugerował prokurator.

- Niektóre pomieszczenia na oddziałach są połączone. Nie musiał wychodzić tymi drzwiami, którymi wszedł - podpowiedział ochroniarz.

- Cwaniaczek - rzuciła Szewczyk.

Prokurator poprosił ochroniarza o przesłanie kopii nagrań na mejl. Stał przed oknem i zagapił się w przestrzeń. Szewczyk podeszła do niego i zapytała:

- Coś ci nie pasuje?

- Jak potwierdzić, dokąd pojechał? - zastanawiał się Artur. - Równie dobrze mógł skoczyć do którejś z kochanek.

- Wystarczy sprawdzić, gdzie logował się jego telefon.

- A jeśli zostawił go w szpitalu?

- Zobaczymy, czy jest aż taki cwany.

* * *

12 maja 2019 roku

Zawalski kończył kolejnego papierosa, z niepokojem zauważając, że zostały mu już tylko dwa. Za dużo palił, ale ten dzień był wyjątkowo stresujący. Dwa dni wcześniej w kopalni Borynia doszło do wypadku, w którym zostało poszkodowanych jedenastu górników. W zależności

od obrażeń trafili do różnych szpitali – czterech z nich na jego oddział. Przez kilkanaście godzin prawie nie wychodził z sali operacyjnej.

Zgasił papierosa i odruchowo wyciągnął z paczki kolejnego. *Wystarczy*, napomniął sam siebie i westchnął. Niełatwo do takich rzeczy przywyknąć, chociaż dosyć często miał do czynienia z ofiarami wypadków na grubie. Tak wyglądało życie na Śląsku. Dobrze znał realia górniczego świata, w końcu jego żona była córką dyrektora kopalni. Wiedział więc, z jak dużym ryzykiem mierzą się górnicy. Zresztą sami to ryzyko akceptują, idąc na szychtę. Zjeżdżają szolą w dół i nigdy nie wiedzą, czy wrócą. *Beznadzieja*, pomyślał.

Powoli zbliżał się koniec jego dyżuru. Poszedł do gabinetu, który o tej porze świecił pustkami. Zamknął się od środka i zaczął uzupełniać dokumentację medyczną. Chciał mieć trochę spokoju. Wreszcie uznał, że wystarczy na dzisiaj i czas zbierać się do domu. Był zbyt zmęczony, by jeszcze rozmawiać z rodzinami pacjentów, które na pewno koczowały na oddziale. Postanowił więc wymknąć się niepostrzeżenie. Czasami tak robił.

Otworzył okno niedaleko biurka i przeszedł przez nie wprost na rusztowanie, które stało tam od dawna. Przez brak funduszy remont elewacji szpitala przeciągał się w nieskończoność. Po stromych schodach poruszał się ostrożnie, bo jeden niewłaściwy krok mógłby się zakończyć fatalnie. Zaśmiał się, że to ostatnia ekstremalna rzecz, jaką przychodzi mu robić w dorosłym życiu. Po dojściu na sam dół mógł już spokojnie przejść do głównego holu, a stamtąd prosto do wyjścia głównego. *Pewnie jeszcze nieraz z tego skorzystam*, pomyślał z półuśmiechem.

Rozdział XII

Kubeł deszczówki

22 września 2019 roku

Artur

Od rana w prokuraturze panowało zamieszanie. Rogalski był już po wstępnych rozmowach z przełożonymi w sprawie Zawalskiego. Lekarz, osoba szanowana w miejscowej społeczności – trzeba było postępować ostrożnie i rozważnie, żeby nie wpakować się na minę. Wszystko, co udało mu się ustalić wspólnie z Szewczyk, mogło doprowadzić do uzyskania nakazu aresztowania. Przynajmniej tymczasowego. Kolejny raz obracał w głowie, co ma przeciwko Waldemarowi i w jaki sposób zamierza to wszystko uargumentować. Zawalskiego trudno ostatnio złapać, więc można założyć, że próbuje unikać służb – to raz. Jednocześnie są dowody na to, że w noc pożaru wyszedł ze szpitala. Co prawda nie wiadomo, dokąd się udał, ale to bardzo podejrzane i wymaga wyjaśnień – to dwa. Podobnie jak kwestia długu, dziwnego ubezpieczenia rodziny i domu, nie wspominając o zdradach – to trzy. Niby sporo... Rogalski był przekonany, że otrzyma zgodę na areszt. *Nie ma innej opcji*, zaklinał w myślach.

Aż się wzdrygnął, gdy usłyszał dźwięk telefonu. Ale to nie był nikt z sądu. Karolina.

– Jeszcze nie wiem... – zaczął, ale ona nie dzwoniła po to, by wypytać o nakaz.

– Mój znajomy sprawdził telefon Zawalskiego, na razie tak nieoficjalnie.

Serce Rogalskiego zaczęło bić szybciej. To mogła być kluczowa informacja.

– Z logowania w sieci wynika, że telefon nie był w pobliżu stacji znajdującej się niedaleko szpitala. Znacznie bliżej mu do domu w Bziu. Ale lokalizacja nie jest dokładna, precyzyjne określenie miejsca okazało się niemożliwe – powiedziała bez entuzjazmu. – Czyli mogą to podważyć.

– Nie, jeśli odpowiednio to przedstawimy. Spójrzmy na fakty: Zawalski nie był w szpitalu, choć od początku tak twierdził. Czyli kłamał. Potwierdzają to zarówno nagrania z monitoringu, jak i logowanie do sieci telefonicznej. Może nie mamy bezpośredniego dowodu, że był wtedy w domu, ale wiemy, że na pewno nie był w pracy – Rogalski pozostawał optymistą.

Karolina wiedziała, że może mieć rację. Zresztą na formalnościach znał się lepiej od niej. Poprosiła, by dał jej znać, kiedy pozna decyzję, a wtedy od razu ruszą z Kowalczykiem, by zatrzymać Waldemara.

Artur myślał, że los mu sprzyja, bo akurat dziś w kościele w Bziu miała się odbyć cykliczna msza w intencji zmarłych członków rodziny Zawalskiego. Wiedział, że Waldemar musi się tam pojawić, jeśli chce utrzymać wizerunek poszkodowanego. I tam mogli go zatrzymać.

OK, *mamy zgodę sądu* – krótki SMS od przełożonego przyszedł mniej więcej po godzinie. Artur aż zacisnął pięści w triumfalnym geście, a później wyjął telefon, by znów zadzwonić. Teraz wszystko w rękach Karoliny.

Martyna

Msza w intencji rodziny, jakie to bezdennie głupie, myślała Martyna, szykując się do wyjścia. Z własnej woli nigdy nie poszłaby do kościoła w Bziu, ale zmuszała się ze względu na pamięć o Wiktorcu. Wspomi-

nała, jak zadowolony maszerował do świątyni, gdy świętowali Wielkanoc. Z koszykiem pełnym różnych produktów pędził przed siebie z nadzieją, że i tym razem ksiądz „obleje go wodą”. Miała wrażenie, że o to mu przede wszystkim chodzi, w końcu był jeszcze dzieckiem. Raz, kiedy nie dosięgnęła go ani kropla, namawiał ją, by zostali na kolejne święcenie pokarmów. Zgodziła się, choć była pewna, że gdyby poszła tam sama, umarłaby z nudów. Obecność kochanego braciszka poprawiała jej nastrój, a jego szczęście było czymś, na czym bardzo jej zależało.

Wiedziała, że dziś Sebastian nie może z nią pójść do kościoła. Wciąż się bała, że ktoś zacznie podejrzewać, że jej chłopak miał coś wspólnego z pożarem. Ludzie uwielbiają snuć niestworzone historie, a plotki i pomówienia szybko się rozchodzą. Nie chciała go narażać, zwłaszcza po ostatnim spotkaniu z policjantką.

Nie wiedziała, czy stary wybiera się do kościoła, choć przypuszczała, że tak. *Nawet poszedł na tę głupią pielgrzymkę*, myślała sobie. Dla niej to już była gruba przesada. Pocieszała się, że jedną mszę jakoś przetrwa.

Nie widziała starego od kilku dni. Czasem szwendał się po okolicy, spotykała go to tu, to tam. Jastrzębie-Zdrój to małe miasto, nietrudno na siebie wpaść. Nigdy jednak nie rozmawiali. W zasadzie to z nikim nie rozmawiała poza Sebastianem. Dziadkowie parę razy próbowali się z nią skontaktować, ale nie miała ochoty odbierać telefonów. *Teraz pewnie ich wszystkich spotkam, niestety*, myślała. I ta myśl ją dobijała.

Zawahała się jeszcze parę razy przed wyjściem, jakby analizowała, czy powinna pójść, ale ostatecznie podjęła decyzję, że skoro powiedziała „a”, to musi też powiedzieć „b”. *Najwyżej zaszyję się gdzieś w rogu i pozostanę niewidoczna*, skwitowała i wyszła.

Całą trasę pokonała w ciszy. Odnosiła wrażenie, że udało jej się całkowicie stłumić myśli w głowie. Szła po prostu przed siebie, nie zważając na nic. Rozterki przed opuszczeniem hotelu sprawiły, że spóźniła się o kilka minut, więc kiedy dotarła na miejsce, msza już trwała.

Była pod wrażeniem tego, jak wielu ludzi przyszło. Dostrzegła w oddali sąsiadów, przyszło też paru uczniów z jej szkoły, nauczyciele. Znajomi i nieznajomi. Sporo osób musiało stać na zewnątrz, bo tłum nie mieścił się w kościele. Najbardziej zaskoczył ją widok orkiestry górniczej, choć i tego mogła się spodziewać, skoro dziadek był dyrektorem kopalni. Do tej pory sądziła, że uroczystości z takimi szykanami są przeznaczone raczej dla samych górników. No i zdarzają się na pogrzebach, a nie cyklicznych mszach w intencji zmarłej rodziny. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma jakiejś miesięcznicy pożaru, bo całkowicie straciła rachubę czasu.

Skupiła wzrok na górnikach ubranych w galowe mundury. Obecnie używane różniły się od tych z dziewiętnastego wieku górą – frak zastąpiła marynarka, oraz spodniami – białe zamieniono na czarne. Zamiast butów z cholewami górnicy nosili półbuty. Oprócz tego zrezygnowano z czekana górniczego i wprowadzono także damską wersję munduru. Martyna wiedziała to wszystko, bo – chcąc nie chcąc – wychowywała się w rodzinie górniczej. W szkole też o tym wspomiano, w końcu to miasto, które stoi na kopalniach.

Starła się niepostrzeżenie przejść między ludźmi, ale ciągle czuła na sobie czyjś wzrok. Dałaby sobie rękę uciąć, że w tłumie dostrzegła też kilkoro dziennikarzy, a niedaleko niej ktoś błysnął fleszem. *Hieny*, skwitowała. Nikt jej jednak nie zaczepiał, nie wypadało tego robić, skoro msza już się zaczęła. Weszła do kościoła i stanęła z boku nawy, szukając wzrokiem starego. Nie żeby za nim tęskniła, ale była po prostu ciekawa, czy się pojawił. No i był, siedział w pierwszym rzędzie, jak zawsze na widoku. Nie czuła się zaskoczona.

Modliła się. Ale nie o swoją rodzinę. Modliła się o to, by ta msza jak najszybciej się skończyła.

Krzysiek

Po wielu dniach posuchy informacyjnej Sielski cieszył się na myśl o udziale we mszy w intencji rodziny Zawalskich. Oczywiście nie wparował na uroczystości z uśmiechem na ustach, ale w duchu myślał, że odskocznia od pisania o kolizjach drogowych czy wypadkach w kopalni dobrze mu zrobi. Czuł narastającą ekscytację, kiedy przypominał sobie o okładkowym hicie, jaki dostarczył „Dziennikowi Zachodniemu”. Za tekst o kochance Waldemara Zawalskiego otrzymał solidną premię.

Ciekawe, czy Iwona przyjdzie na mszę, rozważał cynicznie, wychylając głowę z tłumy. Jej personalia ustalił już po hitowym artykule. Próbował później sklecić materiał o niej, ale ani ona sama, ani nikt inny nie chciał z nim rozmawiać. Szukał wzrokiem kogoś znajomego, kogoś, komu mógłby cyknąć fotkę, która stanie się ilustracją do tekstu. Jednocześnie musiał pozostawać czujny i wsłuchiwać się w to, co mówią ludzie wokół. Cytaty wzbogacają artykuł, nie mogło ich zabraknąć. A wśród nich musi się pojawić coś z kazania księdza. Oby wałnął jakimś ciekawym tekstem.

Nie dostrzegł rudowłosej kochanki Zawalskiego. Nic dziwnego, głupotą byłoby, gdyby się tu pokazała. Ludzie mogliby być dla niej więcej niż nieprzyjemni. Zobaczył za to Martynę Zawalską, która z opuszczoną głową przebijała się przez tłum.

– Laura, Laura! – starał się szeptać, ale wyszło mu średnio, bo skupił na sobie uwagę kilku osób.

Na jego nawoływania odpowiedziała kobieta w średnim wieku, o szczupłej posturze i ciemnobrązowych włosach spiętych w kucyk. Wskazała dłonią Martynę, a Laura ruszyła w jej kierunku z aparatem. Za późno się zorientowała, że nie wyłączyła lampy błyskowej, więc już po pierwszym zdjęciu spłoszyła Zawalską, która zniknęła w głębi kościoła. Nie chciała za nią iść, by nie narażać się wiernym, którzy już teraz patrzyli na nią spode łba. *Złapię ją po mszy*, uznała.

Krzysiek widział całe zajście i gdyby nie to, że zdążył poznać Laureę i wiedział o jej profesjonalizmie, pewnie by się wściekł. A tak jedynie

pokręcił głową i wrócił do słuchania mszy. Zbliżył się nieco, by znaleźć się w środku świątyni i lepiej słyszeć kazanie księdza.

– W ostatnich dniach z Bzia rozchodziły się hiobowe wieści o dramacie rodziny Zawalskich. Osobiście ich wszystkich znałem, więc ogrom tragedii dotyka również mnie – mówił Mikołaj Jakubczak, nawiązując do historii Hioba.

Sielski przypomniał sobie o kochance Zawalskiego i aż wzięło go na wymioty. *Srob, a nie Hiob, kuźwa*, pomyślał, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Bywają w naszym życiu doświadczenia, które odbierają oddech. Ale musimy patrzeć na nie przez pryzmat wiary. To właśnie światło wiary pomoże nam uśmierzyć ból – kontynuował ksiądz. – W tym trudnym czasie szczególnie ważni są inni ludzie. Bliscy, ale i cała społeczność. Wy wszyscy, którzy tutaj przybyliście, również. Bo chodzi nie tylko o to, by wesprzeć słowem czy uczynkiem, ale nawet milczącą obecnością – dodał, a Krzysiek obiektywnie przyznał, że te słowa są akurat godne zacytowania w gazecie.

Do samego końca miał nadzieję, że Zawalski postanowi zabrać głos. Zamiast tego ksiądz ogłosił, że w imieniu jego i córki Martyny przeczyta list. Krzysiek mógłby przysiąc, że kiedy udało mu się odszukać wzrokiem Zawalską, jej mina zdawała się krzyczeć: „W moim imieniu?!”. Prędko skupił się jednak na mszy, bo mogły paść słowa kluczowe dla jego artykułu.

List odczytany przez księdza Jakubczaka nie był długi. Mnóstwo było w nim za to frazesów. W „pożegnaniu”, ponieważ tak nazwano list, Waldemar i Martyna Zawalscy zapewniali, że całą tragedię potrafią zrozumieć „dzięki słowom Ewangelii”.

– Waldemar i Martyna Zawalscy dziękują Bogu za dar jego słowa, które dla nich, tęskniących za rodziną, jest źródłem nadziei – odczytał proboszcz, a Krzysiek przewrócił oczami.

Spojrzał na młodą Zawalską i znów miał wrażenie, że podobnie jak on nie wierzy w to, co słyszy.

Nie rozumiał, w jaki sposób jakakolwiek religia może pomóc zrozumieć, że twoi bliscy umierają w tak tragicznych okolicznościach. Że tracisz ich z dnia na dzień. Wiedział, że wiara pomaga niektórym przetrwać trudne chwile, może uśmierzyć ból, ale... zrozumieć? Nigdy. Tu nie ma żadnej lekcji życiowej, nie ma szczęśliwego zakończenia. Jest tylko cierpienie.

Jeszcze przed końcem mszy wyszli z Laurą z kościoła, żeby tak ustawić się przed świątynią, by zrobić dobre zdjęcia, kiedy Zawalscy będą wychodzić. Czekając na nich, dostrzegł kątem oka policyjny radiowóz. *Pilnują porządku?*, zastanawiał się. Pytanie, czy byli tu od początku. Wtedy zobaczył, że idą w kierunku kościoła.

Gdy wyszła Martyna Zawalska, przyglądał się, jak zasłania twarz dłońmi i stara się szybko ulotnić. Kiedy zauważyła policjantów, stała się wyraźnie niespokojna. Zaraz za nią pojawił się jej ojciec i wszyscy reporterzy skupili uwagę na nim. Otoczyli go ludzie, którzy znów składali kondolencje. Krzysiek odniósł wrażenie, jakby był na spotkaniu z gwiazdą rocka, a nie na mszy w intencji rodziny, która zmarła w wyniku cholernego pożaru. Cała ta scenka wyglądała groteskowo.

– Oho, Laura, przygotuj się – powiedział do koleżanki, kiedy zobaczył, jak dwoje znanych mu policjantów podchodzi do Zawalskiego.

Rozmawiali z nim i pokazali jakiś papier. Krzysiek próbował się zbliżyć, żeby cokolwiek dostrzec albo usłyszeć, ale panował zbyt duży gwar. Widział natomiast, że Waldemar stawia opór. Policjantka chwyciła go za ramię, a ten zaczął się wyrywać. Ludzie podnieśli alarm.

– Co wy robicie?! Zostawcie go! – krzyknęła jakaś kobieta z tłumu. Wtedy ruszyła lawina. – Puść go! Nie macie serca! Nie w kościele!

Nagle funkcjonariuszka gwałtowniej chwyciła Zawalskiego. Wykręciła mu rękę i założyła kajdanki, najwyraźniej mając dość szamotaniny. Obecni na miejscu wierni otoczyli policjantów. Funkcjonariusz towarzyszący kobiecie próbował ich uspokajać, ale bezskutecznie.

Niespodziewanie jeden z mężczyzn chwycił wiadro stojące przy kościelnym murze, wypełnione brudną deszczówką. Chlusnął zawartością prosto w twarz policjantki. Krzysiek był w takim szoku, że zaczął się obawiać o własne bezpieczeństwo. Fotoreporterzy jednak nie ruszyli się z miejsc, cykając fotkę za fotką.

– Dosyć! – wrzasnął policjant i wyciągnął broń.

Sam jej widok skutecznie odstraszył rozwścieczonych ludzi.

Wtedy z kościoła wyszedł ksiądz.

– Drodzy wierni, apeluję o spokój, to jest dom Pana – zawołał, a policjantka spiorunowała go wzrokiem. Aż kipiała ze złości, jedną ręką wycierając brudną wodę z twarzy, a drugą trzymając Zawalskiego, którego czarny garnitur też pokryły mokre plamy. – Dajcie policjantom wykonywać obowiązki, sprawa na pewno zostanie szybko wyjaśniona – uspokoił proboszcz.

Parafianie rozstąpili się, choć nie przestali komentować zatrzymania, którego byli świadkami. Sielski nagrał dyktafonem kilkoro z nich, głównie mówiących o tym, że „policjanci to nieroby” i „napastują niewinnych ludzi”. Wtedy zdał sobie sprawę, że nawet jego artykuł w „Dzienniku Zachodnim” o kochance Zawalskiego nie zdołał zburzyć wyidealizowanego wizerunku Waldemara wśród parafian.

Współczesny Hiob. Słowa księdza się sprawdziły. Najwyraźniej właśnie tak postrzegali go ludzie.

* * *

Sześć miesięcy wcześniej

Jedno cięcie, drugie i trzecie. Później kilka uderzeń młotkiem. Znowu cięcie. Ułożenie idealnie równego płotu nie należało do najprostszych, ale Waldemar miał w tym dużą wprawę. To już chyba czwarta

osoba, której zdecydował się pomóc w różnego rodzaju domowych obowiązkach. Wziął łyk piwa, który niedawno przyniosła mu sąsiadka. I pomyślał sobie, że gdyby nie medycyna, zostałby stolarzem. Może nawet otworzyłby własny warsztat. Zwyczajnie lubił pracować z drewnem.

- Dziękuję, Waldku, wiem, jak bardzo jesteś zajęty - głos zza jego pleców mile łechtał jego ego.

- Żaden problem, akurat mam wolne - odparł lekkim tonem.

Co prawda spokojnie znalazłby sobie inne zajęcie, ale lubił podtrzymywać dobrą opinię w sąsiedztwie.

Nie był jak ci snobistyczni lekarze, którzy nie parali się fizyczną robotą, by nie ubrudzić delikatnych rączek. Dużo bardziej dbał o to, by sąsiedzi go lubili. Reputacja była dla niego niezwykle istotna.

Za każdym razem, gdy ktoś mijał go podczas jego pracy przy płocie sąsiadki, posyłał mu ciepłe spojrzenie. Niektórzy wołali z drugiego końca ulicy, by się z nim przywitać. Przykładowy mąż, ojciec i jeszcze wspomniały sąsiad. Prawdziwy ideał. Pękał z dumy.

- Może zrobisz sobie przerwę? - zaproponowała sąsiadka.

W dłoniach trzymała talerz z jedzeniem, który postawiła na drewnianym stoliczku, a obok przygotowała już drugie schłodzone piwo.

- Nie trzeba było - skłamał, bo aż burczało mu w brzuchu.

Odłożył młotek i wytarł dłonie o spodnie, a później usiadł do stołu. Spojrzał na świetnie wysmażony kotlet schabowy, młode ziemniaki posypane koperkiem i surówkę. Typowo polski obiad. Takie lubił najbardziej. Zajadał kęs za kęsem, co jakiś czas wysłuchując pochwał sąsiadki na temat jego życzliwości i zaradności. Dom kobiety znajdował się stosunkowo niedaleko jego, z okna wyższego piętra można było spokojnie obserwować, co Waldek robi.

Gdy spojrział kątem oka na swoje okna, dostrzegł w nich żonę. Patrzyła ciepło, z uśmiechem. Ona również była dumna, że ma takiego zdolnego męża, który pomaga innym.

Spojrzał na zegarek. Dostyc późno, stwierdził, ale wiedział, że musi dokończyć pracę, bo w tygodniu nie będzie miał na to czasu.

Sąsiedzi wypowiadali się o nim w samych superlatywach. Nie stracił dobrej reputacji nawet wtedy, gdy potracił psa jednych z nich. Zarzekał się, że zrobił to przez przypadek, a ludzie winą obarczyli właściciela, który nie dopilnował zwierzęcia.

Czas mijał nieubłaganie, a Zawalski powoli kończył robotę. Dwa ostatnie uderzenia młotkiem i fajrant. Wtedy zjawił się obok niego kot, ciemny jak noc. Wyraźnie zainteresowany podchodził coraz bliżej.

- Wynocha, pchlarzu - syknął Waldek i zamachnął się młotkiem w stronę zwierzęcia.

Kot jednak był za daleko i po prostu odbiegł.

Usłyszał dźwięk skrzypiących desek i się odwrócił. W drzwiach domu stała sąsiadka, która wyraźnie mu się przyglądała. Posłał jej niewinny uśmiech, a ta odpowiedziała tym samym.

- Jeszcze raz bardzo ci dziękuję - powiedziała po krótkiej chwili ciszy.

- Nie ma sprawy, to naprawdę drobiazg - odpowiedział.

Rozdział XIII

Kto używa skalpela?

23 września 2019 roku

Artur

Artur kolejny raz spojrział na okładkowe zdjęcie „Dziennika Zachodniego”. Ni to zaskoczona, ni to wściekła Szewczyk ociekająca deszczówką. Czy Karolina nie będzie miała mu za złe, że tak to się potoczyło? Ale niby jak miał przewidzieć taką sytuację? Wzruszył ramionami. Przeczytał artykuł Krzysztofa Sielskiego. *Znowu ten dziennikarz*, pomyślał sobie, widząc nazwisko.

Dzisiejszy dzień był szczególny. Założył swój najlepszy garnitur, jakby co najmniej wybierał się na czyjeś wesele, a przecież chodziło tylko o przesłuchanie. Nie było to jednak byle jakie przesłuchanie, powtarzał sobie. Poprawił się na krześle i zerknął do notatek, które zrobił w czarnym, grubym notesie. Wiedział, że od rozmowy z Zawalskim zależy, czy będzie mu można skutecznie postawić zarzuty. Jednocześnie był przekonany, że razem z Szewczyk zebrali wystarczającą liczbę dowodów przeciwko niemu. „To wciąż śledztwo poszłakowe”, zdanie, którego obawiał się najbardziej, a równocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że na pewno niejednokrotnie padnie na sali sądowej z ust obrońcy Waldemara. Nawet gdyby był to obrońca z urzędu, bo przy obecnej sytuacji finansowej Zawalskiego nie sądził, że będzie go stać na dobrego papugę.

Co siedzi w twojej głowie?, zastanawiał się, przeglądając zebrany materiał i oglądając zdjęcia Zawalskiego.

Wiedział, że za chwilę będzie musiał się zbierać do pokoju przesłuchań, gdzie Waldemar powinien już na niego czekać. Z jednej strony czuł narastającą ekscytację, a z drugiej – stres związany z całą tą sytuacją. Zdążył się nieco uodpornić na zainteresowanie prasy, w końcu od tragicznego pożaru minęło kilka tygodni. Ale nadal nie potrafił wyrzucić z głowy myśli o tym, że to jego pierwsza tak poważna sprawa, od której może zależeć jego kariera. Czy jednak to właśnie wizja awansu była dla niego motorem napędowym? Sam zadawał sobie to pytanie co jakiś czas. Początkowo bez wahania odpowiedziałby, że tak, lecz dziś już nie był tego taki pewien. Coraz częściej dochodził do wniosku, że pragnie sprawiedliwości. To poczucie wzmagало się za każdym razem, kiedy powracał myślami do miejsca zdarzenia i widoku popalonych ciał ofiar. Dzieci, zwłaszcza tego najmłodszego, Wiktora. *Okropne*, myślał, kręcąc głową.

Ostatni raz przeciagnał się na fotelu, z trzaskiem zamknął notes i wyjrzał przez okno. Padało. Ponura pogoda pasowała do nastroju panującego w prokuraturze, choć Artur zastanawiał się, czy przypadkiem nie powinien pić szampana i wiwatować. Nie był to jednak odpowiedni moment, jeszcze nie mógł odtrąbić sukcesu.

Wstał i ruszył na przesłuchanie. Pożałował, że nie ma z nim Szewczyk, która mogłaby mu pomóc swoim doświadczeniem. Jaka była, taka była, ale znała się na policyjnej robocie. Wcześniej jednak doszedł do wniosku, że musi przesłuchać Waldemara sam. Karolina, w kontekście ostatnich przykrych wydarzeń przed kościołem, mogłaby być odrobinę wzburzona. Może nawet więcej.

Szedł korytarzem prokuratury, mijając co jakiś czas innych pracowników. Był tak skupiony na tym, z czym za chwilę miał się zmierzyć, że nie reagował na przyjacielskie uśmiechy. Patrzył prosto przed siebie, jakby świat dookoła przestał istnieć. Ściany, sufit i podłoga się

rozmywały, a on parł do przodu. Widział z daleka drzwi, które stawały się coraz wyraźniejsze na tle znikającego nagle otoczenia.

Chwycił za klamkę i wszedł do środka.

Ciemne pomieszczenie, niemal puste. Na środku stolik i dwa krzesła, po jednym z każdej strony, naprzeciwko siebie. Na jednej ze ścian lustro weneckie. Kamera na statywie, z włączonym niedawno nagrywaniem, skierowana na podejrzanego. Wszystko gotowe.

Zmierzył wzrokiem Zawalskiego, który sztywno siedział na krześle. Nie podniósł nawet wzroku, gdy prokurator wszedł do środka. Ubrany cały na czarno, w stroju, który założył na mszę świętą. Miał kajdanki na rękach i rozdrapywał skórki przy paznokciach. Artur od razu pomyślał, że to może być jego wspólna cecha z córką – ona również podczas rozpytania miała taki tik. *Czyżby się stresował?*, zastanawiał się. Uznał, że jeśli tak, to tylko lepiej.

Usiadł naprzeciwko Zawalskiego i ostentacyjnie otworzył notes.

- Nie w humorze? – zapytał, a mężczyzna parsknął.

- A jak pan sądzi?

- Gdyby nas pan nie unikał, być może to zatrzymanie nie byłoby konieczne – Artur udawał, że chce się wytłumaczyć.

- Zrobiliście ze mnie bandytę na oczach połowy miasta, a ja nic nie zrobiłem. Jestem tutaj ofiarą, pamięta pan?

- Ofiarami są pańska żona i dzieci, pan co najwyżej poszkodowanym, choć i to wątpliwe.

Prokurator chciał sprowokować Zawalskiego, ten jednak pozostał spokojny.

- Jestem ofiarą nieudolności służb, które nie potrafią wyjaśnić okoliczności pożaru, do którego doszło. A teraz postanowiły znaleźć kozła ofiarnego, żeby się wykazać.

- Iwona Turak. Mówi panu coś to nazwisko? – Artur postanowił zmienić temat i zagrać ostrzeż.

- Parafianka – Waldek był ostrożny.

- Pańska kochanka – poprawił go Rogalski.

- Jest pan bezczelny.

- Nie czyta pan gazet? – prokurator wyjął z notesu zdjęcie okładki „Dziennika Zachodniego” i rzucił Zawalskiemu pod nos.

- Medialne bzdury, insynuacje.

- Iwona Turak potwierdziła wasz romans.

Na te słowa Waldemar zastygł w miejscu. Tego ewidentnie się nie spodziewał.

- Dlaczego ubezpieczył pan rodzinę i dom miesiąc przed pożarem? Trochę dziwny zbieg oko...

- Nic nie powiem bez adwokata – przerwał mu nagle Zawalski.

- Oczywiście, ma pan do tego prawo, ale jeśli jest pan niewinny, to może warto...

- Adwokat.

Artur westchnął. Zamknął notes i wstał z krzesła.

- Jeszcze się spotkamy – powiedział na odchodne.

- Głuchy pan jest? Czekam na adwokata – warknął Zawalski.

Prokurator wyszedł z pomieszczenia i przeszedł do pokoju obok, z którego zza weneckiego lustra mógł obserwować Waldemara. Spojrzał na kolegów wpatrujących się w monitory i upewniających się, że wszystko się nagrało.

- Co myślicie? – zapytał, ale tylko wzruszyli ramionami.

Wtedy dostrzegł coś dziwnego. Waldemar znowu skubał paznokciami skórki, aż jego dłonie spłynęły krwią. Nie to było jednak niepokojące. Artur przyjrzał się bowiem jego twarzy i zauważył, że Zawalski porusza ustami, jakby z kimś rozmawiał.

- Włączcie mikrofon w sali – zaskoczył techników, ale posłusznie kliknęli przycisk i pomieszczenie rozbrzmiało cichym głosem Waldemara. - Głośniej – ponaglił ich.

- Przestań, nie mogę. Przestań! Już narobiłeś mi wystarczająco kłopotów – mówił Waldemar.

– Zabraliście mu telefon? – dopytał Artur dla pewności.

Poza tym Waldemar nie zdawał się specjalnie kryć z tym, że coś mówi. Nie zasłaniał ust, nie zakrywał twarzy. Rogalski miał czasem wrażenie, że wręcz celowo mówi do kamery.

Cały spektakl trwał krótko, a prokurator głowił się, o co może chodzić. Wtedy do pokoju weszła młoda kobieta w policyjnym mundurze i wyrwała go z zadumy.

– Trwa przesłuchanie... – skarcił ją.

– Przepraszam, ale to bardzo ważne – wymamrotała, ewidentnie speszona.

Szybko wręczyła mu kopertę i opuściła pokój, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Spojrzał na sygnaturę i od razu domyślił się, czym jest tajemnicza wiadomość. *Cholera, kompletnie o tym zapomniałem!*, palnął się otwartą dłonią w czoło, a później pieczołowicie zaczął otwierać kopertę. *Badania laboratoryjne szczura znalezionego na miejscu zdarzenia, w skrzynce z instalacją elektryczną, wskazują, że dekapitacji dokonano za pomocą ostrego narzędzia, prawdopodobnie skalpela.* Przeczytał najważniejsze zdanie co najmniej kilka razy, nim informacja w pełni do niego dotarła.

– Skalpel. Kurwa, skalpel – nie dowierzał.

Ponownie spojrzął na Zawalskiego siedzącego w pokoju przesłuchań. Ten wydawał się z tej perspektywy taki spokojny, niewinny. Pomyślał, że zawód, który Waldemar wykonywał i który przysporzył mu tak wiele szacunku w sąsiedztwie, okaże się jego zgubą.

Karolina

Na sam widok kościoła Karolina lekko się wzdrygnęła. Chluśnięcie w twarz brudną wodą nie było może najobrzydliwszym, z czym zmierzyła się podczas służby, ale taki incydent dla nikogo nie byłby przyjemny. Tym bardziej że była pewna słuszności swoich działań. Chyba

o to w gruncie rzeczy chodziło. Najbardziej zaskoczyła ją zawziętość, z jaką ludzie stanęli w obronie Zawalskiego, jakby w ogóle nie brali pod uwagę, że mógłby zrobić coś złego. Trudno ich jednak winić, jeżeli przez lata skutecznie grał rolę dobrego człowieka.

Nie pojawiła się przed kościołem po to, by wspominać wczorajsze wydarzenia. Wiedziała, że Rogalski będzie dziś przesłuchiwał Zawalskiego, i choć postanowiła mu w tym nie przeszkadzać, nie chciała siedzieć beczynn timer. Skierowała się więc prosto do świątyni.

Zanim ruszyła w głąb kościoła, przyklękła na jedno kolano i się przeżegnała. Spoglądała przez dłuższą chwilę na wielki posąg Jezusa, przypominając sobie, jak bardzo oddaliła się od wiary, gdy straciła męża i córkę. A kiedyś była jej ona bardzo bliska. „Gdzie byłeś, gdy najbardziej cię potrzebowałam?” – wielokrotnie pytała Boga, ale nigdy nie otrzymała odpowiedzi. W przeciwieństwie do Zawalskiego nie widziała w śmierci najbliższych wyższego celu. Nie postrzegała też siebie w kategorii męczennicy. Jej zdaniem była to po prostu okrutna, niepotrzebna śmierć, przed którą nikt nie ustrzegł jej rodziny. W tym Bóg.

Człowiek najmocniej czuje stratę w chwili, w której dowiaduje się o śmierci ukochanej osoby. Ale najtrudniejsze przychodzi później – radzenie sobie z przytłaczającymi emocjami. Pojawia się pustka, która wcale nie zostawia wyrwy w sercu. To pustka, która z każdym kolejnym dniem wypełnia się żalem, bólem, tęsknotą. I jeśli nie uda się wyłać z siebie ciemności, ta całkowicie go pochłonie.

Karolina wiedziała, że czas podobno leczy rany, ale jej pozwolił jedynie na trwanie mimo bólu. Porównywała to do stanu wegetacji. Niby żyjesz, a jednak wiele doświadczeń jest dla ciebie niedostępnych. Wiedziała, że można znaleźć sposób, by to przetrwać i znów poczuć szczęście, ale czuła, że to zadanie jest dla niej zwyczajnie za trudne.

– W czymś mogę pomóc? – głos księdza Jakubczaka odbijał się echem po pustym kościelnym wnętrzu, aż sprowadził ją na ziemię.

- Chciałam podziękować – zaczęła.
- Za co? – proboszcz nie krył zdziwienia.
- Za to, że ksiądz zareagował wczoraj przed kościołem.

Uśmiechnął się ciepło.

- Agresja nigdy nie jest rozwiązaniem, nawet w chwilach pełnych emocji – stwierdził. – Coś panią trapi?

Jego słowa wprawiły Karolinę w zakłopotanie, a nie było to wcale łatwe. Pomyślała sobie, że jest trochę racji w tym słynnym twierdzeniu o autorytecie księży, który nawet niewierzącemu człowiekowi podświadomie każe czuć respekt wobec duchownych.

- Jeśli Bóg jest miłosierny, to dlaczego pozwala na śmierć dzieci? Rodzina Zawalskich wydawała się taka...

- Bóg dał człowiekowi wolną wolę i w nią nie ingeruje... – ksiądz nagle urwał.

Karolina miała wrażenie, że nie do końca wiedział, jak odpowiedzieć. Czy coś zasugerował? Na przykład to, że tragiczny pożar w Bziu nie był przypadkowy?

- Nie każde zdarzenie da się logicznie wytłumaczyć, a wyroki boskie, choć brzmi to banalnie, są niezbadane – dokończył

- Dlaczego został pan księdzem? – Szewczyk postanowiła odwrócić rolę.

- Przede wszystkim po to, żeby pomagać ludziom.

- Więc nie wszystko jeszcze stracone – spojrzała mu głęboko w oczy. – Jeszcze może proboszcz odkupić winy, naprawić błędy.

- Nie wiem, co ma pani na myśli.

Doskonale wiedział, a przynajmniej takie odniosła wrażenie. W oczywisty sposób nawiązała do jego relacji z Zawalskim i krycia jego złych uczynków. Czy ksiądz robił to z obawy, że wyjdą na jaw jego grzeszki? Niewykluczone. Pomyślała, że nie chciał pójść razem z nim na dno, a tak mogło się stać, gdyby się przyznał, że przymykał oko na występki lekarza.

- Gdy zginęli mój mąż i córka, miesiącami udawałam, że zawsze byłam wobec nich w porządku, pocieszałam się, że odeszli, myśląc o mnie wyłącznie dobrze. Ale nigdy nie jest tylko dobrze. Popelniamy błędy, nie jesteśmy idealni. Ważne, żebyśmy próbowali się zmieniać, uczyć. Tacy są przecież ludzie, prawda?

Jakubczak milczał, ale miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć, więc czekała. Gdy doszła do wniosku, że to do niczego nie prowadzi, uznała, że pora się pożegnać.

- Nie będę już księdzu zajmowała czasu - stwierdziła, odwracając się i kierując do drzwi.

- To nie była pani wina - słowa proboszcza przyciągnęły ją z powrotem. - Ten wypadek... Nic nie mogła pani zrobić. Bóg ma wobec każdego z nas swoje plany, ale w te plany ingerują ludzie. W plany pani męża, a zwłaszcza córki, wtargnął zły człowiek. Tak, znam pani historię - wyjaśnił. - Przekreślił je, nie dając żadnych szans. To okrutny akt przemocy, bezsensowny i bezwzględny. Nie mogła pani temu zapobiec.

Była wstrząśnięta słowami księdza, ale jednocześnie czuła spokój. Sprzeczne emocje zderzały się w niej raz za razem.

- Dziękuję - tylko tyle zdołała powiedzieć, a gdy znowu się odwróciła, poczuła, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Widziałem go - usłyszała jeszcze. - Tej nocy, gdy wybuchł pożar. Widziałem go tutaj. W Bziu.

Serce zaczęło jej mocniej bić. Uspokoiła się w ułamku sekundy, maksymalnie się skupiając.

- A dokładnie gdzie i o której?

- Kilkanaście minut przed pożarem. Byłem u leciwego parafianina z namaszczeniem chorych. Kiedy wracałem autem na plebanie, minąłem samochód Waldka. Jechał w stronę Jastrzębia. Widziałem go wyraźnie.

- Zezna to ksiądz w sądzie? - dopytała dla pewności.

- Tak, zrobię to. Tak trzeba.

Karolina

Prosto z kościoła pojechała do prokuratury. Z trasy zadzwoniła do Rogalskiego, żeby uprzedzić go o swojej wizycie. Chciała mieć pewność, że nie przeszkodzi w przesłuchaniu, choć jeśli sędzić po tym, co zdążył pokrótce powiedzieć, z rozmowy z podejrzanym niewiele wynikało. Miała poczucie, że nie tylko załatwiła wiarygodnego świadka w ewentualnym procesie, ale przy okazji wyciągnęła z rozmowy z księdzem coś dla siebie.

Zastanawiała się, co o tym wszystkim myśli córka Waldemara, Martyna. Czy wierzy w niewinność ojca? Czy dopuszcza do siebie myśl, że to on mógł zabić jej najbliższych? Sądziła, że niechęć wobec rodzica to jedno, ale trudno przyjąć do wiadomości, że własny ojciec może być mordercą.

Szybko zajęła przed prokuraturę. Zawsze ceniła sobie możliwość szybkiego podróżowania po Jastrzębiu.

Kilka razy zapukała, zanim weszła do gabinetu Rogalskiego.

- Cześć. I jak? - zapytała z miejsca.

- Nic szczególnego, poza tym że zaczął gadać sam do siebie - Artur nie wiedział, czy to istotna informacja, a pytający wyraz twarzy Karoliny dał mu jasną odpowiedź, że też nie rozumiała, o co w tym chodzi.

- Mamy już chyba wszystko, czego nam trzeba, by przyskrzynić gnoja - odkryła w sobie nowy entuzjazm, do którego Rogalski jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić.

- Zanim zdecydujemy się na akt oskarżenia, przeanalizujmy fakty - zaprosił ją gestem dłoni do stolika.

Cenił sobie jej zdanie i wiedział, że razem uda im się dostrzec ewentualne wady dotychczasowych ustaleń.

- Co mamy?

- Chcę oskarżyć Zawalskiego o to, że 7 sierpnia 2019 roku celowo podłożył ogień w domu rodzinnym i doprowadził do pożaru, w którym zginęli jego żona i czworo dzieci. Usiłował też zabić szóstą osobę,

córkę Martynę. Zrobił to, ponieważ wpadł w długi, nie był zadowolony z życia rodzinnego i chciał rozpocząć je na nowo, z inną kobietą. Ubezpieczył rodzinę i dom, żeby wyłudzić pieniądze, dzięki którym spłaciłby zobowiązania finansowe.

– Ale jak doprowadził do pożaru?

– Wymknął się niepostrzeżenie z pracy, wcześniej upewniwszy się, że pielęgniarki pomyśla, że poszedł sobie uciąć drzemkę. Pojechał na miejsce zdarzenia, pociął sznurki pozwalające otworzyć okna, by odciąć rodzinie drogę ucieczki. A później podłożył ogień. Wiedział, że najgroźniejsze czynności, czyli wzniesienie pożaru, będzie wykonywał na parterze, a sypialnie były ulokowane na piętrze, więc nikt go nie usłyszy. Na górze jedynie wszedł po cichu do pokoiów, by uszkodzić rolety. Po wszystkim wyszedł z domu i zamknął drzwi na cztery spusty.

– Dlaczego oszczędził córkę?

– Nie oszczędził. Nie wiedział, że Martyna zaprasza chłopaka na nocne schadzki i zamyka w tym celu drzwi do pokoju. Nie mógł wejść do środka, a nie chciał szarpać się z klamką, by jej nie obudzić. Założył więc, że sama zamknęła okno i nie uda jej się wydostać.

– Albo widział u niej wcześniej Sebastiana, ale stwierdził, że nawet otwarte okno jej nie uratuje – dopowiedziała.

– To nawet bardziej prawdopodobne, bo nie wierzę, że podkładałby ogień, gdyby Sebastian był w środku, za duże ryzyko, że by go usłyszeli. Cekał więc na zewnątrz, obserwował dom, dlatego chłopak zeznał, że widział tajemniczą postać między drzewami.

– Co później?

– Kiedy upewnił się, że rodzina zginie, musiał wrócić do szpitala, żeby mieć alibi. Zrobił to tą samą drogą, którą wyszedł, by pozostać w miarę niezauważonym. Monitoring to potwierdza.

– Ale nie spodziewał się, że po podłożeniu ognia, w drodze ze szpitala do domu zostanie zauważony przez księdza.

– Co?!

– Jakubczak przyznał mi się, że widział go w dniu pożaru, i obiecał, że zezna to w sądzie.

– Karolina, jesteś boska!

– Wiem.

Klamka zapadła. Rogalski miał pewność, że Zawalski mu się nie wywinie. Wertował w głowie listę kolejnych argumentów, które przemawiały za postawieniem mężczyźnie zarzutów. Podrzucone truchło szczura, głowa gryzonia odcięta skalpelem, do tego miejsca logowania się telefonu i monitoring szpitalny. Kochanki i długi, szantażowanie księdza.

Pięć trumien. Jedna mała i cztery większe. Kobieta w sile wieku, czworo dzieci, które miały przed sobą całe życie. Wspomnienie twarzy ofiar nie dawało Rogalskiemu spokoju i spodziewał się, że będzie go prześladować jeszcze przez długi czas.

Wiedział, co musi zrobić.

– Zażądam dożywocia.

* * *

Cztery miesiące wcześniej

– Jak śmiesz oskarżać mnie o coś takiego?! – Zawalski kipiał złością.

Martyna dawno nie widziała go tak wściekłego, jej samej też trudno było powstrzymać emocje.

W przeszłości zdarzało jej się znajdować w ubraniach ojca jakieś podejrzane rzeczy. Wszystko przy okazji prania. A to przypadkiem z kieszeni marynarki wyleciała paczka prezerwatyw, a to na spodniach znalazła rudy kosmyk włosów. Ubrania często były też przesiąknięte słodkimi, fiołkowymi perfumami. *Większość tych rzeczy da się sensownie wyjaśnić*, myślała, ale fioletowej pomadki odcisniętej

na kołnierzyku koszuli nie zamierzała odpuścić. Wiedziała, że mama nie używa takich kolorów szminek.

- Ciekawe, co na to matka - próbowała zagrozić ojcu, ale wiedziała, że nawet gdyby pokazała jej niezbite dowody zdrady, ta by nie uwierzyła.

Albo nie chciałyby uwierzyć

- Może bardziej zaciekawiają ją twoje kolejne problemy z prawem - Zawalski nie zamierzał odpuszczać wmanewrowany w pyskówkę z córką.

- Jakie znowu problemy? - parsknęła lekceważąco.

- Dzwonili ze szkoły. Podłożyłaś ogień w sali gimnastycznej ze swoimi koleżkami. Myślę, czy tym razem nie zgłosić tego na policję. Doigrałaś się.

Martynę przeraziło to, co usłyszała w głosie ojca. Była to ledwie skrywana satysfakcja.

- Nic takiego nie zrobiłam! Byłam tam, ale tylko patrzyłam - tłumaczyła się.

- Na pewno wszyscy ci uwierzą jak zwykle.

Nie miała zamiaru dalej wyklócać się z ojcem, odwróciła się więc na pięcie i wybiegła z pokoju. Na piętrze zamknęła się w swoich czterech ścianach i ze złością waliła pięścią w poduszkę leżącą na łóżku.

Chciała wymyślić plan, by zemścić się na ojcu. *Co zrobić, by zapłacił za to wszystko?*, myślała. Wątpiła, że mama uwierzy w jego zdrady. Podejrzewała nawet, że doskonale o nich wie, ale przymyka oko, by nie burzyć spokoju rodzinnego ogniska. *Pieprzony absurd*, myślała ze złością. Czuła się bezsilna. Miała dość życia w rodzinie pełnej kłamstw i manipulacji. To był dzień, w którym wołałaby po prostu zostać sama na świecie.

Rozdział XIV

Zbyt długi proces

2020 rok

Artur

To była wyjątkowo sroga zima. Pod białą pierzyną znalazło się nie tylko Jastrzębie-Zdrój, lecz także cały Śląsk. Rogalski strzepywał ostatnie płatki śniegu z ciemnego płaszcza, który skrywał pod sobą czarny garnitur. Jego ulubiony. Cieszył się, że kupił nowe, grube rękawiczki, bo bez nich chyba odpadłyby mu palce. Kilka razy stuknął butami o ścianę przy wejściu, bo szorowanie po wycieraczkę nic nie dało. Nie chciał zostawić mokrych śladów na korytarzach sądowych.

Ostatnie tygodnie spędził na papierkowej robocie, czekając na termin rozprawy Waldemara Zawalskiego. Utrzymywał kontakt z Karoliną Szewczyk. I choć był on znacznie rzadszy niż podczas śledztwa, to odnosił wrażenie, że zwracali się do siebie serdeczniej. Policjantka zdążyła utonąć w codziennej pracy, więc rzadziej kontaktowała się z prokuratorem. Dzień przed wyjazdem do sądu w Rybniku, jednostki Sądu Okręgowego w Gliwicach, w którym miał się odbywać proces Zawalskiego, Rogalski dostał telefon od Szewczyk. Życzyła mu powodzenia. *Czyli pamięta*, pomyślał zaskoczony, że nie wyrzuciła jego numeru z komórki.

Zdejmował kolejne warstwy ubrań, czekając, aż ochrona sądu sprawdzi zawartość jego teczki w punkcie kontrolnym. Czuł się jak na

lotnisku przed przejściem przez bramki. To nie była dla niego nowość, więc formalności załatwił szybko. Ucieszył się, że zdołał przejść kontrolę, zanim do budynku weszli dziennikarze. Przystanął na szczycie schodów prowadzących na piętro, gdzie znajdowała się sala rozpraw, i rzucił okiem na reporterów gromadzących się w korytarzu. Wśród nich dostrzegł Krzysztofa Sielskiego. Mimo miesięcy, które upłynęły, jego twarz ze zdjęcia w „Dzienniku Zachodnim”, które znajdowało się przy każdym artykule o Zawalskich, wyryła mu się w pamięci. – Obaj dotarliśmy do finału – uśmiechnął się pod nosem i ruszył dalej. Mijał korytarz za korytarzem, aż wreszcie trafił na ten właściwy. Wiedział, że czeka go długi proces, i zaczął się zastanawiać, czy jego zakończenie będzie sprawiedliwe. Wierzył, że sprawiedliwość oznacza w tym wypadku wyrok skazujący. Był przekonany, że Zawalski jest winny.

Nie wiedział, czy tę pewność miała jego rodzina. Martyna Zawalska czekała przed salą, obok niej siedział Sebastian Grogowski. Po drugiej stronie, w rzędzie ławek, dostrzegł Iwonę Turak. Spośród świadków rozpoznał jeszcze księdza Mikołaja Jakubczaka. Obecni byli też strażacy biorący udział w akcji gaszenia pożaru. W kolejnych dniach mieli być przesłuchiwani biegli do spraw pożarnictwa, sąsiedzi, dalsza rodzina, znajomi i inni, którzy mogli coś wniesić do sprawy. Słowem: mnóstwo osób.

Zauważył, jak w głębi korytarza dwóch policjantów prowadzi do sali Zawalskiego. Ktoś szturchnął prokuratora w ramię, a ten wtedy się zorientował, że dziennikarze przeszli już rutynową kontrolę przed wejściem do sądu. Ruszyli niczym stado wygłodniałych hien, przepychając się i przekrzykując. Fotografowali Waldemara w kajdankach, a ten próbował zasłaniać twarz notatkami, które pozwolono mu wnieść na salę sądową.

– Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego zabił pan rodzinę?! – padały pytania, które ignorował.

Przystanął jedynie przed wejściem na salę i spojrzął na dziennikarzy.

– Jestem niewinny – powiedział i wszedł do środka odprowadzany kakofonią wrzasków i kolejnych pytań.

Świadkowie pozostali niewzruszeni. Obserwowali całe to medialne przedstawienie w ciszy. Artur myślał, że zapewne wołają skupić się na swojej roli, którą przyjdzie im zaraz odegrać, kiedy zostaną wezwani przez sąd. Poza tym dla zwykłego człowieka obecność w sali rozpraw to jednak spory stres.

– Proces poszlakowy, to będzie interesujące – irytująco słodki kobiecy głos zdawał się brzmieć tak blisko Artura, jakby usta jego właścicielki znajdowały się tuż przy jego uchu. – Proszę się pośpieszyć, panie prokuratorze, bo zaraz tam wejdę i nie zdąży pan usłyszeć wyroku uniewinniającego.

Doskonale wiedział, z kim przyjdzie mu się zmierzyć w sali. Adwokat Helena Nawrocka była wprawdzie mecenasem z urzędu, ale jej umiejętności spokojnie pozwoliłyby na otwarcie własnej kancelarii. Z nieznanym Arturowi przyczyn nadal tego nie zrobiła. Cieszyła się za to złą sławą wśród prokuratorów, lubiła przypadki beznadziejne. Była w podobnym wieku co Artur, ale zdążyła już udowodnić, że jest wymagającym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Wygrała wiele spraw, podczas których wybroniła nawet osoby, które były w oczywisty sposób, zdaniem oskarżycieli, winne. Nigdy nie miał z nią osobistej styczności, lecz zdarzało mu się ją widywać przy okazji wizyt w rybnickim sądzie.

Teraz minęła go, nie czekając na odpowiedź. Patrzył, jak znika za drzwiami sali. Stukot jej szpilek dało się słyszeć nawet po zamknięciu drzwi. Dopiero gdy dźwięki ucichły, zebrał się, by także wejść do środka. *Zajebisty początek. Żółtodziób kontra wyjadaczka*, starał się nie myśleć w ten sposób, ale przychodziło mu to z trudem. Ostatecznie postanowił skupić się na zadaniu i pewnym krokiem wszedł do sali rozpraw.

Ta była całkiem spora jak na polskie warunki. Po lewej stronie, po której usiadł, było miejsce dla prokuratora i oskarżyciela posiłkowego, którego w tym procesie nie było. Martyna Zawalska nie chciała wystąpić w takim charakterze. Po prawej – miejsce dla obrońcy i oskarżonego. Nawrocka już szeptła coś na ucho Zawalskiemu, a ten uważnie słuchał. Nawet nie spojrzął na prokuratora, jakby w ogóle nie było go w pomieszczeniu. Artur pomyślał, że to celowe lekceważenie. Na przodzie, przy długim, wysokim stole, siedział sędzia Roman Dębiński, łysy, postawny mężczyzna, który w todzie wyglądał wyjątkowo majestatycznie. Obok niego sędzia pomocnicza, dwóch ławników i protokolantka. Na samym środku pomieszczenia stanowisko do składania zeznań, przy którym staną za chwilę pierwsi świadkowie.

Z zapytaniem tchem Artur wyczekiwał, aż rozprawa się zacznie, ale wiedział też, że za moment zostanie ogłoszona decyzja w sprawie ewentualnej niejawności procesu, o którą wzniosła obrona. *Zawalski nawet w kajdankach dba o reputację*, skwitował, mając nadzieję, że sąd nie przychyli się do tej prośby i odrzuci wnioski. Uważał, że to sprawa ważna społecznie, więc dziennikarze powinni informować opinię publiczną.

Artur

Po niezbędnych formalnościach i krótkim wstępie sędzia Dębiński beznamiętnie oznajmił, że dziennikarze, którzy zdążyli już licznie zgromadzić się w sali, mogą w niej pozostać i uczestniczyć we wszystkich rozprawach, które będą się odbywać w ramach procesu, z wyłączeniem zeznań Martyny Zawalskiej z uwagi na jej pokrewieństwo z ofiarami i oskarżonym, a także status osoby szczególnie pokrzywdzonej.

Rogalski uznał, że to sprawiedliwa decyzja. Wiedział też, że Helena Nawrocka nie tego oczekiwała. Jej obojętny wyraz twarzy sprawiał, że nie był jednak pewien, czy w ogóle przejęła się słowami sędziego. Reporterzy natomiast uśmiechali się między sobą poukrywani za aparatami, kamerami lub z nosami wciśniętymi w laptopy i notesy. Sku-

pieni, zlaknieni każdego słowa czekali na pierwszych świadków podobnie jak prokurator. Wiedział, że wszystkich tu obecnych czeka wiele dni, tygodni czy nawet miesięcy w sali sądowej.

* * *

Artur cisnął stos papierów na biurko odrobinę za mocno i w efekcie rozlał nieco kawy. Na dodatek zaczął go drapać odrastający zarost, który niedawno skrócił. Noszenie krótkiej brody miało mu dodać powagi, a sprawiało tylko problemy. Później stwierdził, że to kiepska wymówka dla zwykłego lenistwa, przez które przestał się golić na gładko. Miał ostatnio tyle stresów w pracy – a przecież proces Zawalskiego to niejedyne, czym się zajmował – że zwyczajnie nie wystarczało mu czasu na zajmowanie się sobą. Sięgnął po chusteczki i starł z biurka kilka rozlanych kropel, a później zaczął porządkować dokumenty.

Na zewnątrz znów robiło się ciepło, przyszedł naprawdę piękny maj, z którego nie miał czasu korzystać, ale przynajmniej aura sprzyjała planowaniu kolejnych rozpraw. Minęło prawie pół roku od rozpoczęcia procesu w sprawie Zawalskiego, a Artur czuł, że nastąpił pat. Nie znalazł się na przegranej pozycji, choć inne zdanie na ten temat miała zapewne Nawrocka, ale też daleko mu było do triumfu. Ustalając strategię procesową z Szewczyk, nie zauważył, że ich plan ma liczne dziury. Trudno było w pełni wyjaśnić czy udowodnić niektóre elementy aktu oskarżenia, a słowa „proces poszlakowy”, które niczym mantrę powtarzała Nawrocka, śniły mu się po nocach.

Westchnął. Może policjanci mieli rację, gdy śmiali się z jego wieku i braku doświadczenia w grubych sprawach, za które się brał? Starał się odrzucać takie myśli. Ponownie sięgnął po listę świadków, którą wcześniej przygotował. Postanowił, że przeanalizuje protokoły przesłuchań i spróbuje znaleźć punkt zaczepienia. Coś, co pomogłoby przechełcić szalę na ich korzyść. Wyjął kartkę z nazwiskami i zaczął ją

wertować. Zatrzymał palec na pierwszej osobie na liście: Martyna Zawalska.

* * *

– Czy to prawda, że w przeszłości miewała pani problemy z prawem? – Helena Nawrocka próbowała docisnąć Martynę.

– Nieprawda, kto pani tak powiedział?

– Proszę odpowiadać wyłącznie na zadane pytania – upomniała ją adwokatka. – Wandalizm, malowanie obraźliwych symboli na elewacji kościoła, a nawet podpalenie... – wyliczała, spoglądając w kartkę.

– Sprzeciw, wysoki sędzie, to insynuacje. Nauczyciel ze szkoły, do której uczęszczała Martyna Zawalska, zdementował doniesienia mediów o rzekomym zamiłowaniu świadka do wzniesienia pożarów. Przypominam zresztą, że Martyna Zawalska jest pokrzywdzoną, a nie oskarżoną – Rogalski był dobrze przygotowany, a na rozprawach zawsze pozostawał skupiony.

– Wycofuję to pytanie – Nawrocka posłała sędziemu uśmiech. – Jak ocenia pani swoją relację z matką? Ojcem? Rodzeństwem?

Liczba zadawanych przez nią pytań mogła przytłoczyć, a prokurator cieszył się, że w sali nie ma dziennikarzy, których sędzia wyprosił na czas przesłuchania Martyny. Oczami wyobraźni widział artykuły napisane na podstawie wypowiedzi dziewczyny. To było zupełnie niepotrzebne. Zawalską i tak zżerał stres.

– Z mamą przez długi czas byłam blisko, ale później nasza relacja ucierpiała. Przez ojca. Z rodzeństwem w porządku, najbliższej trzymałam się z Wiktorciem – Martynie łamał się głos na samo wspomnienie braciszka.

– Relacja z ojcem nie była dobra? W aktach czytam, że wspólnie wystosowaliście list pożegnalny podczas jednej z mszy w intencji rodziny.

– Bzdura, podpisał nas oboje bez mojej zgody – zawołała dziewczyna.

Artur uznał, że jest trochę zbyt agresywna.

– Ma pani na to jakiś dowód?

– Nie mam, ale...

– Dziękuję – przerwała jej Nawrocka. – Czy prawdą jest, że mój klient zakazał pani przyprowadzania do domu chłopaka, a pani robiła to w tajemnicy przed nim?

Martyna milczała, więc Helena przypuściła atak.

– Czy prawdą jest, że opowiadała pani chłopakowi i koleżankom z klasy o złej relacji z ojcem? Dlaczego w dzień pożaru tylko pani okno było otwarte? Dlaczego nie pomogła pani rodzeństwu, gdy zauważyła dym i płomień, a wcześniej zamknęła drzwi w swoim pokoju na klucz? I w jakim celu pani partner, Sebastian Grogowski, pojawił się u pani w dzień tragedii, a po wszystkim wyskoczył z okna i uciekł?

Martynie trudno było zareagować na ciąg pytań.

– Wysoki sędzie, to jest jakaś farsa, pani mecenas traktuje świadka jak oskarżoną – zainterweniował Rogalski.

– Ja tylko zadaję pytania, żeby wyjaśnić kwestie istotne dla sprawy – Nawrocka była w formie.

– Proszę odpowiedzieć – zwrócił się sędzia do Martyny.

– To prawda, że ojciec zabraniał mi się widywać z Sebastianem, dlatego on przychodził do mnie w nocy. Zawsze zamykałam wtedy drzwi do pokoju na klucz. Okno było otwarte, bo zapomniałam je zamknąć, gdy Sebastian wychodził. A nie ruszyłam na ratunek rodzeństwu, bo... bo się bałam. Bo już nie było takiej możliwości. Słyszałam, jak Wiktor krzyczy, i nie mogłam, po prostu... – zaczęła histerycznie płakać.

Prokurator pierwszy raz widział ją w takim stanie.

– Czy potrzebuje pani przerwy? – zapytał sędzia.

– Nie, nie, proszę dać mi chwilę – otarła łzy. Wzięła kilka głębszych oddechów i zaczęła mówić: – Nigdy nie zrobiłabym niczego, co

mogłoby narazić Wiktora. Pani insynuacje są obrzydliwe – zwróciła się do obrończyni ojca.

– Proszę zwracać się do sądu – pouczył ją Dębiński.

– Nie mam więcej pytań – zakończyła Nawrocka.

Teraz Rogalski miał swoją szansę, tak przynajmniej czuł.

– Czy to prawda, że znalazła pani dowody na to, że Waldemar Zawalski zdradzał żonę?

– Tak, skonfrontowałam się nawet z ojcem, ale wszystkiemu zaprzeczył. Mama też nie chciała mi wierzyć, później już do niej z tym nie przychodziłam. Ale widziałam artykuł w gazecie, już po pożarze, który pokazał, że miałam rację.

– Sprzeciw, wysoki sędzie. Artykuł zawierał zwykle insynuacje – Nawrocka była czujna.

– Iwona Turak potwierdziła, że była kochanką oskarżonego, wysoki sędzie – zareagował natychmiast Artur.

– Sprzeciw oddalony – orzekł sędzia.

– Wiedziała pani, że rodzice mieli problemy finansowe? – pytał dalej prokurator.

– Nie, nigdy nie narzekali na brak pieniędzy.

– A wiedziała pani, że planowali wyjazd na zagraniczne wakacje całą rodziną, dlatego zdecydowali się na wysokie ubezpieczenie?

– Nie, nic o tym nie mówili.

– Sprzeciw, wysoki sędzie, świadek mógł o tym nie wiedzieć, bo wyjazd był niespodzianką.

Rogalski miał wrażenie, że Nawrocka wymyśliła to na poczekaniu, bo tuż przed zabraniem głosu szeptała coś z Zawalskim. Trzeba przyznać, że dobrze prowadziła linię obrony.

– Kiedy ostatni raz usłyszała pani od ojca, że panią kocha? – Artur przyjął inny schemat działania.

– Nie pamiętam, bardzo dawno temu – odpowiedziała bez wahania.

– Wysoki sędzisz, pytanie jest bezprzedmiotowe – zawołała natychmiast adwokatka.

* * *

Artur zdawał sobie sprawę, że Nawrocka przez ostatnie miesiące skutecznie starała się zdyskredytować wszelkie wypowiedzi wskazujące na ewentualną winę Zawalskiego, ale nie mogła całkowicie odrzucić tego, co było niepodważalne w zeznaniach świadków.

Biegli do spraw pożarnictwa potwierdzili, że trudno byłoby jednej osobie podłożyć ogień w wielu miejscach, ale w teorii było to możliwe. Stwierdzili również, że mechanizmy przy roletach okiennych zostały celowo uszkodzone. Adwokatka Zawalskiego nie potrafiła sensownie wyjaśnić, jakim cudem stało się to niemal we wszystkich oknach, choć znowu starała się razem z oskarżonym zrzucić winę na Martynę, która „była wtedy w domu” i „jako jedyna przeżyła”. To była ostateczna linia obrony przez atak, ponieważ początkowo założoną teorię, jakoby mechanizmy stopiły się na skutek wysokiej temperatury, zdementowali biegli.

Obciążające dla Zawalskiego były też zeznania najbliższej rodziny. Ojciec Magdy, jego żony, dyrektor kopalni, z całą stanowczością zeznał, że córka w ostatnich miesiącach życia zdawała się nieszczęśliwa, zaniedbana przez męża. Co prawda stwierdzał, że nie żaliła się wprost, ale było po niej widać chroniczne zmęczenie. Jego zdaniem córka była w kiepskiej kondycji psychicznej.

Rogalski przypomniał sobie, że mocnym punktem oskarżenia były też zeznania Sebastiana Grogowskiego, który opowiedział, jak Martyna przeżywała śmierć bliskich. Wtedy obrona znowu postanowiła zaatakować.

* * *

– Przez kilka pierwszych dni po pożarze nie mogłem nawet wspomnieć imienia Wiktora, bo Martyna od razu zaczynała płakać – mówił

Sebastian Grogowski, odpowiadając na pytanie Rogalskiego. – To nie był taki normalny płacz, tylko lament, histeria. Nie mogłem jej uspokoić, strasznie to przeżywała.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – Artur usiadł, przekonany, że dobrze poprowadził przesłuchanie świadka.

Kilkoro dziennikarzy wciąż wsłuchiwało się w zeznania, ale przedstawiciele mediów było już znacznie mniej niż na pierwszych rozprawach. Temat powoli przestawał grzać media, bo proces się przedłużał. Ci najwytrwalsi, w tym Sielski z „Dziennika Zachodniego”, wciąż jednak przychodzili.

– Czy Martyna skarżyła się panu na rodzinę? – Helena Nawrocka wertowała równo poukładane notatki.

– Czasami mówiła, że ojciec źle ich traktuje. Chciała się jakoś zemścić, ale nie wymyśliła jak.

Rogalski aż przewrócił oczami, gdy usłyszał, co Grogowski palnął. Sam się podłożył obrońcy.

– Zemścić? To bardzo ciekawe. Proszę wyjaśnić, o jaką zemstę chodzi.

– W sensie nie, to nie tak... – chłopak próbował wycofać się z tego, co zeznał.

– Panie Grogowski – przerwała mu – czy w zachowaniu Martyny w dniu pożaru nie zauważył pan niczego podejrzanego?

– Co? Nie, zachowywała się normalnie.

– Nie mówiła na przykład, że to tego wieczoru planuje się zemścić na ojcu?

– Sprzeciw, wysoki sędzie – Rogalski wstał z miejsca.

– Wycofuję pytanie, dziękuję – Nawrocka uśmiechnęła się pod nosem.

Sebastian nie odszedł jednak ze stanowiska do składania zeznań. W sali wzmógł się dźwięk stukania w klawiatury, dziennikarze poczuli krew.

- Pamiętam coś jeszcze... - zaczął, a sędzia pozwolił mu dokończyć. - Gdy wychodziłem od Martynty tej nocy, dostrzegłem między drzewami jakąś postać. To mógł być jej ojciec - stwierdził.

- Wysoki sędzie, to zwykle domniemania, to mógł być ktokolwiek - Nawrocka nie mogła tego odpuścić.

- Widział pan twarz tej osoby? - dopytał sędzia.

- Tak dokładnie to nie... - wymamrotał Sebastian.

- Proszę o jasną odpowiedź. Czy byłby pan w stanie rozpoznać osobę, którą widział tamtej nocy? - sędzia chciał konkretów.

- Nie.

* * *

Rogalski przerzucał strony kolejnych dokumentów, przeglądając akta sprawy i zeznania świadków. Prawdę mówiąc, sytuacja nie była tak dramatyczna, jak początkowo sądził, ale wciąż potrzebował mocnego argumentu, który przekonałby sędziego o winie Zawalskiego. Argumentu, którego nie dałoby się podważyć.

Wtedy przypomniał sobie o zeznaniach Iwony Turak. *To był jeden z najbardziej przełomowych momentów w sali rozpraw*, myślał. Nawet Helena Nawrocka nie potrafiła odpierać słów kochanki Zawalskiego, choć oczywiście próbowała to robić.

* * *

- Kochałam go szczerze i wydawało mi się, że on mnie też kocha. Wiele razy obiecywał, że odejdzie dla mnie od żony, która go już nie interesowała. Na dzieciaki też wiecznie narzekał, miał ich dość. Obiecywał, że zrobi coś, żebyśmy mogli być razem - Turak mówiła pewnym, spokojnym głosem.

Po tym, jak prokurator skończył zadawać jej pytania, przyszła kolej na obronę.

- Z moich ustaleń wynika, że Waldemar Zawalski nigdy nie obiecywał pani wspólnego życia. - Nawrocka postanowiła zakwestionować

słowa świadka.

- To nieprawda, robił to wiele razy.

- W jakich okolicznościach?

- Intymnych - odpowiedziała Turak z pewnością w głosie.

- Czyli w afekcie, w momentach uniesienia, kiedy umysł nie działa w pełni racjonalnie?

- Co pani sugeruje?

- Niczego nie sugeruję, stwierdzam tylko, że mój klient mógł składać różne obietnice w przyływie wielkich emocji, a kiedy przyszło do rozmowy na spokojnie, odtrącił pani załoty.

- Moje załoty?! - Iwona wyglądała na wytrąconą z równowagi, na czym zależało adwokatce. - Absurd. To on zainicjował romans, to on używał tej całej tragedii do tego, by jeszcze bardziej owinąć mnie sobie wokół palca. Wzbudzał litość, współczucie. Ale ja nie jestem głupia. Oczekiwał nawet, że pożyczę mu trochę pieniędzy. W życiu! Przez chwilę pomyślałam, że może ten pożar jest jego sprawką, bo pasował do obietnic, które mi składał. Ale nigdy nie oczekiwałam czegoś tak popieprzonego.

- Nie kłam, wariatko! - wrzasnął Zawalski.

W sali rozpraw zapanowało poruszenie. Dziennikarze zaczęli szybciej notować, a fotoreporterzy - robić zdjęcia. Obiektywy kamer skierowano na twarz Waldemara. Jego mecenaska natychmiast skarciła go wzrokiem, ale wiedziała, że tym razem jest za późno. Zawalski stracił panowanie nad sobą i wszyscy to widzieli.

Rogalski ucieszył się w duchu, że oskarżony wreszcie zrzucił maskę obojętności, którą przywdział na początku procesu. Powoli pokazywał prawdziwe oblicze. Prokurator liczył na to, że nie umknie to uwadze sędziego.

- Proszę się uspokoić albo będę zmuszony nałożyć na pana karę - zareagował sędzia.

Zeznania Iwony Turak mocno obciążały Zawalskiego.

Artur zastanawiał się, jak najlepiej wykorzystać to, co do tej pory przedstawiono podczas procesu. Asem w rękawie pozostawały informacje dotyczące bilingów telefonicznych i stacji logowania komórki Waldemara, ale też monitoring szpitalny i kłótnie z księdzem.

Powoli musiał szykować się z powrotem do sali rozpraw, więc zaczął pakować do teczki potrzebne dokumenty. Do tej pory przesłuchano już wielu świadków, ekspertów, ale i zwyczajne osoby, które miały styczność z Zawalskim i jego rodziną, więc mogły ukazać szerszą perspektywę tego, co się wydarzyło. Przeszłość oskarżonego, to, w jaki sposób układał sobie relacje z ludźmi, jakich ewentualnych manipulacji się dopuszczał – te elementy mogły mieć niebagatelny wpływ na ocenę sądu, a ostatecznie na wyrok. Zwłaszcza w kontekście podtrzymywanej przez obronę narracji, że twardych dowodów nie ma, więc jest to nadal wyłącznie „proces poszlakowy”.

Artur spodziewał się, że tego dnia sala rozpraw znów wypełni się dziennikarzami, bo przed sądem miał zeznawać ksiądz Mikołaj Jakubczak, jeden z kluczowych świadków, który mógł wiele powiedzieć o zachowaniu Zawalskiego.

Kiedy mijał proboszcza w sali sądowej, ten spojrział na niego i łagodnie się uśmiechnął. Prokurator zastanawiał się, czy rozmowa księdza z Szewczyk była na tyle przekonująca, że podczas składania zeznań duchowny powie całą prawdę. W sumie był do tego zobligowany, ale kto wie. Artur miał nadzieję, że tak właśnie będzie. Wszedł na salę i zajął swoje miejsce, obserwując wszystkich zgromadzonych.

Usłyszał krótkie wstępne formułki, które znał na pamięć, po czym zaproszono świadka. Kiedy ksiądz Mikołaj Jakubczak wszedł do sali, zapadła absolutna cisza. Napięcie zdawało się nie do zniesienia. Rogalski zdał sobie sprawę, że nie tylko on z zapartym tchem czeka na te zeznania. Pewnie przede wszystkim czekali na nie dziennikarze, tak oceniał.

- Jakie relacje łączą pana z oskarżonym? – sędzia Dębiński zabrał głos jako pierwszy zaraz po tym, jak ksiądz Jakubczak przedstawił się i przekazał dokument tożsamości do wglądu.

- Waldemar pomagał nam w parafii, bardzo angażował się w jej życie. Prywatnie też się lubiliśmy – opowiadał ksiądz.

- Co myśli ksiądz o całej tej sprawie?

- Zarzuty są bardzo poważne. Trudno mi ocenić, czy Waldemar byłby zdolny do czegoś takiego – kontynuował proboszcz.

Po kilku prostych pytaniach, które nie wniosły niczego szczególnego do sprawy, przyszła kolej na strony postępowania. Tym razem jako pierwsza miała wystąpić Nawrocka. Rogalski czekał więc ze spokojem na swoją kolej. Adwokatka zaczęła ostrożnie, próbując wy badać księdza, jego nastawienie. Dopiero po kilku minutach wystrzeliła z poważnym pytaniem.

- Czy to prawda, że korzystał ksiądz z funduszu kościelnego w celach, na które nie jest on przeznaczony?

- To zależy, co ma pani na myśli. Fundusz kościelny ma bardzo szeroki zakres przeznaczenia i myślę, że nie nadużywałem go do własnych celów – Jakubczak był bardzo spokojny.

- Czy pożyczanie pieniędzy znajomym można nazwać nadużyciem?

- Sprzeciw, wysoki sędzie, to insynuacje – przerwał Rogalski.

Sędzia podtrzymał sprzeciw.

- Zadam pytanie inaczej – Nawrocka nie dała się zbić z tropu. – Czy zdarzało się księdzu pobierać środki z funduszu, a następnie przekazywać je osobom trzecim, które nie powinny mieć do nich dostępu?

- Tak, ale... – proboszcz myślał, że będzie mógł się wytłumaczyć.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań – ucięła.

Zrobiła wszystko, żeby zdyskredytować świadka.

Rogalski miał plan, jak wyprowadzić księdza z trudnej sytuacji i odwrócić jego zeznania na swoją korzyść. Uważał, że pytaniem

o fundusz kościelny Nawrocka zaszkodzi bardziej swojemu klientowi niż świadkowi.

– Proszę powiedzieć, komu spośród swoich „znajomych”, jak to określiła mecenas Nawrocka, pożyczał pan pieniądze z funduszu kościelnego i w jakim celu.

– To były pieniądze tylko dla Waldemara. Na początku on inwestował w parafię, z własnej woli, a później, kiedy znalazł się w trudnej sytuacji, nie mogłem się od niego odwrócić. Zawsze oddawał, więc pieniądze nie przepadały – Jakubczak z ulgą spojrzął na prokuratora.

– Kiedy te pożyczki się zakończyły?

– Waldemar przyszedł do mnie dzień przed pożarem i znowu poprosił o pieniądze. Czułem się fatalnie z tym, co robiliśmy, więc tym razem postanowiłem odmówić. Wściekł się, próbował mnie szantażować donosem do moich zwierzchników, ale ja już tak dłużej nie mogłem. Wybiegł z kościoła, był wyraźnie niezadowolony.

Rogalski kątem oka dostrzegł, że Zawalski robi się czerwony na twarzy. Ewidentnie chciał zabrać głos, ale z całych sił się powstrzymywał, przygotowany zapewne przez Nawrocką. Ta z kolei starała się pozostać niewzruszona, ale grymas na jej twarzy wskazywał, że również walczy z emocjami. *Popętniłaś błąd i dobrze o tym wiesz*, myślał Artur, patrząc na mecenaszkę.

– Co robił ksiądz w dniu pożaru? Czy jest coś, co szczególnie przykuło księdza uwagę? – Rogalski wrócił do zadawania pytań.

– Przez cały dzień byłem w parafii, mogą to potwierdzić wierni. Odprawiałem msze od rana do wieczora. Nocą pojechałem do jednego z parafian, by udzielić namaszczenia chorych. Kiedy wracałem na plebanie, minąłem samochód Waldemara. Jechał w stronę Jastrzębia – Jakubczak dał prokuratorowi punkt zaczepienia.

– O której to było godzinie?

– Może koło drugiej w nocy...

– Czyli niedługo przed pożarem.

- Sprzeciw, wysoki sędzie, prokurator podpowiada świadkowi swoją wersję wydarzeń – Nawrocka była wyraźnie zdenerwowana.

- Wysoki sędzie, to są kluczowe zeznania, które wskazują na to, że oskarżony mógł w dniu pożaru pojechać do swojego domu. Kościół znajduje się na trasie do szpitala – Artur nie zamierzał dać za wygraną.

- Równie dobrze świadek mógł widzieć kogokolwiek innego, był środek nocy, ciemno, a mój klient nie jest jedyną osobą, która ma samochód konkretnej marki. Czy widział ksiądz tablice rejestracyjne?

Jakubczak pokręcił głową, ale zanim sędzia przerwał wymianę zdań między Rogalskim a Nawrocką, Artur postanowił wykorzystać to, że adwokatka straciła panowanie nad oskarżonym, i spróbował wyprowadzić go z równowagi.

- Z zeznań świadka wynika, że Waldemar Zawalski mógł wyjść ze szpitala w dniu pożaru i pojechać do domu, podłożyć ogień, a później wrócić do miejsca pracy. Stacje logowania komórki, zbadane przez biegłych, wskazują na to, że jego telefon zalogował się bliżej domu niż szpitala, kiedy po wybuchu ognia zadzwoniła do niego córka Martyna. Szczur, którego podrzucano do instalacji elektrycznej, został zabity skalpelem, którego używają chirurdzy, tacy jak pan Zawalski, w swojej pracy. Postać, którą w dniu pożaru widział też Sebastian Grogowski, to również mógł być oskarżony. To, że opuścił szpital, potwierdza monitoring placówki. Czy potrzeba pani czegoś więcej, pani mecenas?

Szybko wyrzucał z siebie zdania, nie zważając na to, że sędzia Dębiński próbuje mu przerwać, podobnie jak Nawrocka. Wiedział, że taka niesubordynacja może go sporo kosztować, ale liczył na to, że Zawalski pęknie i dzięki temu cała uwaga skupi się na oskarżonym.

- Nie mogę tego zrobić! Przestań, nie namawiaj mnie do tego! – zachrypnięty głos Waldemara rozniósł się po całej sali. – Grozili mi, wysyłali do mnie esemesy! Pisali, że skończę tak samo jak moja rodzina. Nie poszedłem z tym na policję, bo bałem się, że nikt mi nie

uwierzy. To te głosy, one kazały mi podrzucić truchło szczura. Nie wiem dlaczego! Ciągłe mnie prześladują.

Wszyscy zamarli, wpatrując się w Zawalskiego, który poderwał się z krzesła. Dużo gestykulował, modulował głos, zachowywał się zupełnie inaczej niż do tej pory. Policjanci byli w gotowości, ale oskarżony nie ruszał się z miejsca, tylko zachowywał się tak, jakby na zmianę mówił do siebie i do osób zebranych w sali.

Artur dopiero po chwili się zorientował, co właśnie się dzieje. Waldemar Zawalski postanowił, w jego ocenie, symulować chorobę psychiczną. A ten plan awaryjny, jak się zdawało prokuratorowi, przyszedł oskarżonemu do głowy już podczas jednego ze wstępnych przesłuchań w prokuraturze. Ostateczna linia obrony, by w razie orzeczenia winy zmniejszyć karę z uwagi na niepoczytalność. A może rzeczywiście coś było z nim nie tak? Artur sam już nie wiedział. Był jednak pewien, że działania Zawalskiego nie zostaną przez innych tak szybko zakwestionowane. Tym bardziej że po minie Nawrockiej wnioskuje, że ona sama nie spodziewała się takiego obrotu spraw, czyli oskarżony prawdopodobnie zrobił to bez konsultacji z nią. Przypomniał sobie, jak Zawalski mamrotał pod nosem podczas przesłuchania, jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Czy faktycznie już wtedy przygotowywał sobie plan awaryjny, gdyby zeznania świadków przemawiały na jego niekorzyść? Był aż tak wyrachowany? Artur nie miał pojęcia.

Wiedział jednak, że czeka go teraz odroczenie kolejnych rozpraw do czasu, aż biegi do spraw psychiatrii wydadzą opinię.

* * *

Trzy miesiące wcześniej

Magdalena Zawalska siedziała przy stole, opierając podbródek na dłoni. Czekwała, aż mąż wróci z pracy. Znowu się spóźniał. Kolacja

dawno zdążyła wystygnać, a ona liczyła na to, że zjedzą ją wspólnie. Dzieci dawno poszły spać, a przynajmniej tak jej się wydawało, więc siedziała samotnie w ciszy. Mała lampka nad kuchenką rozświetlała delikatnie pokój. Mijały kolejne minuty, a ona czuła, że zaraz odpłynie w sen.

Zanim to nastąpiło, usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Do środka wszedł Waldemar. Starał się być cicho, omijał zabawki rozrzucone w przedpokoju, rozbierał się powoli. Magda doszła do wniosku, że i tak nikogo by nie obudził, bo odgłosy z parteru nie są aż tak głośne dla osób znajdujących się na piętrze, ale to miłe z jego strony, że tak się troszczy o bliskich.

- Znowu nadgodziny? - zapytała, a on aż podskoczył.

- Myślałem, że już śpisz - powiedział oschle.

- Chciałam, żebyśmy zjedli razem kolację - miała żal do męża, choć starała się go przesadnie nie okazywać.

Nie chciała go dodatkowo denerwować.

- To zjedzmy - zaproponował ku jej zaskoczeniu.

Usiadł przy stole i sięgnął po zimne jedzenie.

- Może to podgrzeję? - zaproponowała, ale gestem dłoni pokazał, że nie jest to konieczne.

Żuł ostentacyjnie każdy kęs, z uśmiechem na twarzy.

- Pyszne - skomplementował. - Przepraszam cię, też nie jestem zadowolony z tego, jak dużo muszę ostatnio pracować. Czasami czuję, że zaczynam wariować - wyznał.

Magda była osobą niezwykle empatyczną. W każdym widziała dobro, nawet jeśli nie zawsze była właściwie traktowana. Występkę dzieci, złośliwość męża - nie potrafiła długo rozpamiętywać takich zachowań. Miała w sobie tyle miłości, że mogłaby obdarzyć nią połowę Bzia.

- Nie szkodzi, rozumiem - głaskała Waldka po ramieniu, kiedy ten zajadał się zimną kolacją.

Martwiła się o niego. Miała nadzieję, że problemy w pracy nie przełożą się na ich życie prywatne, choć już teraz dało się zauważyć, że stres Waldka odciska piętno na ich rodzinie. Tłumaczyła go, mówiła samej sobie, że niezależnie od tego, jak bardzo człowiek próbuje oddzielić życie zawodowe od prywatnego, nigdy nie jest to w stu procentach możliwe.

– Jesteś taki zmęczony, wracasz po nocach. Musisz odpocząć, bo to nie skończy się dobrze – radziła.

Nie skomentował, jadł dalej. Dopiero wstając od stołu, rzucił:

– Tak, tak.

Machinalnie pocałował żonę w czoło i ruszył do łazienki. Nie oczekiwała od niego wiele, ale takie lekceważące podejście nieco ją zaskoczyło. Szczerze się martwiła o męża, a on ją zwyczajnie zbył.

Rozdział XV

Wyrok

2021 rok

Artur

Proces Waldemara Zawalskiego stanął w miejscu i nie ruszył przez prawie rok. Ostatnie zeznania świadków, tuż przed odroczeniem kolejnych rozpraw, obciążały oskarżonego, stawiając go w negatywnym świetle. Teraz zajmowali się nim psychiatrzy, którzy mieli potwierdzić, czy jest osobą niepoczytalną, co mogło sugerować jego zachowanie na ostatniej rozprawie. Rogalski liczył na to, że przy okazji eksperci podejmą się analizy jego osobowości. Wyniki takich badań pomogłyby prokuratorowi w dopracowaniu i wzmocnieniu aktu oskarżenia.

Kończył właśnie poranną kawę i przeglądał prasę. Media prawie zapomniały o sprawie, zajmując się innymi tematami, które akurat interesowały opinię publiczną. Raz na jakiś czas „Dziennik Zachodni”, ale też „Super Express” czy „Fakt”, przypominały historię Zawalskiego, przede wszystkim stawiając pytanie, kiedy poznamy dalsze losy oskarżonego.

Artur sam długo wyczekiwał informacji o tym, kiedy powróci do sali sądowej. Zanim to nastąpiło, zajmował się papierologią i pomniejszych sprawami, które akurat trafiały na jego biurko. Miał wrażenie, że przełożeni traktują go poważniej, mimo że Zawalski jeszcze nie

został skazany. Widzieli, że tuż po ogłoszeniu przerwy w procesie media zmieniły narrację, nie nazywając oskarżonego Hiobem, tylko zmieniając przydomek na Podpalacza. Sąsiedzi Waldemara, ludzie pytani przez dziennikarzy o tę sprawę, coraz rzadziej go bronili, a częściej zadawali pytania, czy naprawdę mógł mieć związek z tragicznym pożarem. Nadal znajdowali się jednak i tacy, którzy wierzyli w jego niewinność. Niezmiennie ciepło wszyscy wypowiadali się natomiast o zmarłych, Magdalenie Zawalskiej i dzieciach.

W ciągu tego roku Rogalski kilka razy spotykał się z Karoliną Szewczyk. Głównie przy okazji prowadzenia innych śledztw, ale nie tylko. Policjantka chciała być na bieżąco ze sprawą Zawalskiego. Powoli też, jak się Arturowi wydawało, zaczynała układać sobie życie. Słyszał nawet plotki, że parę razy widziano ją w mieście z Adamem Kowalczykiem, kolegą z komendy. Trochę go to zdziwiło, bo Kowalczyk był przecież od niej dużo młodszy. Arturowi to jednak nijak nie przeszkadzało. Naprawdę dobrze życzył Karolinie.

Rozmawiał z nią między innymi o sprawie tajemniczych telefonów i wiadomości z pogroźkami, które rzekomo miał otrzymywać Zawalski. Prawdę mówiąc, Waldek zaskoczył ich tą informacją, sprzedaną już podczas procesu. Wcześniej nie wspominał o groźbach. Zresztą po wstępnym przesłuchaniu w prokuraturze w ogóle – pewnie za radą adwokatki – odmówił składania zeznań. Po kilku miesiącach pracy techników i biegłych okazało się, że SMS-y wysyłał... sam do siebie. Korzystał z różnych kart SIM, ale eksperci językowi, analizując styl pisania szantażującego ze stylem oskarżonego, stwierdzili jednoznacznie, że wiadomości pisała ta sama osoba. Zresztą sam Zawalski, dociśnięty przez śledczych, do wszystkiego się przyznał.

– Chciał w ten sposób utrudnić śledztwo, odsunąć od siebie podejrzeń. Nie przyznał się jednak do tego, że podłożył ogień i zabił rodzinę. Nadal uważa, że jest niewinny. Powiedział jedynie, że podłożył truchło szczura, bo tak kazały mu „głosy w głowie”. Zrobił to, bo uważał, że śledczy chcą go w ten pożar wrobić, więc „musiał się rato-

wać”. Tak przynajmniej ostatnio zeznał – tłumaczył Rogalski Karolinie podczas jednego ze spotkań w miejscowej kawiarni.

– Czyli kwestia niepoczytalności pozostaje otwarta – skwitowała. – Na szczęście już niedługo.

Zbliżał się termin wznowienia procesu, a Rogalski już nie mógł się doczekać powrotu do sali rozpraw. Trudno mu było skupić się na innych sprawach, kiedy wciąż miał z tyłu głowy, że ten rozdział nie został zamknięty. Był też szczerze zainteresowany wnioskami biegłych do spraw psychiatrii.

Kiedy jednak jechał do sądu w Rybniku, nie myślał tylko o tym. Analizował także sprawę listów, które Waldemar Zawalski rozsyłał do bliskich, rodziców i teściów, kiedy już przebywał w areszcie. Nie zwolniono go mimo wniosków obrony, bo sąd uznał, że istnieje obawa mataczenia. Pisał, że jest niewinny, prosił często o „Boże błogosławieństwo” i przekonywał, że mu ciężko. Część listów rozsyłał także do dziennikarzy. Rogalskiemu zdarzyło się przeczytać w prasie o argumentach Waldemara, którymi próbował przeciągnąć media na swoją stronę i udowodnić niewinność. Większość teorii, które wymyślał, nawet nie była logiczna. Często zrzucał winę na śledczych, zarzucał im brak obiektywizmu i profesjonalizmu. W jednym z listów stwierdził nawet, że prokurator Rogalski się na niego uwziął. Artura to jedynie rozśmieszyło.

Wreszcie nadszedł dzień rozprawy. Rozejrzał się po sądowym korytarzu, wypatrując znajomych twarzy. Krzysztof Sielski z „Dziennika Zachodniego” znów przykuł jego uwagę, przechodził właśnie przez barierki ochrony. Artur kiwnął mu nawet głową na przywitanie, co najwyraźniej zaskoczyło młodego reportera.

Przed salą czekała z kolei Martyna Zawalska. Sąd nie wziął na poważnie sugestii, jakoby córka oskarżonego mogła mieć coś wspólnego z pożarem. Uwierzył zeznaniom świadków, którzy opowiadali, jak bliską relację miała z najmłodszym bratem. Ksiądz Jakubczak opowiedział nawet przed sądem o tym, jak młoda Zawalska specjalnie

przychodziła do kościoła z Wiktorem, choć sama nie była przesadnie wierząca. Teoria obrony, jakoby mogła chcieć się zemścić na ojcu, zabijając całą rodzinę, była od początku absurdalna. Artur stawiał na to, że musiał wymyślić ją sam Waldemar, który nie znosił córki. Dziwiło go tylko, że Nawrocka na to poszła.

Teraz czekał na pojawienie się sędziego, przyglądając się Zawalskiemu. Oskarżony jak zwykle siedział niemal bez ruchu i patrzył przed siebie. Nosił to samo co na każdej rozprawie. Jedyne, co się zmieniło, to jego wygląd. Twarz miał zmęczoną, pomarszczoną, nosił też długą brodę, od dawna niestrzyżoną. *Więzienie nie służy urodzie*, zgryźliwie podsumował Artur.

Sędzia Roman Dębiński zdawał się oczekiwać opinii biegłych równie niecierpliwie jak pozostali zebrani, bo znacznie przyspieszył wszelkie formalności związane ze wznowieniem posiedzeń po rocznej przerwie. Gdy do środka weszła biegła, niemal od razu przeszedł do najważniejszych pytań o ustalenia.

– Biegli początkowo uznali, że Waldemar Zawalski jest osobą niepoczytalną – słowa ekspertki wbiły Rogalskiego w fotel. Nie wiedział, jak ma na to zareagować. – Zostali jednak oszukani przez oskarżonego, co udało się potwierdzić w kolejnych miesiącach obserwacji. Waldemar Zawalski symulował objawy chorób, które się wzajemnie wykluczają. Robił to na podstawie podręcznika do psychiatrii, który jest ogólnodostępny w miejskich bibliotekach oraz w internecie. Jeden z naszych specjalistów wskazał nawet konkretne strony, z których oskarżony korzystał.

Kamień spadł prokuratorowi z serca. Cekał w napięciu, co jeszcze powie psychiatra.

– Ostateczne wyniki badań biegłych wskazują więc, że Waldemar Zawalski był w trakcie zarzucanych mu czynów i jest obecnie osobą poczytalną, w pełni świadomą swoich działań – stwierdziła. – Ale to nie wszystko... – zrobiła krótką pauzę. – Biegli rozpoznali u oskarżonego również cechy wskazujące na osobowość psychopatyczną. Ude-

rzająca płytkość uczuć, sztuczny, wymuszany płacz, brak głębszego przeżywania, umiejętność manipulowania własnym wizerunkiem i otoczeniem – wyliczała, a Artur czuł, że ma Zawalskiego w garści.

Helena Nawrocka nie powiedziała jeszcze jednak ostatniego słowa. Poprosiła o przerwę, po której okazało się, że złożyła co najmniej kilka wniosków wyjaśniających, wnosząc między innymi o powołanie nowych biegłych i wykonanie następnych ekspertyz. *Chce to przeciągać w nieskończoność? Taką ma strategię?*, myślał Rogalski.

Kiedy sędzia wrócił do sali, od razu zabrał głos:

– Zdaniem sądu dotychczasowe ustalenia biegłych są rzetelne i nie wymagają kolejnych weryfikacji. Dowody przedstawiane przez obronę były już poruszane w trakcie postępowania lub nie mają znaczenia w dalszych ustaleniach, dlatego sąd zdecydował, że odrzuca wszystkie zgłoszone wnioski – Roman Dębiński był ostry i stanowczy.

Ale mecenas Nawrocka miała jeszcze jednego asa w rękawie.

– Chciałbym złożyć oświadczenie – oznajmił niespodziewanie Waldemar Zawalski.

Rogalski był pewien, że obrończyni go na to przygotowała.

Sędzia wyraźnie przewrócił oczami, ale zgodził się, bo tak nakazywało prawo. Było jednak widać, że domyśla się, dokąd to prowadzi.

– Oświadczam, że nieprawdą jest, jakoby przekazano mi dom następnego dnia po pożarze o godzinie czternastej, bo był on pilnowany przez policjantów przez kilka kolejnych dni i w tym czasie nie miałem tam wstępu... – Zawalski przez kilkanaście długich minut mówił o wielu nieznaczących szczegółach tego typu.

Rogalski złapał się na tym, że w pewnym momencie przestał go nawet słuchać.

W pewnej chwili wtrącił się sędzia Dębiński:

– Sprawy, które pan porusza, były już tutaj analizowane. Uzupełnia pan zeznania świadków, wypowiada subiektywne opinie dotyczące prowadzonego śledztwa. To wszystko nie jest konieczne, w związku

z czym odbieram panu głos. To niepotrzebne przeciąganie dzisiejszej rozprawy – stwierdził.

Nawrocka nie odezwała się ani słowem. Wiedziała, że sąd ma rację. Sam Zawalski także milczał. Artur z zadowoleniem uznał, że nareszcie się poddał. Cała sala zdawała się czekać w milczeniu na to, co nastąpi za moment. Skoro wszyscy świadkowie zostali już przesłuchani, strony postępowania nie miały więcej wniosków, a Zawalski stracił prawo głosu, to przyszedł czas na mowy końcowe. Sąd zamknął protokół i kazał się przygotować stronom.

Artur Rogalski miał tydzień, by stworzyć najlepszą mowę, jaką tylko potrafił.

Prokuratura

Kolejne wydarzenia w sądzie można podzielić na trzy akty, w których występowały kolejno: prokuratura, obrona, oskarżony. Rogalski jako pierwszy wygłaszał mowę końcową, tuż po nim głos miała zabrać mecenas Helena Nawrocka, a na koniec oskarżony Waldemar Zawalski. O ile będzie chciał. Artur był jednak pewien, że mężczyzna nie odpuści.

Rogalski przez cały tydzień dopracowywał tezy swojej mowy, wiedząc, że od finałowych słów i wniosków w dużym stopniu zależy wyrok. Był pewien swego, ale zdawał sobie sprawę, że Nawrocka na pewno także świetnie się przygotowuje.

Kiedy znalazł się wreszcie w sali sądowej, wstał z miejsca i zaczął mowę. Skupił na sobie uwagę wszystkich: dziennikarzy, obrony, Martyny Zawalskiej, którą wpuszczono do sali w roli obserwatora, oskarżonego i całego składu sędziowskiego.

– Kim jest Waldemar Zawalski? To pytanie, które wielokrotnie zadawałem sobie podczas śledztwa prowadzonego w tej sprawie. Czy jest mężem i ojcem dotkniętym przez tragiczny los, który stracił pięcioro najbliższych? A może jest osobą wypełnioną nienawiścią, psy-

chopata, który – aby zacząć nowe życie – postanowił definitywnie zakończyć to, które prowadził do tej pory? Zamiast odejść od najbliższych, postanowił ich zabić. Nie tylko zabić, lecz także zyskać finansowo na ich śmierci. Martyna Zawalska, córka, która jako jedyna przeżyła tragedię wbrew jego planom, później ani przez chwilę nie zaznała jego wsparcia. To, który Waldemar Zawalski jest prawdziwy, wiemy dziś wszyscy. Nie wierzę, że ktokolwiek na tej sali ma co do tego jakiegokolwiek wątpliwości...

Na dłuższą chwilę zawiesił głos, wodząc wzrokiem po zgromadzonych, a potem kontynuował:

– Tuż przed pożarem oskarżony ubezpieczył rodzinę i dom. Zawarł polisy, które umożliwiłyby mu otrzymanie dużej sumy, gdyby rodzina poniosła śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku. I niedługo później ten „wypadek” się wydarzył. Śledztwo wykazało, że oskarżony miał długi i problemy finansowe. Dziwnym zbiegiem okoliczności w pożarze nie ucierpiały rzeczy drogocenne, jakby ktoś celowo przeniósł je w miejsce, do którego nie sięgną płomienie. Waldemar Zawalski zadbał o to, by rodzina nie mogła się wydostać z pułapki, którą na nią zastawił. Uszkodził rolety, w które jego żona, Magdalena, rozpaczliwie uderzała pięściami, chcąc wydostać siebie, a przede wszystkim dzieci, ze szponów śmierci. Podłożył ogień i zaryglował drzwi. Sądził, że pomyślał o wszystkim. Zabił szczura i podrzucił do instalacji elektrycznej, by odsunąć od siebie podejrzenia. Udawał wariata, wysyłał sam do siebie SMS-y. Nie zdołał jednak zwieść śledczych. Jego telefon zalogował się do stacji komórkowej w pobliżu domu. Monitoring szpitala pokazał, że oskarżony opuścił placówkę w nocy tuż przed wybuchem ognia. Zauważył go nawet ksiądz, którego Waldemar Zawalski szantażował, próbując raz za razem wyludzać pieniądze.

Kolejny raz na chwilę zawiesił głos.

– Trzydziestodwuletnia Magdalena Zawalska, kobieta o ciepłym sercu, ze wspaniałym podejściem do dzieci, zakochana w mężu Waldemarze, który ją przez lata zdradzał i oszukiwał. Zmarła w drodze

do szpitala. Klaudia Zawalska uwielbiała jeździć konno. Dostawała świetne oceny w szkole, marzyła o pracy weterynarza. Miała dziewiętnaście lat, zmarła na miejscu. Jedenastoletni Jakub i trzynastoletni Jacek zmarli po dwóch dniach w wyniku obrażeń po poparzeniach. Nierozłączni bracia, weseli psotnicy, których żarty bawiły wszystkich bliskich. Nigdy już nikogo nie rozśmieszą. I w końcu pięcioletni Wiktor, ciekawy świata, otwarty i zatracony w ciągłej zabawie. Nie zdążył nawet ułożyć własnych planów na życie, które tak szybko zostało mu odebrane. Podobnie jak matka zmarł w drodze do szpitala. Cała rodzina doznała poparzeń, ostrego zatrucia tlenkiem węgla, dusili się i do ostatniej chwili walczyli o każdy oddech. Udało się przeżyć jedynie Martynie Zawalskiej. Cudem. Córnka oskarżonego musi się przez niego mierzyć z koszmarem do końca życia. Koszmarem wiedzy, że jej ojciec zabił resztę rodziny. Że w trakcie procesu w absurdalny sposób próbował rzucić na nią winę, a kiedy go najbardziej potrzebowała, uganiał się za kochankami. Wynajął nawet osobny pokój w hotelu, by z nią nie rozmawiać.

Wszystkie te osoby zginęły w okrutny sposób. Zrobił im to człowiek, który niegdyś obiecał je chronić. Człowiek, który zamiast miłości ofiarował im śmierć.

Zawalski zdawał się powstrzymywać łzy, gdy Rogalski wyliczał członków jego rodziny, którzy zginęli na skutek tragicznego pożaru. Ostatecznie żadna nie spłynęła po jego policzku.

- Wysoki sędzie - mowa prokuratora zbliżała się do końca - oskarżając Waldemara Zawalskiego o wywołanie pożaru, co skutkowało śmiercią pięciu osób i było usiłowaniem zabójstwa szóstej, wnosząc o wymierzenie kary dożywotniego pozbawienia wolności. Oskarżony już dawno utracił człowieczeństwo, co potwierdził zarówno w trakcie śledztwa, jak i całego procesu. Zasługuje na bezwzględną, surową karę.

Obrona

Nawrocka w skupieniu słuchała mowy Rogalskiego, jeszcze raz układając w głowie to, co sama chciała powiedzieć.

- Wysoki sędzie – zaczęła – jesteśmy świadkami wielowątkowego procesu poszlakowego, który opiera się wyłącznie na domysłach i teoriach prokuratury. Brakuje twardych dowodów wskazujących na winę mojego klienta, które mogłyby być podstawą do jego skazania. Wątki, o których mówi pan prokurator, to w zdecydowanej większości insynuacje i domysły.

Mecenas długo opowiadała o tym, o czym w zasadzie mówiła już w trakcie poprzednich rozpraw. Dyskredytowała świadków i składane przez nich zeznania, podawała w wątpliwość niewinność Martynty Zawalskiej, ponownie sugerowała, że pożar mógł być nieszczęśliwym wypadkiem.

- Mój klient miał długi, więc postanowił wymordować całą rodzinę? Wysoki sędzie, to jest absurd. Wątki, których prokuratura nie potrafiła jednoznacznie udowodnić, powinny zgodnie z zasadą działać na korzyść oskarżonego. Waldemar Zawalski kochał swoją rodzinę. Miał trudną relację z córką, to prawda, ale kto z rodziców nie miewa trudności wychowawczych? Jego stanowczość i surowość nie są podstawą do tego, by oskarżać go o dokonanie obrzydliwej zbrodni.

Gdy Rogalski słuchał wystąpienia mecenas, czuł, że ta chwyta się brzytwy, że brakuje tu polotu i konkretów, które on zawarł w swojej mowie. Przez moment odniósł nawet wrażenie, że Nawrocka zwyczajnie się poddała, bo zdaje sobie sprawę z tego, że jej klient może być winien.

Oskarżony

Zawalski zabrał głos jako ostatni. To właśnie na jego mowę najbardziej czekały media, ale i sędzia, który uważnie wsłuchiwał się w każde

słowo, oceniał najmniejszy gest. Oskarżony przyjął zaskakującą dla Rogalskiego taktykę obrony przez atak. Przez ponad godzinę, wertując plik notatek, opowiadał o tym, jak bardzo kochał bliskich i jak bolą go zarzuty śledczych.

– Uwzięto się na mnie, to jakiś spisek. Pieniądze z ubezpieczenia, które zawarłem, nie pozwoliłyby spłacić wszystkich zadłużeń, więc czy ryzykowałbym podjęcie tak okropnych czynów? – podważał teorie prokuratury. – Chciałbym wrócić do mojej córki, naprawić naszą relację i błędy, które popełniłem. Jestem tylko człowiekiem, na którego uwzięli się policja, prokuratura, biegli, a także media, w których stałem się celem publicznej nagonki – argumentował.

Do samego końca pozostawał wyrachowany, a Rogalski oceniał, że właściwie wszystkie słowa wypowiada bez emocji, tak jakby recytował wiersz z kartki. Sędzia starał się go nie upominać, choć przedłużająca się wypowiedź nużyła wszystkich na sali. Tym bardziej że często się powtarzał, mówił rzeczy nieistotne dla sprawy, zmieniał zdanie. Wypowiedź o córce, w kontekście jego pogardliwego zachowania wobec niej podczas procesu, też nie działała na jego korzyść. Artur miał nadzieję, że to wszystko, na co on zwraca uwagę, zauważy także sędzia.

Sędzia

Sędzia Roman Dębiński nie trzymał zgromadzonych zbyt długo w niepewności. Po około trzydziestu minutach przerwy zarządził powrót do sali. Naradził się, przeanalizował ostatnie wątki, ale prawda jest taka, że decyzje w tego typu sprawach zapadają znacznie wcześniej, a mowy końcowe zazwyczaj niewiele zmieniają, o ile w ich trakcie nie stanie się coś przełomowego. Rogalski zdawał sobie z tego sprawę.

– Drodzy państwo – zaczął Dębiński – sąd nie ma żadnych wątpliwości, że Waldemar Zawalski celowo podłożył ogień w swoim domu, wcześniej upewniwszy się, że rodzina nie znajdzie drogi ucieczki,

i doprowadził do śmierci żony oraz czworga dzieci. Chciał zabić także piąte dziecko, córkę, co mu się nie udało. Oskarżony miał w planach wyłudzenie pieniędzy z ubezpieczenia, ale nie to było głównym motywem jego działań. W ocenie sądu Waldemar Zawalski chciał się uwolnić od rodziny, którą sam stworzył, zyskać wolność, która pozwoliłaby mu rozpocząć nowe życie. Zamiast jednak jak normalny człowiek wziąć rozwód, rozstać się z żoną i być może nawet porzucić dzieci, postanowił z zimną krwią odebrać im życie. Dzieciom, które nie miały żadnego wpływu na to, jak układały się jego sprawy uczuciowe. Dzieciom, które niczemu nie były winne.

Sędzia nie miał współczucia dla Zawalskiego.

- Mając to wszystko na uwadze, sąd zdecydował o wymierzeniu oskarżonemu kary dożywotniego pozbawienia wolności bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Takowe wprowadza się bowiem wtedy, kiedy istnieje szansa na resocjalizację, zmianę zachowań. Sąd uważa, że Waldemar Zawalski takiej gotowości i chęci w sobie nie ma, co udowodnił, kłamiąc do samego końca procesu, manipulując i konsekwentnie nie przyznając się do winy. Sprawę uważam za zakończoną.

Artur odniósł wrażenie, że uderzenie młotka rozbrzmiało w sali tak gwałtownie, że był to jedyny dźwięk, który zdołał w tej chwili usłyszeć. Wygrał, udało się skazać Zawalskiego.

Oskarżony pozostał niewzruszony, a media przystąpiły do ataku. Rogalski rozglądał się po sali lekko rozmytym wzrokiem. Tak duże emocje, które właśnie mu towarzyszyły, nie pozwoliły na trzeźwą ocenę sytuacji. Czuł się tak, jakby właśnie wysiadł z pędzącego rollercoastera. Jedyne, co zapamiętał z końcówki rozprawy, to Martynę Zawalską, której puściły nerwy. „Morderca! Morderca!”, krzyczała w stronę ojca, próbując się do niego dostać. Przytrzymał ją policjanci.

Tumult i wrzaski ucichły dopiero wtedy, gdy Zawalski, wyprowadzony przez funkcjonariuszy, zniknął za drzwiami sali rozpraw.

Dużo wcześniej

Martyna była wściekła, bo musiała pójść na zakupy z ojcem i być zdana na jego łaskę. Miała miło spędzić czas z mamą i na to liczyła, tymczasem w ostatniej chwili okazało się, że jej brat się pochorował i Magda musi zostać z nim w domu.

Teraz przeglądała kolejne ubrania w jednym ze sklepów w galerii handlowej, a ojciec dotrzymywał jej towarzystwa. Ze zdziwieniem zauważyła, że jest w bardzo dobrym humorze, jakby wizyta w tym miejscu sprawiała mu przyjemność. Co prawda siedział z nosem w telefonie, ale uprzejmie odpowiadał na wszystkie pytania Martynty i udzielał jej nawet porad, gdy o nie prosiła.

Nie była fanką łażenia po sklepach i przeglądania ciuchów, ale w czymś musiała chodzić, więc niechętnie, ale poświęcała czas na zakupy. Cieszyła się, że przynajmniej ojciec nie dobija jej swoimi humorami.

- Co jesteś taki zadowolony? - zapytała w końcu nieco złośliwie, jak miała w zwyczaju.

- A tak po prostu. Spędzamy razem czas, jest fajnie - uśmiechnął się do niej.

Nie wiedziała, o co mu dokładnie chodzi, ale chyba po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że nie chce się kłócić.

- Jak tam z mamą? - zapytała, kiedy usiedli w jednej z kawiarni, by odpocząć po zakupach.

- Dobrze wiesz, jaka ona jest, bywa nie do zniesienia - nie po raz pierwszy mówił o żonie lekceważącym tonem, ale Martyna nigdy do tego nie przywykła.

Czuła niepokój. Miała wrażenie, że mimo miłej atmosfery coś jest nie tak. Ojciec nie odrywał nosa od telefonu, ciągle coś pisał. Głupio było jej zaglądać mu przez ramię.

- Co tam piszesz? - wypaliła w końcu.

- A, nic takiego - odpowiedział, wyraźnie speszony.

Odchylił dłoń odrobinę za mocno i odsłonił fragment wiadomości, który zdołała dostrzec. Czerwone serduszko, emotikon. Westchnęła po cichu, zakładając, że pewnie wysłał to do mamy. A potem zdała sobie sprawę, że numer, który wyświetlał się nad wiadomością, nie był zapisany w kontaktach.

Rozdział XVI

Wątpliwości

2021 rok

Karolina

Minął miesiąc od ogłoszenia wyroku w sprawie Waldemara Zawalskiego. Obrona zapowiedziała apelację, ale nic nie wskazywało na to, by sąd miał zmienić decyzję. Szewczyk poczuła ulgę, gdy Rogalski o wszystkim jej opowiedział. Tym bardziej cieszyła się na ich spotkanie dzisiejszego wieczoru. Sprzątała właśnie w mieszkaniu, z dumą zauważając, że to kolejny raz, kiedy nie odkłada obowiązków domowych na potem. Przetarła kurze, przejeżdżając ściereczką po ramkach ze zdjęciami. Tuż obok tej, w której stało zdjęcie jej córki i męża, stała inna, z fotografią bliską jej sercu: ona i Adam Kowalczyk, oboje w mundurach, roześmiani. Uśmiechnęła się pod nosem, a później zaczęła się szykować do wyjścia. Przeczesała włosy i starannie spinając je w kok, zastanawiała się, czy o czymś nie zapomniała.

Droga do pubu Żywieckiego przebiegła spokojnie. Postanowiła odczarować to miejsce, z którym wiązały się i dobre, i złe wspomnienia, a spotkanie z Rogalskim po wielomiesięcznym procesie w jej ocenie idealnie się do tego nadawało. Weszła do budynku i od razu dostrzegła Artura, który siedział na jednej z kanap.

- Dziwnie wyglądasz bez garnituru - rzuciła na przywitanie, a on wybuchnął śmiechem, po czym wstał i ją uściskał.

- Co u ciebie?

- Wszystko dobrze, sporo spraw na głowie, ale jakoś sobie radzę. Prywatnie również – nie omieszkła się pochwalić.

- Taaak, słyszałem, słyszałem – puścił do niej oczko, a ona lekko uderzyła go pięścią w ramię.

Syknął z udawanego bólu.

- Odmawiam komentarza – nie czuła się gotowa na wyznania.

Mijały kolejne godziny, w trakcie których omawiali ostatnie wydarzenia. Pili też piwo za piwem, w końcu był weekend, a oni pierwszy raz od dawna naprawdę mieli wolne.

- Myślisz, że mieliśmy rację? Że to naprawdę był on? – Karolina, wyraźnie wstawiona, zdała pytanie, którego Artur się nie spodziewał.

Przez pierwszy tydzień po zakończeniu sprawy czuł ekscytację, bo doprowadzenie jej do końca mocno podniosło jego samoocenę, ale sprawiło też, że docenili go przełożeni i koledzy po fachu. Policjanci przestali traktować go jak dzieciaka, pojawiły się nawet głosy, że może wkrótce liczyć na awans. Ale na drugi tydzień od wyroku, kiedy największe emocje opadły, on też zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście mieli niezbite dowody, czy może jednak Helena Nawrocka miała rację, gdy powtarzała do znudzenia, że proces był poszlakowy. Artur odrzucił wątpliwości, ponieważ ostatecznie był przekonany, że zapadł słuszny wyrok. Tak też przecież uznał sędzia.

- Myślę, że tak – odpowiedział, a ona pokiwała głową.

- A co z Martyną Zawalską? – zapytała.

- Słyszałem, że wyjechała z miasta. Nic dziwnego, na jej miejscu zrobiłbym to samo. Wszystko tutaj przypominałoby jej tylko o jednym – stwierdził.

Atmosfera nieco siadła. Nie wiadomo, czy przez pytanie Karoliny, czy przez zbyt dużą ilość wypitego piwa.

Krzysiek

Krzysztof Sielski awansował do działu wydarzeń po tym, czego dokonał w sprawie Zawalskiego. Musiał się przeprowadzić do Sosnowca, ale nieźle się w tym wszystkim odnajdował. Na korytarzach słyszał nawet plotki, że jest mocnym kandydatem na dziennikarza roku, którego redakcja „Dziennika Zachodniego” co roku wybiera w swoich wewnętrznych strukturach.

Sprawa Zawalskiego pozwoliła mu wypłynąć na tyle, że dostawał poważniejsze tematy, ale wciąż, co przyznawał tylko sam przed sobą, nie czuł się na tyle pewnie, by porywać się na wszystko bez wcześniejszego solidnego przygotowania czy konsultacji ze starszymi kolegami.

Kiedy do redakcji przyszedł recepcjonista i poinformował go, że dostał list, Krzysiek z pytającym wyrazem twarzy odebrał kopertę i minął drzwi prowadzące do windy. Po dotarciu na czwarte piętro poszedł prosto do biurka, gdzie spróbował odczytać, skąd nadeszło pismo, po czym ostrożnie je otworzył. Na próżno było jednak szukać szczegółowych informacji, bo koperta nie miała typowych dla poczty oznaczeń. Wyglądała trochę tak, jakby ktoś ją podrzucił, a nie wysłał standardowym sposobem.

Z niedowierzaniem czytał kolejne zdania, przerywając co jakiś czas, by zebrać myśli. Dłonie zaczęły mu się trząść. Chwytał za telefon i wykręcił numer do rzecznika prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach, z którym zdążył już przejść na „ty”.

– Cześć, potrzebuję pomocy. Dostałem list z pogrózkami – wypowiedział słowa ostrożnie.

Nie wiedział, co ma robić. Kilka razy przeczytał najbardziej przerażające zdania, które ktoś zaadresował do niego. „Ty kłamliwa hieno, odpowiesz za wszystkie bzdury, które pisałeś o tym niewinnym człowieku. Będziesz się smażyć w piekle! Spłoniesz tak, jak spłonęła ta szczęśliwa rodzinka”.

Artur

Rogalski szedł chwiejnym krokiem, podpierając się co jakiś czas na Szewczyk. Przeklinał się w myślach za to, że wypił to ostatnie piwo, które ewidentnie było tym jednym za dużo. Z drugiej strony miał poczucie, że zasłużył na to, by po miesiącach ciężkiej pracy wreszcie odpiąć wrotki. Karolina była podobnego zdania. Postanowił najpierw ją odprowadzić, a dopiero później wrócić do siebie. Raz za razem wybuchali śmiechem, gdy na zmianę to jedno, to drugie mocno się chwiało. Mijali kolejne ulice, bo z Żywieckiego na ich osiedle był kawał drogi pieszo. Jastrzębie wydawało się takie spokojne nocą. Spotkanie kogoś o tej porze graniczyło z cudem.

Skapane w mroku górnicze miasto zdawało się istnieć gdzieś poza tragedią, która jeszcze niedawno wzbudzała w ludziach ogromne emocje. Dziś prawie nikt już nie rozmawiał o Zawalskich. Arturowi wydawało się, że to smutne, jak szybko zapominamy o tych, których już z nami nie ma.

Nie skorzystał z zaproszenia Szewczyk, która bardzo nalegała, by wszedł na jeszcze jednego. Po pierwsze, uznał to za niestosowne, a po drugie, naprawdę czuł, że kolejne piwo czy jeszcze jeden drink zakończy się dla niego zjazdem. Wylewnie pożegnał się z policjantką.

Miał wrażenie, że kiedy wyszedł na zewnątrz, w kilka minut zrobiło się znacznie zimniej. A może po prostu brakowało mu drugiego rozgrzanego ciała obok siebie? Wiedział jedno: w takiej zimnicy trzeźwiał szybciej, niż się spodziewał. Przestał nawet chwiać się tak bardzo jak wcześniej.

Awaria windy, zajebicie, skomentował w myślach i zaczął powoli piąć się po schodach, które zdawały się nie mieć końca. Gdy dotarł przed swoje mieszkanie, stanął jak wryty. Wytrzeźwiał do końca w sekundę. Drzwi były oblane benzyną, której duszący smród wwiercał się w jego nos. Na wycieracze zobaczył paczkę zapalek, kilka z nich było rozrzuconych.

Wyciągnął telefon.

– Sto dwanaście, w czym mogę pomóc?